BRANKI W JASSYRZE.

Druk. P. Laskauera i W. Babickiego, w Warszawie.

DEOTYMA.

BRANKI W JASYRZE.

O! bo lepiéj pójść na mary,
Niż w niewolę na Tatary.
(Piosenka ludowa).

WYDANIE DRUGIE.

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁADEM XIĘGARNI
TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI
NOWY-ŚWIAT 41.
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Декабря 1900 года.

174102

CZĘŚĆ TRZECIA.

Przy ognisku.

Trudno zrachować dnie pochodu. Wieczory i poranki mieszają się w pamięci, wszystkie do siebie podobne; zawsze wyruszaj — stawaj na krótki popas—i znów daléj—w drogę! Kraj téż ciągle podobny, miasta popalone, pustka.

Branki nasze wiedzą tylko że już od wielu dni opuściły Polskę. Gdzie są? Trudno zgadnąć. Jedni mówią że na ziemiach ruskich, inni że już w ziemi Kumanów, gdzieś na granicach Kapczaku. Gdyby można rozmówić się z krajowcami, niepewność byłaby szybko rozstrzygniętą. Ale miejscowa ludność niéma dostępu do jeńców, którzy idą w taborze, otoczeni łańcuchem wozów, i jeszcze nieprzepartszym łańcuchem Azjackich strażników.

Z widoku nieba także trudno zmiarkować kierunek podróży. Przez trzy dni mają wschód słońca przed sobą, przez trzy dni za sobą. Droga się

kręci, wraca i zawraca, ciągniona niezrozumiałemi, a pewnie bardzo mądremi, obrotami wojska, które jedzie przodem, gdzieś o wiele mil daleko, wyrzucając po-za siebie coraz nowe nabory ludności w plon wziętéj. Olbrzymi naród jeńców, zwolna wlecze się za Ordą jak ogon za kometą, codzień dłuższy i bardziéj zrozpaczony, bo codzień dalszy od rodzinnych ognisk.

Na samym końcu, jakby ruchomy cmentarz, jadą wozy ze zwłokami poległych Mongołów. Tak, choć już umarli, jeszcze pędzą żywych.

Jedyném urozmaiceniem są coraz nowe spotkania z rodakami i rodaczkami. Wprawdzie między taką ciżbą, znajomi, nawet najbliżsi krewni, mogą nieraz i sto mil przejść razem, a wcale o sobie niewiedzieć. Jednak w nieustannym przepływie, co chwila odzywają się wykrzykniki:

— Jakto? I wy tu?

— Jak się masz?

— Ach mój Boże! Gdzie my się to spotykamy!

A potém tysiąc pytań o różne drogie osoby, których los pozostał w niepewności,—potém nieskończone opowiadania przygód, przez których powikłanie, różni różnie popadli w nie-

wolę. Z samych tych opowiadań, możnaby całe dzieło, — co ja mówię? — całą bibljotekę spisać.

Elżbieta i Ludmiła także przepatrywały wszystkie twarze, także dopytywały się bez końca, bo i one zostawiły za sobą okrutną niepewność, niemogły powziąć wieści o losie Sulisława.

Elżbieta—prawdę mówiąc—niemiała nadziei aby mogły go spotkać pomiędzy jeńcami; gdzieżby taki rycerz dał się wziąć żywcem w niewolę? Ale żebyż przynajmniéj dowiedzieć się czy żyje? Czy nie zginął w jednéj z tych bitew, których coraz nowe echa, przez nowych więźniów dochodzą?

Próżne zabiegi! Nikt niewiedział. Niektórzy słyszeli o panu z Żegnańca, ale zamiast udzielić wiadomości, żony owszem zapytywali, co się z mężem stało?

Nakoniec pewnego wieczora, błysła nadzieja dokładniejszych objaśnień; nasze branki spotkały kilku jeńców, którzy przynosili bardzo świéże, a niestety, bardzo żałosne wiadomości.

Obozowisko noclegowe zostało naznaczone niedaleko potężnéj, niezmiernie szumnéj rzeki; był to Dniestr, który po lewéj stronie obozu

bielał i błyskotał pod światłem xiężyca. Rozpalono ogniska, pożądane przy chłodzie nocy i zimnych powiewach rzeki, chociaż chwilami tchnienie wiosny już dawało się czuć w powietrzu. Przy ogniach, brańcy gotowali swoją biédną strawę. Nie dla wszystkich ona była jednakowa: pospólstwo, a zwłaszcza mężczyźni, mało dostawali; wyborowym brankom i dzieciom straż więcéj wydzielała, aby je utrzymać przy jakiémtakiém zdrowiu i siłach. Niewiasty dzieliły się jak mogły z resztą wygłodzonych; najczęściéj musiały to czynić pokryjomu. Niektórzy jednak dozorcy, litościwsi albo pijani, patrzyli przez szpary na dzieła miłosierdzia. I nasz Wasylko, choć dobrze widział jak Elżbieta i Ludmiła obdzielają towarzyszów niedoli, udawał że nic nie widzi; czasem dla niepoznaki mocno je wykrzyczał, potém odszedł na bok i rękawem oczy obciérał.

Tego wieczora dostały duży kociołek mleka, i ogromny kawał baraniny, który piekły na rożnie wystruganym z jakiéjś twardéj gałązki. Wasylko nawet pojawił się z tryumfującą twarzą, i otworzywszy grubą rękę, pokazał im garść pełną soli; ten dodatek, rzadko używany przez Tatarów, a tak nieodzownie potrzebny Europejczykom, zmienił dzisiejszą wieczerzę na prawdziwą biesiadę. Baranina, we własnym tłuszczu rozmiękła, i jeszcze posolona, wydała się brankom lepszą niż wszystkie bażanty i migdały Wa-

welskie. Nakarmiły Jasia po uszy, a potém cichaczem, kiedy większa część ludzi posnęła, wezwały do swego ognia owych kilku brańców, którzy więcéj podobno od innych wiedzieli. Nieszczęśliwi, rzucili się na żywność z istnie wilczym głodem. Jaś usnął w objęciu matki, Wasylko siedząc opodal kiwał się i udawał że śpi, ognisko migotało pod wietrznym podmuchem, szum Dniestru dolatywał jakby tłumione łkanie, jeńcy rozmawiali półgłosem.

— Ja, — mówił giermek Sylwester, młody ale wynędzniały, z głową obwiązaną pokrwawionemi szmatami,—ja zostałem zabran pod Chmielnikiem.

— Kiedyż to było?—Pytały niewiasty.

— Osiemnastego Marca, w samą Białą Niedzielę. Ach, nigdy nie zapomnę téj Niedzieli..... Niech-by się ona owszem nazywała «Czarną»!

— To w kilkanaście dni po bitwie pod Turskiem?—Zagadnęła Ludmiła.

— A tak, właśnie. Jeszcze tam pod Turskiem to nieźle się udało. Już my wszyscy myśleli że to szelmostwo na dobre sobie poszło. Jak przepadli w puszczy Strzemeskiéj, tak i oko wykol a Tatara nigdzie nie widać. Jednakowoż Wojewoda Włodzimierz zbiérał kogo mógł.....

— I któż tam był? — Pytała Elżbieta, nie-

śmiejąca mówić wyraźniéj, bo nieraz już dostrzegła, że przez litość źle zrozumianą, próżno przedłużającą męki niepewności, przed brankami tajono imiona mężów i braci poległych.

— Przypomnijcie sobie kto tam był? — Nalegała.

— Nie wielu, nie wielu. Ale wszystko tędzy rycerze i porządne giermki. Stali my w kupie i pilnowali drogi do Krakowa. Aż oto, jak się pokaże tamte wojsko, a to powiedam wam, świat by można temi piekielnemi śmieciami zasypać. A były tam jakby dwa wojska. Najprzód tedy lecimy na piérwsze. O Jezu Chryste! Już ja był pewien że zwycięztwo, dusza we mnie skakała od radości. Kiedy my padli w sam środek, to zupełnie jakby nóż w masło. Wszystko się przed nami kraje, rwie, ucieka..... no, więc my coraz daléj. A to właśnie źle. Nam pilno zmachać się niby nad Tatarstwem, a to jeszcze nie żadne Tatarstwo, tylko jakowaś zbiéranina różnorakiego hultajstwa. Dopiéro kiedy my już w maśle oném plugawém po szyję ugrzęźli, wtedy..... patrzcie ich! Tamte drugie wojsko co sobie najspokojniéj patrzało jak my tych piérwszych uciesznie wyrąbujemy, zaczyna się rozciągać, rozciągać do kolusieńka, jakby kto z kłębka wywijał dwie nici..... jeszczem się nie obejrzał, ehe! już my otoczeni.

— Wszystko zupełnie jak pod Turskiem!— Znów przerwała Ludmiła.

— A no słuchajcie: to dopiéro teraz byli prawdziwi Tatarzy. Ładna sprawa! Oni wypoczęci, ochotni jak panna do tańca, a my zmordowani, zziajani, jak psy co się ze szczurami gryzły. A dopiéro jak puszczą od zadu, z przodka, z boków, tysiąc tysięcy strzał..... Upadam do nóg, niéma co robić. Każden by tak powiedział, nieprawdaż? A my jednak tego nie powiedzieli, jeno bijemy się precz. Co tam drudzy robili, niewiem, alem ja bił się za trzech; i szło jakoś nieźle; jużem trzy dusze pogańskie wysłał— do Belzebuba, już sobie powiedam: «oho! pasik rycerski za pasem»—a tu ni ztąd ni zowąd, buch! jakiś okropny Tatarzyn jak mię łupnie siekiérą w łeb, siedem kościołów stanęło mi w oczach. Rymnąłem z konia, myślę sobie: «Oho, to już śmierć. Trzeba duszę polecić Panu Bogu.» I daléj niewiém już co się działo. Ach, może to i lepiéj że ja nic niemógł widziéć, bo działy się złe rzeczy..... najlepsi wyginęli.

— Kto? Kto?.....—Pytała Elżbieta.

— A no kto? Najprzód sam Wojewoda Krakowski, Włodzimiérz.....

— Co? I on zginął? Szkoda! — Westchnęła Ludmiła. — Szkoda..... widziałam go w ciężkich godzinach, nic go nie mogło złamać.

— Cóż chcecie? Wszystko się w końcu łamie. Póty dzban wodę nosi, aż się ucho urwie. A oberwało się i drugie ucho, zarąbano i Wojewodę Sendomiérskiego Pakosława.

— A z rycerzy, ze starszyzny, kto zginął?— Prosiła Elżbieta.

— O Święci Pańscy! Jak się tu doliczyć? Zaraz, czekajcie..... Zabit podobno Krystyn z Niedźwiedzia..... już co Wojciech Stampoczyc, to na pewniaka, samem widział. I różni jeszcze sławni: Grabina..... Mikołaj Witowic..... Sulisław.....

— O Boże!—Wykrzyknęła Elżbieta podrywając się gwałtownym ruchem, od którego Jaś otworzył oczy i zakwilił.

Wielu śpiących podniosło głowy. Powstał szmer.

Wasylko zerwał się, krzycząc:

— A toż co? Cicho siedzieć, wy jakieś buntowniki.

Wszystko przycichło.

I Elżbieta ucichła, zakrywszy oczy ręką.

Ludmiła szepnęła przestraszonemu giermkowi:

— To był jéj mąż.

Wtedy inny braniec, blady, łagodny staruszek co siedział po drugiéj stronie ogniska, uśmiéchnął się leciuchno i wtrącił:

— E..... ten pacholik po próżnicy napędził wam strachu. Tego Sulisława niemogli tamój zadżgać, kiéj potém, w kilka Niedziel potém, ja go na żywe oczy widział pod Lignicą.

— Czy być może? — Ozwała się Elżbieta,

ocucona temi słowami. — On tam był? I to był ten sam? Sulisław z Żegnańca? Bo między naszém rycerstwem jest kilku Sulisławów.

— A tego to już ja tam niewiém, czy on z Żegnańca czy z Różańca. Wiém jeno że się bił okrutnie, i z potrzeby wyszedł żyw i cały, bo potém ludzie gadali co on z królem Bolesławem pojachał na Morawy.

— O dziękiż Bogu! Jeszcze masz ojca! — Wołała półgłosem Elżbieta, przytulając i całując rozespane dziecię.

Tymczasem giermkowi pilno było do własnéj powieści. Bo téż jedyną pociechą, jedyną rozrywką więźniów, jest opowiadanie swoich nieszczęść; ta ochota ukrywa nawet w sobie rodzaj niewinnéj, żałosnéj próżności: każdy chciałby wydać się ze wszystkich najnieszczęśliwszym.

— Jak otwarłem oczy a zobaczyłem żem jeszcze na tym świecie, tom się niemógł i niemógł nadziwować. Już to rogata musi być we mnie dusza, kiedy nie uciekła przez tę dziurę, co mi ją tu oto w głowie ten djabelski ślusarz wywiercił. Leżałem na twardém wozisku, przy mnie pełniutko innych ludzi rannych. Jakieś poczciwe niewiasty,—niebogi także w plon wzięte, — opatrywały nam rany, przykładały zimną wodę, a ja sobie tak mówię że to na pewniaka

ta woda mię wyratowała. Alem się nacierpiał, jak ten co to go pieką i przeciągają na mękach, osobliwie kiedy wozy trzęsły po kamieniach, z góry, pod górę. Patrzę, gdzie my tak jedziemy? A mój Boże, téż po własnych drogach, prościuchno do Krakowa! Po téj nieszczęsnéj Chmielnickiéj potrzebie, na zmiłowanie boskie już nie było komu zastąpić gościńca, i tak w samą Kwietnią Niedzielę rano, zamiast iść po śliczną palmę do Katedry, zajechali my pod Wawel w łykach.

— Niewola, to także palma.— Zauważyła Elżbieta. Po chwili, dodała:

— Ach, jakież to dopiéro okropności musiały się dziać tam, w Krakowie?

— Otóż nie. I ja myślał to samo, i nieśmiał oczu roztworzyć. My wszyscy więźniowie gadali sobie po cichu: «No, już teraz będzie koniec świata.» — A tu Krakowczyki wypłatali Tatarom zapustnego figla, wynieśli się na bory na lasy, i to nietylko z duszą ale i z całém ochędóztwem. Królestwo, a z niemi wszyscy dworscy, zabrali z Zamku Skarbiec, sprzęty, nawet opony z murów, i pojechali het, gdzieś aż za góry. Xięża zabrali wszyściuchne złotości z kościołów, a mieszczuchowie nakładli co mieli na wózki, na plecy, i przepadli. Już co ściany to ostawili, bo tych na karku nie wyniesie, ale téż tylko ściany. Kiedy my wjachali do miasta, puściuteńkie..... jak wymiótł. Tatary się zżymają, a my zaciéra-

my ręce i szepczemy: «Dobrze im tak, przecie choć raz się oszukali.» — Chodzą zamyśleni po domiech, nigdzie ani stołka ani kołka. Powiadają sobie: «Może w piwnicach są zakopane skarby?» Daléj-że dobywać się do lochów. Nigdzie nic. Jednakowoż, jak zaczęli przetrząsać a macać, tak i naleźli żywą duszę, zamurowanego pustelnika.....

— Ojca Pawła!—Zawołały obie niewiasty.

— A tak, właśnie Ojca Pawła. Znacie go? To mogę wam o nim niebywałą rzecz opowiewiedzieć.

— Cóż zabili go? Zamordowali?

— Właśnie nas Tatarzyska pędziły bez miasto, kiedy na Placu Targowym czterech takich łotrów ciągnie Ojca Pawła do tego ich tam Chana czy Chama, co siedział pod kościołem Panny Maryi, przykucnięty na kupie worów; popijał cóś syczącego z jakowéjś drewnianéj guli, krzyczał, rozkazował, a czasem pluł na miasto, zły że mu się wyłabudało od rabunku. Idą tedy; a pustelnik tak jakoś osobliwszo wyglądał, że i nasze strażniki stanęły bez ciekawość, i my tym sposobem takoż obaczyli. Tedy Ojciec Paweł był całkiem bielusieńki, tak że aż bił w oczy, i to nie jak człek zwyczajnie wynędzniały, ale jak ten duch, co już w niebiańskiéj chwale się oczyścił. Bo to i broda po pas wisząca jakby obłok, i włosy roztrzęsione w okół głowy jakby korona gwiaździsta, i twarz i ręce jak śniég ja-

sne, wszystko białe a białe. Czy to te wieczne posty i ciemnice go tak wychłodziły, czy ta świętość ubrała go już w takowe anielstwo, niewiém, ale i tamte pogany patrzały się na niego jakby na cudowne zjawienie. A ten Chan, ten potwór, ten Anty-Chryst, co by i Lucyperowi zaglądnął oko w oko, jeno spojrzał na Ojca Pawła, zaraz wpadł w jakoweś pomieszanie, zaczął oczy spuszczać, kręcić się, namyślać, potém rękę wyciągnął i powiedział tak: «Odprowadzić mi tego człowieka tam zkąd wyszedł. A nie robić mu złego nic. Ten człowiek już nie należy do nas, ale do Boga.» —(Że powiedział tak, to wiém, bo nam to straże tłumaczyły, i kazały wielbić miłosierność Chana.) I my na własne oczy obaczyli jak Ojciec Paweł nazad wszedł do swojéj komórki co była w połowicy wyłamana, a Tatarzy nie śmieli go się dotknąć, a my płakali z pocieszenia, i jeden drugiego zapytował: «No, cóż ty na to? Ehe? Jeszcze nas Pan Bóg nie opuścił! Jeszcze nie przeminął czas cudów!»

Elżbieta i Ludmiła spojrzały na siebie, i także szepnęły z tłumioném uniesieniem:

— Tak, jeszcze nie przeminął czas cudów!»

A potém, znów skupiły uwagę na opowiadaniu giermka, co tyle ciekawych rzeczy wiedział.

— Tatarzyska nie miały co robić w tych

pustkach. Wszelakoż my tam siedzieli bez całą Niedzielę z górą, bo tam było ich miejsce zborne, musieli czekać na innych. Tymczasem zbóje wylegiwali się, dzielili stare łupy. Nie obyło się też i bez małéj wojenki. Bo to niby z miasta wyszli wszyscy, a jednakóż nie wszyscy; ostała się garścina ludzi; były to prawie same kaléki, jakieś liche siérotki, zgrzybiałe starowiny, wszystko takie biédactwa, co to nie miały ani wózków ani tęgich nóg do zmykania. Ci pomaluchnu wyleźli sobie za miasto, i zamknęli się w kościołku Świętego Jędrzeja. Niéma złego co by na dobre nie wyszło. Krzyczeli my na Xięcia Konrada że kościół przeinaczył w rzecz wojenną, a Pan Bóg z téj bezbożności wyciągnął ratunek dla nędzy i wielki wstyd dla piekła. Bo jeno posłuchajcie: kiedy żadne wojsko Chrześcjańskie nie mogło się ostać, kiedy najzacniejsze rycerze ginęły, ta załoga z obdartusów przetrwała wszystko, no wszystko! Z początku Tatarstwo szturmowało zajadle; myśleli że tam są poukrywane skarby całego miasta. Ale Jędrzej Święty—jako widno—stał o swój kościołek, powiedział: «Poczekajcie błazny—» i uprosił u Pana Boga rzecz takową: pewien nieobaczliwy Tatarzyn dostał się w niewolę onemu wojsku dziadów; ci mu popokazowali swoje osoby i swoje zasoby, a potém wypuścili go na wolność precz. Wrócił pół-zły, pół-ogłupiały. Ach, jak on wyglądał! Bo to i śmiał się, i krzywił, i otrząsał, jak ten kot co

się barszczu napił. Tedy wszystko swoim rozpowiadał, i utyskował: «A czy to nie szkoda i ludziów, i koni, ba! nawet i drewna tych naszych taranów, na dobywanie takiéj psiarni? A toż lepiéj brać lada oborę, tam choć bydła narzniem na pieczeń, a tu co? Kupa żebraków? Tfu!» — I tak im się odechciało tych nieopłatnych oblęgań, i dali pokój Świętemu Jędrzejowi, a my znowu zacierali ręce i chwalili Pana Boga w Świętych Jego. — Bez ten czas téż nadciągły inne wojska pogańskie, wszystkie dobrze obłowione, osobliwie jedno, haniebnie wielkie i srogie, co szło bez Łęczycę. — Wjachali do miasta w samą Niedzielę Wielkanocną.

— Ach Boże! — Odezwała się Ludmiła z cicha do Elżbiety. — Pamiętam: kiedy wyruszałam z Krakowa, to król był trochę markotny, i powiedział mi że koniecznie, ale to koniecznie muszę wrócić tam na Święcone. Ładne mi Święcone! Kto mógł wtedy pomyśléć co to będzie? I to w kilka niedziel! Król, królowa, gdzieś za górami, na tułaczce — kraj cały zalany pogaństwem — co najdroższe i najpiękniejsze, pod ziemią — a my?

Giermek, jakby trafiając w jéj myśl, mówił daléj:

— Ach, jakie téż to Święta były dla nas! Każdemu stał w oczach ten jego stół domowy, gdzie to innych lat dzielił się jajkiem, gdzie wszystko tak smakownie pachniało, a na wierz-

chu Baranek siedział, ze złotemi rożkami, z czerwonym proporczykiem. Dziś my już nie na stole, jeno chyba w sercu mieli baranka ofiarnego. A serce tém ciężéj się krwawiło, że między Tatarstwem była szkaradna uciecha; radzi że już są w kupie, żarli, pili, wykrzykiwali, znęcali się nad nami, ach już lepiéj nawet nie wspominać..... Jednakoż, wszystko na tym świecie ma koniec, i te okrutne Święta się skończyły. Na zajutrek wyruszono z miasta, ale i to nie obyło się bez nowego zgryzienia. Tatarowie nie mogli darować Krakowczykom że im wszystko z przed nosa sprzątnęli, więc odchodzący, z wielkiéj złości zapalili miasto na czterech rogach. Okropnie było patrzéć..... Wiedział ja przecie że tam niéma nikogo, że to puste ściany, a z tém wszystkiém kiedy my wyszli na pagórek, a obejrzeli się, a obaczyli nasz Kraków miły w płomieniach, to nas porwał płacz niepowściągliwy. Człek się tam odchował, chwalił się każdym jego kamykiem,—a przytém, czy to prędko ludzie taki drugi zbudują?—Za miastem nastało wielkie rozdzielenie: wojska Tatarskie ruszyły ku zachodzącemu słońcu, na Szlązko, a nam kazano iść na wschód. Byli my pod mocną strażą, jednakoż u granic Halickich niejeden szczęśliwiec czmychnął. Ach i ja byłby to samo zrobił, jeno że mi ta roztrzaskana głowa nie dawała trzech kroków stąpnąć; zaraz mi się w oczach ciemniło i kołowało jak we młynie. O! Żeby to ja był

wonczas posiadał takową moc jak dzisiaj! No, ale i dziś jeszcze.....

Sylwester niedokończył, a te ostatnie wyrazy wymówił tak dziwnie, że Ludmiła wpatrzyła się w niego z uwagą, i dla wybadania, zapytała:

— Jakże? Przecie dziś już za późno?

Giermek nic nie odpowiedział, tylko błysnął ku niéj spojrzeniem, które mogło znaczyć:

— Chcącemu, nigdy nie za późno.

A potém, jakby dokończając myśl swoją, zawołał:

— Lepiéj się wystawić na wszelakie nieszczęśliwości, niżeli do śmierci gnić w niewoli. Bo jeszcze dla starych, co się już najedli żywota, co się już wysłużyli Panu Bogu i ludziom, no! kilka latek przebiédować, i koniec. Ale dla nas młodych! Być jako ten kwiatuszek co go mróz w pączku zwarzył,—miéć nogi spętane, ręce związane, kiedy by człowiek chciał lecić jak na skrzydłach, i gwiazdy z nieba zdejmować, Boże miłosierny! czyż może być większe nieszczęście?

Siedzący po drugiéj stronie ogniska, łagodny ów staruszek, (zwano go dziadzią Szymonem,) słuchał dotąd z głową spuszczoną. Teraz podniósł oczy na giermka.

— Nie bluźnij młodzianku. A masz ty oćca abo macierz?

— Niémam. Od maleńkości ja siérota.

— To wielgie dla nich szczęście. Nie płaczą tera po tobie, jeno patrzą z obłoków i mówią: «Oto nasz synaczek bije się z pogany, oto cirpi między pogany, zarabia sobie na korunę niebieską.» I ucieszno tym duszom, bo tam z wysokości, to wszyćko wydaje się inaksze.—No, ale ty może ostawił jeszcze kogo takiego co to za serce trzyma?

Giermek się zarumienił.

— Ostawił ja, bardzo miłą..... gładziuchną dziewczynę.....

Starzec machnął ręką.

— E..... bodaj ty nieznał gorszego umartwienia. «Jaka miła dziewczyna, co godzina wspomina.....» a co się daléj śpiéwa, to wiész. No, i tobie przyńdzie pocieszenie, potkasz i drugą i dziesiątą gładką, i znów będzie «miła dziewczyna.» — Ale żeby ty miał jednego, jedynego wnusia, i tego ci Tatarzy zarznęli, toby ty wiedział dopiéro co to jest nieszczęście!

— Gdzież wyście go dziadziu stracili? — Zapytała ze współczuciem Elżbieta.

— Pod Lignicą.

— A cóż to było pod Lignicą?

— Jeszcze-że niewiécie? A mój Boże! Gadają sobie o jakowychś Turskach i Chmielnikach, a niewiedzą o téj Lignickiéj? A toż dopiéro była potrzeba jakiéj świat nie widział! A wielga! A opłakana! Ile tam poszło krwie, tylo po niéj

pójdzie łzów. E..... lepiéj pono już i nie gadać, abych serce nie pękło.....

I znów staruszek spuścił głowę. Ale Elżbieta chciała koniecznie cóś wiedzieć o téj bitwie, gdzie to podobno widziano i jéj męża.

— Dziadziu, smutnemu zawsze lepiéj się wygadać. «Co z mowy to i z głowy», a czasem i z serca. Więc to taka wielka była bitwa?

— A jakoż nie miała być wielga, kiéj tam nietylko już my Polaki, ale wszyćkie narody Chrześcjańskie przysłały co było najlepszego? A nasamprzód, ciągnęli te wszyćkie rycerzowie co mieli puńść do Ziemi Świętéj. Papież wydał do nich takowe nakazanie: «Miasto bić króle murzyńskie, lepiéj abych wy bili Tatary, bo i tu trza bronić Pana Jezusa.» — Tedy jachały jakoweś Burogundy i Westufale, i Francuzy i Sasy, i różnorakie Niemce, a wszyćko miało czerwone krzyże na pirsiach, a tarcze to takie pstre od malunków jakobych jaja Wielgonocne, a na hełmach pełno poczwarnych zwirzów, i pióra kieby drzewiny. A kunie! Co za kunie! Już chyba jeden Święty Marcin jeździwał na takim pięknіusim. Nad temi zamorskiemi ludziami przewodził Dypold Morawski, człek zacny i dosyć okazały. Owóż te Krzyżowniki uprosiły sobie, coby im pozwolono jachać na czele i zaczynać potkanie. Jako dla gościów, musieli téż im nasi ustąpić.—A potém szło drugie wojsko, już nie

takie świcące, bo tam jachały Małopulany i Krakowiacy i Sendomiérzaki, wszyćko to już odarte i pocięte po kilku potrzebach, aleć za to, kole tamtych céckanych, wyglądali kieby oćcowie przy synach. Tutój, kilku starszych rej wodziło: Mieczysław Raciborski, ów Sulisław.....

— Jakto? On był między dowódcami? — Spytała z niedowierzaniem Elżbieta. — I jakżeż on wyglądał? Wysoki, z czarnemi wąsami?

— A dyć tak. Wysoki, z czarnemi wąsami, co się zowie rycerski człek.

— Nic dziwnego. — Rzekła Ludmiła. — Jak poginęły Wojewody i Kasztelany, to zwykli rycerze mogli pójść na dowódców. A może téż przytém położył jakoweś osobliwsze zasługi?

— Potém jachało trzecie wojsko, ze samych Krzyżaków Zakonu Panny Maryjéj. Ci mieli płaszcze białe, a na nich krzyże czarne, a mieczyska takie wielgie, a kuniska takie grube, właśnie bych dla wielgoludów. Naród to srogi a mądry, kieby wilk i lis w jednéj osobie. Przodkiem, kolebał się na siedle ten ich Mistrz, co go tak uciesznie nazywają: Pom-pom, czy jakoweś podobne cudactwo. Chłop haniebnie urodziwy; kiedy jachał bez miasto abo wieś, to wszyćkie dziéwuchy gębę otwiérały kieby wrota.

— Ach Boże, i trzebaż abych właśnie takowy człek ostał xiędzem!

Te słowa bardzo wszystkich zadziwiły, bo wyszły z jakichś ust niewidzialnych. Zgromadzeni obejrzeli się po sobie, i teraz dopiéro postrzegli, że jakaś dziewczynina, o szczupłéj, zielonawéj twarzyczce, zwabiona szmerem opowiadań, przypełzła tu nieznacznie od innego ogniska, i skryta za krzakami, słuchała, słuchała, aż niewstrzemięźliwy ten wykrzyk ją zdradził. Mimo czarnego smutku, wszyscy się uśmiéchnęli, a giermek Sylwester zagadnął:

— A co? Wolała by ty być u niego w niewoley niźli tutaj?

Dziewczyna zawstydzona zakryła twarz fartuchem, a dziadzia Szymon niewesoło pocieszał:

— E, nie żałuj ty, dziéwuchno. Mazury mi godały jakowa to tam niewola: niech mu się kto w łapki dostanie, to Krzyżak nielepszy od Tatara, a w obliczu Pana Boga i gorszy, boć to przecie chrzczone, niby ugłaskane, krzyżem świętym świci na pirsiach, a dusi kieby poganin.—Owóż tedy, za niemi jachało czwarte wojsko.....

— A cóż u licha, pókiż tych wojsk?—Przerwał znów Sylwester. — Jakże wy się dali pobić, kiedy was tyle było? A toż to z taką mocą, dziesięć królestwów by zabrał?

— Sprawiedliwie powiedasz chłopcze, ludziom bych i zabrał, hale tu nie z ludźmi była robota, jeno z mocą nieczystą, a z mocą nieczystą porać się berdyszem abo włócznią, to kieby

wodę koszem nosił.—Owóż ono czwarte wojsko było najdłuższe i bardzo pokaźliwe, tam jachały Wielgopulany i nasze Szlęzaki, wszyćko jeszcze świéże, a łapczywe na Tatary, aż piszczało do bójki. Nad niemi tedy przewodził nasz Xiąże Henryk, już taki wspaniały jak on królewicz z bajki, co to wjachał na Szklanną górę; a ludzki, a pobożny, a straszny walecznik. Jego macierz, Xiężna Jadwiga, samać to powiadała, co «żebych się ten człek nie bał Pana Boga, tobych cały świat zawojował.»—Takowe tedy było one czwarte wojsko, a potém już nie było jenszego. — Tamój właśnie, między naszemi Szlęzakami, jachał i mój Stasiek, mój wnusio najmilszy, jedyne kochanie co jeszcze mi ostawało na tym świecie. Syna mi ubiły Jadźwingi dawno, oho! dawno temu, kiej my jeszcze wojowali pod starym Xięciem Leszkiem. Synowa zmarła na powietrze. Ja jeden temu dziecku był i oćcem i matką. A wychowało się téż to cudownie! Bo to podobien był i do swego tatuli i do mnie, i do mojéj żony nieboszki, jeno sto tysięców razy od nas wszyćkich śliczniejszy i lepszy. A miłował mnie ten mój chłopczysko, że aż się dziwowali ludzie. Nieraz bywało, we Święto, woli siedzieć ze starym dziadzią niźli tańcować z dziéwuchami. A lubiły go, oj lubiły! I jakoż tu nie lubić? Na gębie czysta krew z mlékiem, a zgrabniuni, a kręcicki, a wesół, niby mysi-królik; niechże téż jeszcze błysnął tém niebieściuchném oczkiem, toby i królewna poszła za nim na sam kuniec

świata. I po co to wszyćko? Abych z martwą ziemią brał ślub? Abych dziadek oślepł od tych łzów, co mu ich Stasiek póka żyw, ni jednéj nie wycisnął?

Dziadzia Szymon zamilkł, a z piersi jego wyrwało się to suche, jakby drzazgowe łkanie, co u starców zastępuje płacz. Obecni pospuszczali powieki zwilżone, nawet Wasylko zapomniał że ma udawać śpiącego, i otworzywszy usta, wsłuchiwał się chciwie.

— Ja mógł wszyćko widzieć oczywiście, bo całkie cztyry wojska ściągały do naszego Xięcia Henryka, do Lignice; a ja stary i niezdarny, już nie był w ufcach, jeno w załodze Lignickiéj. Okrutna brała mię ochota abych i Stasiek ostał się ze mną w mieście. Ja mu sto razy gadoł: «Jeszczéć tobie śmierdziuchu nie czas iść we szczyre pole. Ucz ty się przy starym. I basztów bronić rzecz chwalebna.» — Hale z nim ani weź.—«Najsłodszy dziadziu, złoty dziadziu, puśćcie mię z ufcami, ja nie wytrzymam tutoj, może póki życia już mi się nie nadarzy takowe sławne pole, a toż to idzie potrzeba o któréj ludzie i za sto lat, i za pięćset lat jeszcze będą godali.»—I jak zaczęło to biédastwo prosić, za ręce i nogi łapać, tak i skuńczyło się jak zawdy: postawił na swojém.—Ledwiuchno go wzięli do ufca,

już idom Tatary. A my z Odry rzeki most zara zbiéramy i śmiejema się: «A kuku! A tera jako-że przeńdziecie?» — Stoją gałgany za wodą, a drapią się w głowę, aże i zaczęli sobie budować mościsko. Zara tedy Mieczysław Raciborski leci ze swymi, jeno się machnął, tak i przerwał im robotę, i już był okrutnie wesół, aż tu się pokazowa co z czarownikami wszelaka mądrość na nic. Przeszli bez Odrę i przez mostu.

— A to jak?—Spytano do koła.

— Abo ja wiem? Bez czary, i kuniec. To było we samą Kwietnią Niedzielę. Zara tedy kole wieczora, nasz Xiążę Henryk i wszyćkie jensze dowódce uradzili, co już koniecznie trzeba na nich iść. Tedy w Puniedziałek raniuchno, wysłuchali Msze Świętéj w kościele Panny Maryjéj, z wielgiem nabożeństwem i wielgą nadzieją, bo im Pan Bóg, (może na osłodzenie ciężkiéj śmierci,) zesłał w on dzień jakowąś cudowną ochotliwość, i my patrzający się na nich, takuż wszyćcy poweseleli. Ale, po nabożeństwie, kiej dowódcowie sadowili się na kuniech, przypadło przepowiedzenie: wielgi kamień oberwał się ode wieży kościelnéj, trrraf..... i gruchnął prościuteńko przede Xięciem Henrykiem. Kuń Xięcia zestrachał się, zaczął szaléć kieby go złe opętało. Xiąże jeno targnął dwa, trzy razy, już konika uspokoił, potém się przeżegnał, i niby nic, niby się śmieje, a wżdy my widzieli co mu się ten znak nie spodobał. I baby zara godały: «Oj to

źle kiej ręka Niewidka rzuca kamieniami na ludzie poćciwe.» I zara ta nasza wesołość kieby ją kto zimną wodą oblał. A drudzy owszem godali, co wróżba sprawiedliwie dobra, kiej ów kamień we Xięcia nie ugodził. A człek słuchał i tych i owych, i tylo wiedzioł co i pierwéj. — Tedy nakuniec wyjachali za miasto, a ja wylazł na wieżę Zamkową, co ją nazywają: «Wieża Pietra», abych jeszcze popatrzéć za moim Stasieńkiem. Jachali w tę stronę gdzie leży «Dobre póle», a ja znowu cieszył się jakoby to było nazwanie szczęstliwe. Aha, właśnie téż! «Na dwoje babka wróżyła.» Póle *dobre*, ale dla którego ze dwóch? Bo gdzie się biją, tam zawdy musi ich być dwóch.—A z tém wszyćkiem, kiej zaczęli płynąć a płynąć bez póla jakobych ta rzeka ze srybła, a rozpuścili chorągwie jakobych sto tęczów, to człek sę mówił: «A dyć-że już chyba i czart im nie poradzi.» — Najlepiéj było widać naszego Xięcia Henryka, bo miał na hełmie caluchny ogun pawia, i tak latał wysoko nad ufcami, kieby pół-ptaka pół-hanioła. A kiej wojsko roztoczyło się het za nim, to wyglądało takuż kieby wielachny pawi ogun, co dygoce raz niebiesko, raz zielono, to znowuż złocisto, że aż ślépie od łzów zachodzą. — A kiej wszyćkie one cudzoziemce zaczęły w tylorakich językach śpiéwać do Pana Boga, a nasi najgłośniéj zaśpiéwali: «Boga-Rodzica Dziewica», to i my im odhuknęli z basztów, i wszyćkim serce rosło.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Tu staruszek uśmiéchnął się, porwany własném opowiadaniem. Ludmiła zaś i Elżbieta zamieniły ciche przypomnienia:

— A pamiętasz ty jak to król brał z półmiska ów ogon pawi w całku, i dawał go Xięciu?

— A jakoż nie pamiętać?

I westchnęły obie. A téż i dziadzia Szymon już wracał do wzdychania.

— Czekali my tedy na Zamku. Przede południem leci zbrojny wysłaniec ode Xięcia Henryka, z jakowémś nakazaniem do naszéj starszyzny. Powieda, co bitwa już dawno zaczęta, i wyśmienicie idzie, chocia—powiéda--poganów moc przeraźliwa, cztyry razy tylo co nasze cztyry wojska. Kiej gadoł, mnie tknęła jakaś na sercu przestroga, zaczął ja sobie wymawiać, po co mi było takiego młodziaka puszczać samopas w one Babelowe kotłowanie? — Tedy idę ja do starszych, kłaniam się i proszę abych mi pozwolili z onym wysłańcem pojachać na póle. Ale oni: «A to po co? Siedź grzybie aż cię kto zdybie, i nie kuś nam drugich.» A gadanie ich było ztąd, co my wszyćcy starzy rwali się do bitwy.— Musiał ja tedy siedzieć, ale już ja był jako bez głowy, i cóś mię po wnętrzu precz targało. Oh bo ten Stasiek! Ten Stasiek!.....—I znowu my się ostali bez nijakich wieści, jeno czasem dochodzi-

ły dalekie szumienia jakby od wód wzbiérających, a kto ucho przytknął do ziemię, słyszał takowe: ten-ten-ten..... jakobych jachały wozy pełne kamieni.—Wtém, zadzwonili na Nieszpór. Patrzę ja: leci znowu ktoś—a to ciura Miemiec, z dużą raną bez ramię, wpada na Zamek, niby to według opatrzenia rany, ale sprawiedliwie powiedziałszy, strach go gnał za mury. Ledwo my się dwie słowie u niego dopytali; powieda: co już wszyćko przegrane, co nasi precz uciekli. — Jakoś nam się to nie mogło pomieścić we głowie. Starsi mu grożą: «Będziesz ty wisiał jeśli kłamiesz.» Dopiéro Miemczysko wyznawa, co to jeno we wojsku Xięcia Raciborskiego zawichrzył się jakowyś popłoch.

— I to prawda.—Wtrącił inny jeniec, siedzący opodal.—Ja tam byłem. A wszystko stało się przez niecne oszukaństwo: Tatarzy nasłali na nas jakichściś ludzi ubranych po chrześcjańsku, co niby do nas przechodzili, niby się za nas bili, a potém zaczęli nam szyki mieszać i krzyczéć: «Biegajcie! Uciekajcie!» A ludzie ci mieli twarze takie wystrachane, a zaklinali tak płaczliwie aby «się ratować, bo już sprawa przegrana», aż i wielu z naszych potraciło głowę. Największy zbrodzień to ten Raciborski. On, Xiążę, wódz, miasto zatrzymywać, miasto drugich budować przykładem, sam, smyk! zawrócił konia, i pyrgnął jakby ostatni pachołek. O żeby ja go

jeszcze kiedy potkał, to by ja mu choć pazury utopił w tém jego psiém gardle! Wycisnął by ja z niego podłą duszę!

To mówiąc jeniec, groził pięścią. Potém zwolna rękę roztworzył, zakrył nią sobie oczy, i już więcéj ni słowa nie przemówił.

A dziadzia kończył:

— My nic a nic Miemcei nie wierzyli, i jesz cze wyczekowali z wesołą nadzieją. Alić niedługuchno, jeden, drugi, za nos się ułapi, a kużden pyta: «Pfu! Co tu tak słychać?» A tu od onego «Dobrego póla» wali jakiś zaduch smrodliwy, kięby czeluście piekielne roztworzył. W on dzień my nie mogli wyrozumiéć zkąd się owo paskudztwo bierze, jeno potém ludzie mi powiedali co to były czary Tatarskie, jakowaś niby chorągiew, a na niéj głowa poczwarna z rozdziawionym pyskiem, a z pyska precz buchał ogień siarczysty, i dym co ludzie oślépiał i dusił.

— Ach, to jak w Żegnańcu!—Zawołały niewiasty. — My to znamy. Tego nikt z ludzi nie może wytrzymać.

— Ale jakoż to było, że ten dym nie dusił samych-że Tatarów?—Zapytał Sylwester.

— A bo mądre czarowniki, psia wiara. Czekali aże wiater postawi słupka Chrześcijanom w oczy. Jeno się wykręcił, zara wynieśli swojego potwora. Caluśkie szeregi naszych padały poko-

tem odurzone, właśnie bych te pszczoły co je bartnik podkurzył, a chocia kto i nie padł, to w gęstości dymu już sę niemógł domacać porządku. Ty się dziwowasz, jako ten dym nie dusił Tatarów? A toć jest i przysłowie: «Kruk krukowi oka nie wykole.» Jakożby to djabeł djabłu szkodę czynił? Mnie się widzi coby uni mogli pić i gorącą smołę, i jeszcze by im na zdrowie poszła.—A co to musiało być tamój na polu, kiej my w mieście z ledwością już dychali? Kuniec świata idzie, niéma co gadać.—Kole wieczora, patrzamy się my z wieżów, a tu jedzie wojsko, jakieś wesołe i wykrzykujące. — Nasi? Nie nasi? — Oho! Pokazują się krzywe czapczyska..... Panie Boże zmiłuj się—Tatary!..... — Przyjachali pode mury i krzyczą: «A gdzie tu dowódca?» — Tedy wychodzi dowódca i patrzy się na nich z góry, a uni wynoszą wielgą włócznię, a na włóczni co? Jezu miłosierny! Wszakci to głowa naszego Xięcia Henryka? Kiej my ją zobaczyli, to nam się wnętrzności przewróciły. Czysty męczennik. A drudzy mówili: płaczący cherubin. W onę straszną godzinę, słońce było już na pół pode ziemią, łona okrutna stała het na niebie, a w téj łonie czerwonéj, ta głowa na żeleźcu kręciła się kieby rumiana, kieby żywa. Właśnie bym widział: jedno pióro pawie ze krwią do włosów przylgło, i wisiało precz kole skroni.....

— Dopełnił swego ślubu. — Przerwała Ludmiła. — Przy nas, jeszcze niedawno, przysięgał

na owego pawia, że zwycięży albo zginie. I zginął. Dobrze wy mówicie: czysty męczennik.

— Tatarowie tedy podsyłali pode mury jakichściś kpów tłumaczów, co tak powiedzieli: «Oto wasz Xiąże we własnéj osobie przyszedł, otwierajcież mu bramy.» A potém się natrząsali: «No, a teraz co wy zrobicie? Już niémacie Xięcia, niémacie.» — A dowódca nasz odpowiedział: «Bramów otwiérać nie myślę, a Xiążąt nam nie zabraknie.» — Tedy zaczęli nas oblegać i do wałów przyskakiwać, a bez ten czas, na kużdy dzień, czasem i kilka razy na dzień, obnosili wedłuch murów owę nieszczęsną głowę, i trząchali nią z przedrzéźnianiem, właśnie bych się nam kłaniała. To jedno ja pamiętam. Zresztą nic. Każą iść? Idę na oślep. Każą bić się? Biję się kieby zwirz. Ale rozumienia we mnie żadnego już zgoła niebyło. Staśka nie, to i rozumu nie. — Owóż jednego razu, starsi nas wołają kilku i pytają: «A nie chciałby który z was wydostać się ztąd, i tak zrobić, aby jaka chocia reszteczka naszych przyszła nam z odsieczą?» — Więc jam się zaraz ochfiarował, bom sobie myślał: «Niech jeno z miasta wyńdę, to się dowiém o Stasiu, abo i na niego samego się natknę.» — Żaden drugi nie prosił o takowe posłowanie, bo to nie kużdemu smakowało przebijać się bez całe obozowisko Tatarskie. Ledwie zmierzchło, wypuścili mię krytą furtką. I ja się prze-

bił. Jako? Już niéwiem. Same nogi niesły mię na «Dobre póle.» Patrzę, a to co? Umarłych pełno, ale i żywych pełno. Jedni świcą łuczywem, drudzy bawią się kole trupów. Czartowskie widma, czy złodzieje? A to było tak: Tatarowie chcieli wiedzieć ile naszych ubili; tedy Chan kazał kuždemu ze trupów uciąć po jedném uchu. Kiej zaczęli chodzić a ucinać, tak ponasypowali dziewięć okrutnych worów. Słychali wy co podobnego? Dziewięć worów! Ja im nijakiéj nie czynił przeszkody, po ciemku wzięni mię za jednego ze swoich, tedy gadali, śmiali się, i precz rznęli. Ja ledwie zmiarkował co to za jedni, już chcę się cichaczem wynosić, a tu właśnie o trzy kroki podle mnie, obrzydły Tatarzyn podnosi jakoweś ciałko młodziuchne, śliczniusie..... Jezus Maryja! A toż moje dziecko, mój wnusio jedyny! Już podniósł, i nożysko przytyka do uszka..... ja takich uszków u nikogój nie widział..... to było cacko, kieby one muszelki co je pielgrzymowie noszą na kapicy. Tedy jak wrzasnę, jak mu wyrwę tasak, tak się i zdumiał poganin..... ale zara drudzy przyskaknęli, związali mię kieby barana, a bez ten czas tamten..... o mój Boże! oderznął..... Wiécie wy co mi najcięższéj pomyśléć? To że w dzień Sądny, kiej przyńdzie z martwych powstawać, mój Stasio nie będzie wiedział gdzie znaléźć to swoje biédne uszko..... będzie musiał go szukać po jakichściś Tatarskich śmieciskach!

Słowa dziadzi Szymona, które-by dziś na wszystkich niemal ustach wywołały uśmiéch, wówczas obudziły najszczersze współczucie. Wszyscy posmutnieli. Jedna tylko Elżbieta, posiadająca w rzadkim stopniu święty «dar pocieszania», znalazła wnet odpowiedź:

— Eh, nie martwcie się dziadziu. Niby to Pan Bóg nie widzi gdzie co leży, od początku świata? Niby to niéma swoich Aniołów, co Mu wszystko przynoszą? Niech tylko skinie w ów dzień wielki, a zaraz Anioł-Stróż waszego wnusia przyniesie to uszko, i tak mu je ładnie przylepi, że nim się Staś obudzi, to już i będzie zdrów.

Staruszek spojrzał rozjaśniony:

— Sprawiedliwie mówicie. Bóg zapłać za dobre słowo.

— Takoż więc — przerwał Sylwester — wy popadli w niewolę, a tymczasem załoga Lignicka czekała na odsiecz? I niedoczekała się?

Dziadek machnął ręką.

— E! Nic im się nie stało. Jako ja słychał, wszyćcy wyszli całko. I to zawdy tak bywa. Co stare, niedołężne, to żyje a żyje, na ten przykład, ja. A takowy pąk młodości, to idzie pod nóż.

— I nie próbowaliście wy uciekać? — Zapytała Ludmiła.

— Ja?..... Po co? Gdzie? Żebych można uciec na tamten świat, a! to i owszem. Ale na tym świecie, wszyćko jedno; w Lignicy czy w ciemnicy, w niewoley czy na wolności, już ja go nigdzie nie potkam. Nigdzie! Oj, nieszczęśnik ja nad nieszczęśniki!

Wtedy jakaś kobiéta, owinięta w szarą płachtę, która przy sąsiedniém ognisku leżała na pozór uśpiona, podniosła nagle głowę, siadła, i zatoczywszy posępném spojrzeniem, zaczęła mówić gorzko:

— Ej! Nie gadalibyśta dziadulu. Co to takie nieszczęśliwości kole drugich? Wasz chłoptasek zginon pięknie, obrzednio cirpiał, a wy już wiécie kéj go szukać, między aniołamy. Niedługuchno wam śmierć, i zara go na tamtym świecie obaczycie. Ale ja? Nawet i śmierci nieśmiem się dopraszać, dopóka niewiém kej są moi? U nieboszczyków czy u Tatarów? Kej czy kaj? A już ja chyba najnieszczęśliwsza ze wszyćkich!

— A zkąd wy matko?—Zapytał Sylwester.

— Takuż ze Szlonzka. Dwie lecie na Święty Jakub, kiej mój chłop wzion i umar. Ostało mi się troje drobniusich niebożątek. Śliczne to było, jak ten janiołek co śpi na ręku téj szczęstliwéj niewiosty. Kiej umar, już ja nie mogła

na wszyćko przestarczyć. Aże mój ociec i matula wzieni dzieci do chałupy. Ociec mieli chałupinę i dwa zagony pode Sobotniom górom. Tedy wzieni dzieci, a ja poszła służyć wedle kuchni w klasztorze Trzebnickim. Piękne tamój było życie. Xiężen aż trzy: stara Xiężna Jadwiga, matka naszego Xięcia Hendryka, co klasztór sama-że założyła. Xiężna Adlajda, jéj córka, co ją mać tam Xieniom zrobiła. I Xiężna Anna, synowa, to jest żona Xięcia Hendryka. A mniszki wszyćko wielgie panie, a takuchne pokorne, kieby jakowe chudziątka. Miały na głowie czarne rańtuchy, a na brzeżku, tu, nad samiuchném czołem, wyszyty krzyżyk bioły. I zawdy: a to z xiążki czytajom, a to w Chórze śpiewajom, a to szyjom takie hornaty kieby gwiozdami nasioł. Święte życie. Jeno czasem wziena mię tęschliwość do dzieciów. To zara poproszę Xiężny Jadwigi, a ona powieda słodziuteńko: «Dobrze moja Marto, pójdźta ucieszyć się ze swemi.» I w kuźde Święto, biegłach ja do naszéj chałupy.—Kiej ludzie zaczeni godać co Tatary idom, to my w klasztorze nie dawały wiary abych przyszli w rychle, bo—jako ten stary prawił—ze wszyćkich rzeków mosty pozdejmano precz. — Alić raz, kiej to było? A no tak, w Puniedziałek, stało się u nas wielgie dziwowisko. Już jakoś po północku, stara Xiężna Jadwiga zaczena wołać na swoją najmilszą przyjaciółeczkę Siostrę Demundę, i powieda: «Trza

ci wiedzieć Demundziu, co ja już utraciła jedynaka syna mojego, już on jako ptak odlecioł odemnie.» — Siostra Demunda zara to powiedała drugim Siostrom, a po ranu to już i my w kuchni wiedzioły, jeno to nie chciało nam się w głowie pomieścić, a co Furtyjanka, to śmioła się złośnica, i godoła: «E..... staréj Xiężnie się przyśniło. Zkądby znowu Xiąże Hendryk miał lotać kieby ten ptak?» — Minon dzień — minon drugi dzień — a na trzeci dzień, kole południa, leci konny, z twarzom kieby ściana, i krzyczy: «Xiąże Hendryk zabit! Pode Lignicom Tatarowie naszych za łeb wzieni, i Xięcia Hendryka ubili.» — Więc wszyćcy padajom do nóg staréj Xiężny, i wyznajom co ona wyprorokowała, co ona święta. A potém wielgi płacz. A mnie wzion strach o dzieci i o starych. Łap Xiężnę za kolana, i proszę abych mię z klasztoru puściła. Ona maluśko pomyślała, potém powieda: «Ano idźcie, kiej wam uporno, jeno ich tam już nie najdziecie.» O żeby ja była się pytała, kej mogę ich naléźć? Xiężna to pewnie wiedzioła z objawienia. Ale ja głupia lecę byle prędzéj, przysiadłach się ja do chłopa na wasąg, bo już téż wszyćkie ludzie ze wsiów uciekali po stroniech. Aż i dojechalichmy pode Sobotniom górę. Lecę do chałupy. Ni żywego ducha. A ludzie powiadajom co starzy z dziećmi uciekli do Wrocławia. A no więc i ja do Wrocławia. Ale tam co? Puściuteńko. Jako ten pachołek powiedoł o Krakowie, takuż i ze Wrocławia ludzie umkne-

ni precz. A kto mógł, o się cisnon do Zamku, tam prześpieczno, Zamek okrutnie mocen. Ja tak sobie powiedam. «A może i moi tam som?»—Tedy idę bez most, kołatam do bramy. Wrychle mi otworzyli, myślom co i ja tam chcę siedzieć. Tedy wychodzi do mnie Xiądz bardzo śliczny kieby róża, Xiądz Maciéj.....

— Ach, Xiądz Maciéj! To mój brat! — Zawołała Elżbieta, i odtąd zaczęła słuchać dwakroć pilniéj.

— A to macie godnego brata. Ja powiedom: «Xięże Dobrodzieju, czy tu jest stary Wawrzon z żonom i z mojemi dziećmi?»—A on powieda: «Niewiém-ci matko, nieznam tego Wawrzona, ale pódźwa, będziema szukali.»—I chodzili my od człeka do człeka, a było ludzisków nabitych na Zamku kieby sieczki we worze. Moich ja nie nalazła, jeno Bartłumiej, takuż gospodarz z pode Sobotniéj góry, powiedoł, co starzy sprawiedliwie uciekli kej do Wrocławia, aliści potém zaczeni się bojać o mnie, i poszli do Trzebnicy. A no, więc ja chcę wracać do Trzebnicy, a tu niemożna. Już Tatary w mieście, i bramy ode Zamku niewolno rozwiérać. Tak musiała ja przesiedzieć całkie oblęganie, co prawda nie długuchne, bo stał się cud wielgi. Na trzeci dzień Przyor ode Xięży Duminikanów, sam wyszedł na wały.....

— Co za Przeor? — Spytała Ludmiła. — Czy Xiądz Czesław? Brat Xiędza Jacka Odrowąża?

— Niewiém jakowe mu przezwisko, jeno wiém iże to człek boży. Tedy wychodzi na wały, klęka i modli się tamój pod gołém niebem, chocia strzały furkajom wedłuch niego, kieby te latające węże. Powolu, powolu, twarz mu się robi srodze jaśnista, właśnie bych téż słońce kiej się chce przebić bez obłok. A on wciąż klęczy o tak, z ręcami w niebo, i wielgim głosem przyzowa Pana Boga, aże ja patrzę, a tu na niebie coś mryga..... mryga..... a tu grzmieć zaczyna, chocia nigdzie ani chmurczyny, a niebo czyste kieby woda. A Xiądz Przyor modli się precz—a ja patrzę..... w imię Ojca i Syna.... co to jest? Po niebie leci kula ognista—całka czerwona i włochata — i syczy a pryska, właśnie bych ta podkowa co jom kowal rozpalił w kuźnicy—a za niom leci druga, i trzecia — i takowych ze sześć abo siedem, frrr..... jadom po niebie kieby na nitkach złociuchnych, a wszyćkie spadajom prosto na obozowanie Tatarów. Zara tedy namioty się pozapalały, a Tatarzy w krzyk— jak zacznom wrzeszczéć, a wyć, a uciekać jeden bez drugiego, takci słonko jeszcze nie zaszło, już ich nie było podle miasta. Wszyćkich wygunił ten pożar niebieski. A bez ten czas już nasze ludzie leżeli u nóg tego świętego Przyora. Ja takuż pocałowałach brzeżynę jego sukienki, a potém proszę abych mię puścili ze Zamka, co ja chcę iść do Trzebnickiego klasztora, kej moje dzieci poszli. Ludzie gadajom: «Nie chodź-ta

niewiasto, jeszcze po drogach niepewność.» Aleć to matka nikogoj nie słucha jeno swego płaczu. Poszła ja głupia. Tedy idę—nikto mi drogi nie zachodzi. Aże w jednym lasku, Bożeż mój, taki maciusi był ten lasek! wysypneno się Tatarów dwóch—trzech—dziesięcioro—gnajom za mną—krzyczom—aże jeden mię dognał—i wzion—i oto jestem gdzieś na końcu świata. Oj widzioła ja cuda wielgie, widzioła, jeno żebych jeszcze Pan Bóg zesłał takowego Świętego, coby mi powiedzioł kej są moje dzieci i matula i ociec! Żebych ja jeno cosik o nich wiedzioła, to jabych i łezki nie zroniła. Ale niewiém nicusieńko. Ślépie wypatruję czy które nie idzie? Tchnąć nieśmiem, jeno podsłuchowam czy kej nie kwili które moje maleństwo? I czekam — i nic. O niewiedzieć, niewiedzieć, to najwiętsze skaranie boskie!.....

Tu nieszczęsna kobiéta chwyciła się oburącz za skronie, i zaczęła zawodzić płaczem rozdziérającym, że aż słuchaczom serca się krajały. Elżbieta wzruszona, położyła jéj rękę na ramieniu.

— Uspokójcie się matko,—szeptała—kiedy ich tu niéma, to widno że zostali na Szlązku, Pan Bóg ich ocalił.

Słowa jéj sprawiły wrażenie, ale zupełnie inne niż mogła się spodziéwać: kobiéta pod łagodném dotknięciém téj ręki, wzdrygnęła się jak oparzona, strzeliła ku Elżbiecie i ku Jasiowi

spojrzeniem pełném ponuréj zazdrości, przestała nagle płakać, głowę znów owinęła płachtą, i padłszy na ziemię, już się ani ruszyła, podobna do uśpionéj, a raczéj do umarłéj.

Elżbieta i Ludmiła spojrzały na siebie z rozczuleniem, potém jednocześnie podniosły wzrok do nieba. Ach, w porównaniu z innemi, one jeszcze były szczęśliwe! Sulisław—jak ludzie mówią—żyje, Xiądz Maciéj ocalony, one we dwie razem, Jaś najdroższy przy nich.....

Tak, *dotąd* wiele szczęścia—ale co nie jest, być może..... Cóż przyszłość chowa jeszcze w ciemnych fałdach swojego płaszcza? Strach pomyśléć o przyszłości.... Każda godzina może przynieść nieprzewidziane ciosy, każda mila ubieżona oddala od nadziei.

Na tych rozmowach zeszły nocne godziny. Już poranek szarzeje — ogniska przygasły — powietrze się oziębia—pas mgły niebieskiéj wisi po lewéj stronie, oznaczając zdala bieg rzeki — a Dniestr szumi smutno, ach niezmiernie smutno, bo powtarza echa Lignicy, a przeczuwa echa Cecory.

Promień w chmurze.

Nazajutrz, kazano rzeszy wracać się ku południo-zachodowi. Po kilku dniach pochodu, nastał znów odpoczynek, i to odmienny od poprzednich: porozbijano wielkie wojłokowe namioty, straże zaczęły jeńców gatunkować podług wieku, stanu i wartości, gruchnęła wieść że tu nastąpi podział niewolników.

Padł na wszystkich postrach śmiertelny.

Dotychczasowa niewola wydała się niczém w porównaniu z tajemną przyszłością. Dotąd, wszyscy ci nieszczęśliwi byli przynajmniéj razem, słyszeli polską mowę, nikt niemiał wyraźnego nad sobą pana. Teraz, niewiadomo kogo z kim przemoc rozłączy, kto się komu dostanie, i dokąd będzie zapędzony?

Ten postrach natchnął wielu jeńcom, istnie więzienną odwagę i przebiegłość.

W ogromnym ruchu jaki nastał przy porządkowaniu obozowisk, nie obeszło się i bez różnych nieporządków, a te ułatwiały śmiałe przedsiewzięcie. Wielu jeńców znikło. Zniknął między innemi i giermek Sylwester.

Gruchnęła znów między brańcami druga wiadomość, upajająca nadzieją, olśniewająca rajem złotych obietnic: szeptano sobie, że o jeden tylko dzień drogi płynie Prut, a za nim rozciąga się ziemia wolności, ziemia jeszcze nietknięta przez Tatarów.

Nastało zbiegostwo na wielką skalę; często przedsiębrane nieprzezornie, bo nadzieja odbiérała zmysły, często się też kończyło tragicznie; krocie zbiegów podchwycone w drodze, konały pod batogami lub w najwyszukańszych męczarniach, jak naprzykład, na wpół przepiłowane, lub zatłuczone żarzącemi głowniami. Ale te przykłady nie odstraszały innych, owszem jeszcze rozpaczliwszą nadawały siłę do wydobycia się z podobnego piekła; wielu, zwłaszcza młodszych i silniejszych, przepadło bez wieści, tylko fale Prutu na ziemi, i obłoki na niebie, wiedziały, czy dopłynęli do drugiego brzegu, czy doszli kiedyś do swoich?

Ludmiła chciwém uchem chwytała wszystkie wieści, najzuchwalsze zamiary snuły się w jéj myślach. Nawet Elżbieta, owa wiotka, drżąca istota, co dla saméj siebie nie mogła-by jednéj

mili ubiedz, dla dziecka była gotowa na wszystko. O! Bo któż mógł przewidzieć co groziło Jasiowi?

Całe godziny siedziały, szepcąc i wynajdując tysiączne sposoby ucieczki. Ale ostatecznie, każda rozmowa kończyła się najgłębszém zniechęceniem; każdy z tych sposobów, po dokładnym rozmyśle, okazywał się niewykonalny, bo jeśliż mężczyzna, silny i sam jeden, tając się po bagnach, mrąc głód po jaskiniach, ledwie cudami odwagi mógł czasem ocaleć, cóż mogły przedsiębrać dwie kobiéty, strzeżone pilniéj od wielu, i jeszcze obarczone dzieckiem, które nie wytrzyma ani zbytnich trudów, ani zbytniego wygłodzenia, które może najniewinniéj zdradzić je przez jeden krzyk, jeden ruch niewłaściwy?

A jednak, trzeba się spieszyć, bo jak raz podział jeńców nastąpi, jak zapędzą je w dal nieznaną, o! wtedy już wszystko przepadnie!

Prawda, — lecz niemożna niczego rozpoczynać bez niejakiéj pewności powodzenia, bo zacząć a nie skończyć, utracić względną łaskawość jaką dotąd są otoczone, a wywołać zemstę, popaść w te męczarnie jakiemi zbiegostwo jest karane, a na które nasze branki codzień patrzą, popaść w nie razem z Jasiem..... o! wtedy lepiéj się nierodzić!

Wśród tych wahań, pewnego wieczoru, przyszła Elżbiecie myśl osobliwsza.

— A czyby—rzekła—nie wciągnąć Wasylka w nasz spisek?

Myśl ta nie była tak dziką jak się z piérwszego rzutu oka wydaje. Wasylko przedstawiał w swoich czynach, usposobieniach i słowach, jakąś mieszaninę sprzeczności, która mogła wszystko uczynić prawdopodobném.

Z początku, zdawał się nieubłagany, srogi jakby rodzony Tatar; i rzeczywiście był takim póki spełniał wyroki władzy. «Władza» przedstawiała mu się jakby cóś boskiego, była to dlań potęga, z którą walczyć jest szaleństwem, nad którą nawet rozumować, grzechem. Gdy kazano, siekł i krajał ludzi, i ręka mu nie zadrżała, powieka mu się łzą nie zamroczyła. A prosto od katowni biegł do swego namiotu, i przed świętemi obrazami bił pokłony z najgłębszą skruchą, z najpłomienistszém nabożeństwem. Gdziekolwiek rządzący nie objawili mu wyraźnie swéj woli, tam był pobłażliwy, miękki, nawet skłonny do ustępstw niezgodnych z duchem władzy; on się nie troszczył o ducha, jemu chodziło jedynie o dosłowne wykonanie rozkazu. To téż jeniec mądry, byle umiał uniknąć krzyczących pozorów niekarności, wiele mógł od niego wytargować.

Takim to zlepkiem gliny i kamienia był Wasylko. Tak to Mongołowie umieli ludzi dla

siebie urabiać. Na każdego wynaleźli jakiś talizman posłuszeństwa, jakieś przerażające, czarnoxięzkie słowo, co wolną i czującą istotę, przemieniało na ślepe narzędzie ich ręki.

Jakież było słowo którém okiełznali Wasylka? Nasze branki długo patrzyły pilnie w jego duszę, nie mogąc zrozumiéć téj zagadki, — nakoniec zrozumiały: Wasylko miał córkę.

Była to ośmioletnia, nędzna, drobna dziewczynka. Zwała się Glafira. W swojéj czerwonéj spódniczce, niebieskim gorsecie i pozłocistym djademie nad główką, kręciła się między jeńcami, ponura i milcząca. Rysy miała wyblakłe, zmięte, niełądne, ale tą niełądnością która często zapowiada najwykwintniejszą piękność. Dusza jéj była ztargana widokiem okropności, na jakie nieustannie musiały niewinne jéj oczy patrzéć, aż oczy stały się szkliste, zmrożone przerażeniem, tém przykrzejszém że już zobojętniałém. Nasze branki nie pojmowały, jak ojciec mógł ją narażać na podobne wrażenia, jak mógł ją wlec za sobą między tą zgrają szatanów? Aż kiedyś, w dłuższéj rozmowie, Wasylko sam wyjaśnił im tę rozdziérającą tajemnicę.

— Moja Glafirka — mówił — także przeznaczona do Chańskiego dworu. To jest..... jeżeli wyrośnie tak pięknie jak sobie nasi panowie obiecują. Dałby wielki Bóg! Jeśli nie, to jeszcze, — mam nadzieję — dostanie się jakiemu zna-

komitemu wodzowi, a mnie wyraźnie przyrzeczono, że do śmierci będę przy niéj służył.

— Więc i wy niewolnicy? — Zapytały zdumione niewiasty.

— Niewolnicy..... Niewolnicy..... Nie można tak mówić. W każdym razie nie tacy jak wy.— Odpowiedzał Wasylko z rodzajem dumy, która mogłaby się wydać śmieszną, gdyby nie była tak bolesną.

— Przed trzema laty — mówił — mieszkałem sobie jeszcze w moim własnym domu, w Uściugu. Nie były wy nigdy w Wielkim Uściugu? Prawda że to daleko, ztąd musi być przynajmniéj z miesiąc drogi, ale dobry gród, i naród w nim dobry, jak całuje krzyż, to nietylko ustami ale sercem. Żona mi pomarła dawno, i tylko mi została ta jedna dziecina. To téż ją pomiłowałem więcéj niż chléb i sól miłe ustom, więcéj niż słońce i złoto miłe wszelkiemu żyjącemu oku. Nieraz mię ludzie namawiali: «Wasyl Kiryłowicz, żeń się z Agrafieną Iwanówną, ona taka tłuściutka i biała jak sterlet, a sławnie umié robić piérogi i korowaje, sam Tijun je raz pochwalił.» A ja mówię: «Niczego nie gadajcie, ja niechcę aby macocha biła moją jedynaczkę.» A Protopop Mitrofan mówił mi: «Wasyl Kiryłowicz, to nie po zakonie tak żyć bez żony; oto jest moja siostrzenica, Sofja Dawidówna, nie bardzo krasna, ale jéj brat jest Pisarzem przy Posadniku; już my tak rzeczy ustroimy, że Posadnik będzie

wszystko tylko u was kupował, i staniecie się bogaczem.» A ja odpowiadałem: «Święte słowa, ojcze Mitrofan, ale ja niechcę aby macocha biła moją jedynaczkę.» I odepchnąłem największe losy, tak to ja miłowałem cudną moją Glafirkę. A choć Posadnik u innych kupował, przecież i moje kupczenie szło nieźle, kunie skórki się zbijały, i nawet niańka Glafirki nosiła srebrne zausznice. Prawda, że co jesień nastawała ciężka chwila, przyjeżdżał Baskak..... Wy niewiécie co to Baskak? To poborca Chański, który wybiéra podatek. Jak wielcy Tatarzy do nas przyszli, zostawili nam naszych władyków i naszych kapłanów, i pozwolili rządzić się po dawnemu, tak nam się przynajmniéj z początku zdawało, ale na prawdę dzieje się inaczéj..... bo co jesień, kiedy przyjedzie Baskak—rodzaj małego Chana— to zmienia Posadników i Tijunów podług własnéj mądrości; wybiéra tych co mogą więcéj zapłacić, i podatek wybiéra także według własnéj mądrości, i to nietylko w skórach, sztabach, wszelkich rzeczach, ale także i w ludziach; a że nie wszyscy mogą tyle dać co on każe, więc nieraz wielki skwiérk i krwi rozlanie. Przez kilka lat przyjeżdżał do nas Baskak bardzo łaskawy; wziął naprzód podatek dla Chańskiego Skarbu, potém podatek dla siebie samego, wprawdzie co rok większy..... no, ale przynajmniéj odjeżdżał wesół, i jeszcze poklepał mię po ramieniu, mówiąc: «Gdyby wszyscy tacy byli jak Wasylko, to by

nie trzeba nikogo bić ani zabijać.» — Ale temu trzy lata, przyjechał na moje utrapienie inny Baskak. Niewiém czy tamten pomarł, czy go gdzieindziéj wysłano, ale ten inny był..... inny..... Przyjąłem go z końmi, ludźmi, telegami, karmiłem, bawiłem, podatek oddałem, a on ciągle był nachmurzony, i ciągle mówił: «Mało.» Aż ostatniego dnia, trzeba nieszczęścia że mu się Glafirka nawinęła przed oczy. Uśmiéchnął się i powiedział: «Będzie z niéj piękna dziéwka, biorę ją dla Wielkiego Chaana.» Mnie się w oczach zaćmiło, tłumaczę że ona jeszcze taka mała, że u mnie lepiéj się odchowa, że jak dorośnie to ją oddam, ale teraz..... to jedno mam tylko dziecko. Jakoś nie mogłem go przekonać. Leżałem u nóg jego, obiecując że byle mi zostawił Glafirkę, to zapłacę drugie tyle podatku, no—jeśli trzeba, to oddam wszystko co posiadam. Baskak zniecierpliwiony krzyknął: «Wielka sztuka że mi oddajesz to co ci mogę zabrać, co nawet jest moją powinnością zabrać, za karę że mi się sprzeciwiasz.» I tak téż zrobił. Zabrał mi wszystko, wszyściuteńko, towary i sprzęty, srebro i miedź, nawet szubę w jaką się przystroiłem na jego przyjęcie, i tę mi zdarli z karku. Potém kazał mój dom zapalić, włożył na wozy całe moje mienie, a na ostatni wózek..... wsadził moją córkę. Wtedy ja przypadłem do nóg jego, wołając aby już i mnie zabrał, klnąc się że będę służył jak pies, byle mię z dzieckiem nie rozdzielał. On

znów się uśmiéchnął i odpowiedział: «Dobrze, ale musisz robić wszystko co ci każemy, bo za każde przewinienie, twoje dziecko odpowié.» I pojechałem, i oto już trzy lata jeżdżę z memi panami. Z początku—nieraz bywało—kiedy mi kazali bić ludzi lub na śmierć zamęczać, to wzdragałem się i płakałem, a panowie moi mówili: «Dobrze, nie rób, ale Glafirka weźmie rózgi.» A wiém co to są Tatarskie rózgi. Więc słuchałem. Raz..... kazali mi rzecz taką okropną, że powiedziałem; «Kłaniam się wam, biję czołem, ale jest Bóg na niebie, tego nie zrobię.» A mój dzisiejszy pan, Kargan, powiedział: «Dobrze, idź sobie precz, znajdzie się kto inny co naszą wolę wykona, ale ty już Glafirki nigdy nie zobaczysz.» I zakryli ją czarnym wojłokiem. Cóż było zdziałać? Zrobiłem wszystko co kazali, i teraz już chwała Bogu, jakoś mię odeszła ta babska pieskliwość, już każdy rozkaz wypełniam bez pomruku, jak przystało na wiernego sługę. Tak to się u nas dzieje, tak.

Branki spojrzały po sobie z najgłębszém przerażeniem.

Ludmiła rzekła do Elżbiety:

— Co najokropniéj pomyśléć, to że i u nas w Polsce będzie się tak samo działo, kiedy już raz Tatarzy weszli.

Elżbieta chwyciła rękę Wasylka i wyrzekła z głębokiém współczuciem:

— Nieszczęśliwy ojcze!

Wasylko spojrzał na nią oczami okrągłemi od podziwienia. Nagle, padł jak długi na ziemię, trzy razy czołem uderzył, i mówił szlochając:

— O święte niewiasty! Ja od trzech lat, jeszcze takiego słowa nie słyszałem! Kargan mój pan, zawsze mi powiada że ja powinien uważać się za bardzo szczęśliwego..... Inni jeńcy patrzą na mnie jak na dzikie zwierzę..... Wy piérwsze..... o! powtórzcie mi jeszcze że ja nieszczęśliwy!

Elżbieta i Ludmiła na dobre się rozpłakały, a on zawołał Glafirkę, i kazał jéj także bić czołem przed niewiastami,—bo—mówił—one prawie tak wielkie jak Święta Zofja, one płaczą nad ojcem twoim!

Odtąd podobne rozczulenia powtarzały się niemal codzień. Wprawdzie, ile razy przechodził Kargan lub jaki inny Tatar, Wasylko nagle odzyskiwał swoją sztywność i nieme posłuszeństwo, ale coraz częściéj wywnętrzał się przed niewiastami, coraz pilniéj uważał czém by im dogodzić?

Ta szacowna życzliwość nie wyrosła nagle, z jednéj tu przytoczonéj rozmowy; był to owoc długich, mozolnych usiłowań. Już od wyjścia z Iłży, branki nasze powoli a nieustannie pracowały nad rozbrojeniem swojego dozorcy. Elż-

bieta, macierzyńskiém okiém zaraz dostrzegła najczulszą strunę jego serca, i pieszczotliwie zaczęła przygarniać Glafirkę. Dziewczynina z początku uciekała; przyzwyczajona do nienawiści innych jeńców, lub do pogardy okazywanéj przez Mongołów, nie mogła uwierzyć w tę niezrozumiałą dla niéj dobroć. Powoli jednak, ośmieliła się do niewiast, które tak słodko mówiły o Bogu, a co dziwniejsze, chwaliły jéj ojca. Ach, za to jedno pokochała je nagle, i zaczęła przywiązywać się do Jasia; starsza o lat kilka, uważała się względem niego prawie za dorosłą, nosiła go na drobnych ramionach, a Jaś był taki milusi, taki «przylepkowaty», że każda poczciwsza dusza, prędzéj czy późniéj musiała do niego przylgnąć.

I jak się tu potém dziwić, jeżeli serce Wasylkowe zmiękło? Kiedy jeszcze Elżbieta zdjęła z piersi złoty łańcuszek z turkusowym krzyżykiem, jedyny klejnot jaki pod suknią przechowała, i zawiesiła go dziewczynie na szyi, ojciec skamieniał z podziwu.

— Jakto? Wy jéj to dajecie na prawdę? Na zawsze? To będzie jéj własne? Jéj własne?—Powtarzał z niedowierzaniem. Przywykły do chciwości Tatarów co ze wszystkiego obdziérali, i do nieufności jeńców którzy ze wszystkiém się kryli, niewiedział sam co myśléć.

Trzeba téż wyznać, że dobre słowa i łzy współczucia, miały w oczach Wasylka wielką

wartość, ale jedno kawałątko złota, miljon razy większą.

Podbiwszy serce swego strażnika, branki zaczęły pracować nad jego umysłem. Przypomnijmy sobie, że Elżbieta celowała w téj trudnéj sztuce, któréj zwolna ulegali najtwardsi rycerze i monarchowie. Z Wasylkiem cięższa była sprawa niż z Xięciem Bolesławem, cięższa nawet niżeli z Zyndramem, ale téż gwałtowność niebezpieczeństwa spotęgowała jéj wymowę i urok, do siły prawie cudownéj. Gołębica zaczęła na skrzydłach swoich podnosić zwolna tę upadłą duszę, przedstawiać świętość miłosierdzia, obowiązki ludzkości, straszność sądu Bożego. Wasylko chodził pomieszany, obiecywał sobie że już nie będzie słuchał daléj, a przecież zawsze wracał do słodkiéj kaznodziejki, u któréj na kolanach znajdywał najczęściéj Glafirkę siedzącą razem z Jasiem.

Ludmiła wywiérała na nim inne, niemniéj silne wrażenie; podziwiał jéj odwagę, jéj stanowczość, troszkę drżał przed nią, jakby przed jaką *władzą*.

Kiedy się zbliżyli do Prutu, Wasylko już tak mocno był zawojowany, że Elżbieta ośmieliła się powiedzieć pewnego poranku:

— Jak mi żal téj biédnéj Glafirki! Wielki strach mię bierze o jéj przyszłość.

— Czemu?—Spytał zaniepokojony ojciec.

— Bo życie, okupione mękami tylu innych ludzi, nie może miéć błogosławieństwa Boskiego. Wiara nas uczy, że winy ojców spadają na dzieci.

Wasylko ruszył ramionami i wyszedł nieco urażony.

Jednak, po jakiéj godzinie, wrócił. Kręcił się w koło branek, spoglądał z pod oka, to na nie, to na córkę, aż zapytał:

— Więc wy mówicie, że Glafirka nigdy nie będzie szczęśliwa?

— Ja tego nie mówię, tylko tak się boję.....

— Ale przecie ona nie grzeszy? Ja dla niéj grzeszę, no to prawda..... Ja dobrze wiem, że to grzech okropny kiedy Chrześcjanin pomaga poganom, i drugich jeszcze Chrześcjan męczy..... ale cóż było robić? Tylko postawcie się na miejscu ojca..... Dać ją sobie zabrać? Do śmierci już jéj nie zobaczyć?

— Mój kochany Wasylku, posłuchaj: wszystko co dotąd robiłeś, to może ci Bóg przebaczy, bo rzeczywiście nie miałeś innych sposobów ratunku. Ale gdybyś mógł usunąć się od pokus, a nie usunął się i grzeszył daléj, o! wtedy by ci Bóg nie przebaczył.

— Usunąć się? Łatwo gadać. Jakże to zrobić?

— A jakże robią ci wszyscy jeńcy którzy w tych dniach uciekli? Bo jednak są tacy których nie złapano, sam to mówiłeś. Tobie łatwiéj zbiedz niż każdemu innemu, bo ty chodzisz wolno, ciebie nikt nie strzeże. A gdybyś téż uciekł daleko, daleko, razem z twoją Glafirką? Gdybyśmy wszyscy razem uciekli?.....

Kiedy Elżbieta wymawiała te słowa, usta jéj drżały, serce w niéj biło młotem. O, bo téż to były niebezpieczne słowa! Rzucała kości przeznaczenia. Ta chwila mogła wszystko wyratować, albo wszystko zgubić. Straszna to rzecz, ostrzegać własnego dozorcę o zamiarze ucieczki.

Ludmiła była blada jak chusta.

Wasylko nietylko pobladł ale zlodowaciał. Patrzył to na jedną, to na drugą, jak człowiek co się ze snu budzi, potém szepnął:

— Nie trzeba takich słów nawet z ust wypuszczać..... ludzie mogą słyszéć..... trawa słyszy..... powietrze słyszy.....

I położywszy palec na ustach, wyszedł, zostawiając branki w najokropniejszéj niepewności.

Przez kilka godzin nie widziały go na żywe oczy.

Co robił przez te godziny? Czy się namyślał? Czy poszedł, aby wydać wszystko przed starszemi, dla otrzymania nagrody, a przynajmniéj pochwały?

Takich kilka godzin, kosztuje kilka lat życia.

Dopiéro, przynosząc wieczerzę, pojawił się z jakimś wyrazem twarzy niezrozumiałym, dziwnym. Wprowadził branki do namiotu, wszystkie wojłoki starannie pozapuszczał, i kilka razy obejrzawszy się z trwogą, zapytał głosem ledwie dosłyszalnym:

— Po co wy mi gadacie takie niedobre słowa? Przecież mogłyście myśléć, że pójdę i powtórzę, tym co powinni wszystko wiedzieć.....

— Nie! — Przerwała żywo Ludmiła. — Nie, myśmy tak nie myślały, bo my wiemy że Wasylek jest nietylko nieszczęśliwy, ale i uczciwy.

To dyplomatyczne kłamstwo, którego Wasylek pewnie od lat wielu nie słyszał, wzruszyło go do głębi, że aż poczerwieniał. Smutnie potrząsnął głową i odpowiedział:

— Dobrze mówicie..... nie powiem, chociaż może powinien-bym powiedzieć..... No, ale po co wy mi gadacie takie rzeczy? Człowiek nabije sobie głowę bajkami, i traci spokojność. Bo przypuśćmy..... no, cóż to szkodzi pobawić się w bajki? Przypuśćmy że wracam z Glafirką do Uściuga. Cóż daléj? Niéma tam już ani mego domu, ani moich towarów, potém Baskak przyjeżdża, poznaje mnie, i cóż? Lepiéj się zaraz dziś obwiesić.

— Ależ mój Wasylku, — odparła Elżbieta, w głębi duszy uradowana że rybka już ukąsiła wędkę, — mój Wasylku, byłbyś chyba człowiekiem obranym z rozumu, gdybyś powracał do Uściuga. Czyż to niéma tylu innych krajów?

— Jakie kraje?—Pytał z niedowierzaniem.

— Najprzód, powiédz nam gdzie my teraz jesteśmy, i jaka to ziemia wolna leży za tą rzeką?

Tak pytały niewiasty, bo nie były mocne w jeografji.

Wasylko je objaśnił po swojemu:

— Jesteśmy w Kumanji, gdzie długo mieszkali Połowcy, aż ich Tatarzy wypędzili. Teraz ta cała kraina leży pustką. Po drugiéj stronie Prutu, jeszcze na kilka dni drogi ciągnie się Kumanja, a potém, (jak słyszałem od moich panów,) pomiędzy górami zaczyna się Baszkirdja, gdzie mieszkają Ugry.

— Węgry! Węgry! Ojczyzna królowéj Kingi!—Zawołały branki z radością. Nazwa «Baszkirdji» nie była im obcą, bo sami Węgrzy wtedy mieli się za Baszkirów, i to miano bez urazy przyjmowali.

Ale radość niewiast prędko się zachwiała.

— Mój Wasylku, jakżeż te różne wiadomości pogodzić? Słyszymy ciągle, i sam to mówisz nieraz, że Tatarzy jadą na Węgry, że zabiorą Węgry. Więc oni już tam są wszędzie?

— A właśnie że nie..... — Odparł tajemniczo. — Nasi panowie są mądrzy. Oni jadą na Węgry od takiéj strony zkąd ich się nikt nie spodziéwa, od waszych ziem Lackich, i to dwoma wojskami; jedno idzie przez kraje Halickie, drugie przez te wszystkie jakieś Lignice i Trzebnice, o których to jeńcy gadali. Oj! Nasłuchałem ja się i od samych Tatarów, o téj całéj obławie na Lachów i Ugrów. Ale wszystko dzieje się teraz od północy. Na południu zostawili cały kraj nietknięty. A czemu? Bo chcą na powrót miéć drogę wygodną, pełną paszy, i ludu coby dla nich pracował. Dobrze wiedzą że jak wszystko do kolutka okrążą, to im i ta część ziemi nie ucieknie. Więc widzicie: tam także nie warto się chronić. Za pół roku albo i za miesiąc, zwalą się i tam nasi panowie.

— Prawda Wasylku, ale zanim tam przyjdą, można przez tę część Węgier uciec jeszcze daléj.

— Jakto, daléj? Czy jest jakie «daléj?»

— A jakże! Przecież za Polską i Węgrami, ciągnie się ogromne cesarstwo Niemieckie, daléj prześliczna Francja, a potém Włochy cudowne, a z boku sławna Hiszpanja, a mój Boże! jest w czém wybiérać! Przecież Tatarzy od razu tego wszystkiego nie zabiorą?

Wasylek otwiérał wielkie oczy. Ale po chwili kiwnął ręką pogardliwie, i rzekł:

— No i cóż? To wszystko poganie. Na jedno wyjdzie zostać między Tatarami.

— Co ty gadasz Wasylku? Przecież to są narody Chrześcjańskie, i bardzo, bardzo pobożne.

— Nie może być, ja nigdy o nich nie słyszał. I wy powiadacie że to są ludzie chrzczeni? Na prawdę chrzczeni?

Branki niemogły się powstrzymać od uśmiéchu. Kiedy zaczęły opowiadać, jakie to w owych krajach są malowane zamki, jacy tam przepyszni rycerze, jakie Turnieje z nagrodami świécącemi od klejnotów, jakie wspaniałe nabożeństwa po kościołach, tak wysokich że wieżami dosięgają nieba, Wasylek oniemiał, zapłonął ciekawością, a razem i — posmutniał. Te wieści burzyły wszystkie jego pojęcia; dotąd wyobrażał sobie że tylko jego ziomkowie są Chrześcjanami, że to jedyny lud wybrany od Boga, zajmujący sam środek okręgu ziemskiego, a dokoła siedzą sami poganie, a za poganami już nic, koniec świata, jak uciął. I nie można mu się dziwić, bo jeśli widywał cudzoziemców, to tylko Mordwinów, Czuwaszów, Połowców, Pieczyngów, nakoniec Mongołów, samych bałwochwalców, a już co najwyżéj Mahometan, których nie odróżniał od pogan. Kraje nad-Wołżańskie były odwiecznym traktem, po którym nieustannie waliły się i przewracały wzajemnie bałwany barbarzyństwa.

Już wszedłszy z Tatarami do Polski, Wasylko dziwił się że tam zastaje ludzi «chrzczonych.» Teraz, kiedy posłyszał o jakichś jeszcze dalszych narodach, ciągle zapytywał «kto tam rozkazuje? Czy Mścisław Jarosławowicz? Nie. Więc Daniel Mścisławowicz? I ten nie. A więc któryż z naszych xiążąt?» A kiedy mu tłumaczono, że te narody mają swoich własnych xiążąt, co nie płacą daniny ani Kijowianom, ani Nowogrodzanom, ani Wielkiemu Chanowi, nadął się i krzywo spojrzał na niewiasty, jak na istoty bezrozumne, lub chcące go wywieść w pole.

Szczęściem, przyszło Elżbiecie na myśl państwo Bizantyńskie. Nie umiejąc dokładnie oznaczyć odległości, na traf zaręczyła Wasylkowi, że niech tylko Prut przepłyną, a za kilka dni będą w Carogrodzie, tam zaś Cesarz Grecki weźmie ich pod swoją opiekę, bo—dodała—znałyśmy się dobrze ze sławną Xiężną Kingą, która jest królową Lachów, a jego bliską krewną.

Już co o Carogrodzie to słyszał Wasylek, ale dotąd myślał, że Carogród, Rzym, i Jerozolima, to są jakieś miejsca nadziemskie, zawieszone gdzieś *za* końcem świata, na jakichś wyspach czy górach zaklętych, gdzie tylko wielcy kniaziowie albo wielcy święci cudownie dochodzą.

Teraz, kiedy usłyszał, że on, Wasyl Kiryłowicz, mógłby tam być za dni kilka, zadumał się głęboko.

Jeszcze jednak nie zdawał się przekonany. Po długiéj rozmowie, wstał, czyniąc tę straszną uwagę:

— No, jeszcze ja, mężczyzna, mógłbym się wydostać..... nawet z Glafirką, bo już spora i zręczna. Ale ciągnąć za sobą dwie niewiasty, i jeszcze dzieciaka co się wszystkiego boi, to szaleństwo! Choćby tylko Prut przepłynąć? Ja po tatarsku uczepię się konia, dziewczynę wezmę na barana, i jestem w Baszkirdji. Ale z was wielkie panie, pływać nie umiécie. Nie! Ani myśléć.

I wcale nie słuchając przeciwnych zapewnień, wyszedł.

Niewiasty pozostały porażone obawą nowego zwrotu rzeczy, nowego a najgorszego jaki tylko mógł wypaść: przewrotny Wasyl gotów skorzystać z ich rady, ale tylko dla siebie i dla córki, a je same, ach i z Jasiem, gotów pozostawić w obozie, na łasce nieznajomych, pozbawione ostatniego sojusznika!

Co prędzéj zawołały Glafirkę do swego namiotu, nakarmiły ją, napieściły, i położyły między sobą, zapewnione przynajmniéj że jeśli Wasylko zechce w nocy uciekać, będzie musiał pierwéj z rąk im wydrzéć ten zakład.

Aż do świtu, ani jedna ani druga nie zmrużyła oka. Dzieci spały jak najsmaczniéj.

Nad ranem, Ludmiła nagłym rzutem podniosła się z posłania; przyszła jéj do głowy myśl

genjalna. Zwierzyła się z nią Elżbiecie, i wnet obie zaczęły zamieniać jakieś dziwne, dobrowróżebne uśmiéchy. Widząc przytém że Wasylko w nocy nie szukał córki, ze spokojniejszą już myślą na niego czekały.

Rano, przyniósł śniadanie złożone z mléka i kaszy. Ciągle był ponury. Obejrzawszy się dziesięć razy, westchnął i zagadnął:

— Myślałem ja całą noc nad wszystkiemi cudami o jakich gadacie. Ale co mnie po nich? Niémam ani jednéj skórki soboléj, ani jednéj obrzynki srebra, jak ucieknę między obcych ludzi, z czego ja będę żył? Pomrzemy z głodu, ja i dziecko. Chyba najmę się za kata? No, to już lepiéj zostać tu gdzie jestem. Tu przynajmniéj dają nam ciepłą odzież, niezłą strawę, praca przykra ale nie ciężka, a Glafirka jak dorośnie, zostanie wielką panią u jakiego Chana.

— Wasylku,—rzekła poważnie Ludmiła,— trzeba ci wiedzieć że myśmy w naszym kraju były bardzo bogate, i że mamy Boga w sercu, potrafimy przecie być wdzięczne. Elżbieta zostawiła w Polsce męża, który ci zapłaci dużo, bardzo dużo złota, jeśli mu żonę i syna odprowadzisz zdrowo. Ja męża niémam, więc mogę sama rozporządzać mojemi włościami; a jest ich nie mało; nie objechał byś ich przez dni siedem.

A w tych włościach stoi kilka zamków, takich pięknych jak w życiu nie widziałeś. Ja ci dam jeden taki zamek, z wieżami, z lasami, z jeziorami, gdzie będziesz sobie mieszkał jakby jaki Baskak. Będziesz siedział na purpurowém krześle, będziesz jeździł we sto koni, będziesz miał ogromne sfory do polowania, będziesz jadał na srebrnéj misie, a Glafirka będzie chodziła w złotogłowiu i cała w perłach, potém ją wydamy za jakiego rycerza, który ją zawiezie na Dwór królewski, i teścia królowi przedstawi, jako wybawcę Polskich branek.

To już były pokusy nad siłę Wasylka. W piérwszéj chwili niedowierzał, potém dał się porwać zapałowi Ludmiły. Zapał ten i ją samą porywał coraz daléj, może za daleko, ale wtedy wszystko jéj się zdawało możebném, byle tylko przekonać swojego słuchacza.

I przekonała.

Wzrok mu się zaiskrzył, policzki zaszły ogniem.

— O niewiasty! Niewiasty! Czy wy mię nie zwodzicie? A kto mi ręczy, jak raz tam będziemy, czy nie wyprzecie się wszystkich obietnic?

Jednak po chwili dodał:

— No, nie. Miałyście jeden łańcuch złoty, i ten oddałyście Glafirce za darmo. Wy dobre niewiasty. Wierzę wam, i zrobię wszystko.

Od téj chwili nie można było poznać Wasylka. Myśl ucieczki długo nie chciała mu się w głowie pomieścić, ale téż kiedy raz tam weszła, wziął się do niéj z gwałtownością tatarską i przebiegłością bizancką.

Zaraz tegoż dnia w południe, zostawił branki pod strażą swoich podwładnych, a sam oddalił się, niby dla wzięcia rozkazów z téj części obozu gdzie mieszkali wodzowie, w rzeczy saméj zaś dla przepatrzenia dróg, i ułatwienia przeprawy przez rzekę.

Bawił całe dwanaście godzin. Dopiéro dobrze po północy, wsunął się do namiotu, gdzie branki czuwały, oczekując na niego ze drżeniem. Światła nie zapalił, w ciemnościach zbliżył się i szeptał:

— Od Prutu wyborne wieści, cudowne wieści. Wystawcie sobie: znaleźli się, (i to z naszego wojska) ludzie, którzy co noc na czółnach przewożą całe kupy jeńców, ma się rozumiéć za opłatą, i grubą. Jeśli się kto nie dosyć opłaci, to zaraz go wydają. Starsi wiedzą wybornie o tém, ale niby nie wiedzą i nie widzą, bo ci mali oddają im większą część opłaty, i tak idzie przemysł, aż słodko patrzéć, jakbyś miód oblizywał. Okropnie żałowałem żem was wszyst-

kich od razu nie wziął, bylibyśmy o téj godzinie już na drugim brzegu. No, co się nie zrobiło téj nocy, to się zrobi na przyszłą.

— Ale czémże my im się opłacimy? — Spytały niewiasty.—I ty nic niémasz, i my nic niémamy.

— No..... już ja znalazłem sposób.

Jakoś Wasylko teraz na wszystko miał «sposób».

— Byłem téż — daléj mówił — i w obozie wodzów. Ztamtąd znów niedobre wiadomości. Wczoraj przyjechał już poborca Chański, Kajkuł. Wielki człowiek, on wybiéra dla Chaana co mu się podoba. Przyjechało téż z nim i kilka pań Tatarskich, które aż tu przykoczowały, aby sobie wybrać lepsze łupy i niewolniki, bo jak raz Kajkuł weźmie dziesięcinę dla Wielkiego Chaana, to nie minie i tydzień a nasi ludzie już wszystko rozdrapią. Dałby Pan Bóg, aby choć jutro nie zjechali! No już dnieje..... Byle ten dzień przebiédować, a wieczór dam strażom tarassunu, kumysu, arraki, czego zechcą, ile tylko zechcą, spoję ich na śmierć, i wymkniemy się jak węże. Już ja za wszystko ręczę.

Mówiąc, zaciérał ręce, chwytał się za piersi od radości. Potém cichutko wyszedł, bo już coraz mocniéj szarzał dzień.

Ach! Miałżeby to istotnie być ostatni dzień do przebycia w niewoli?

Nasze branki były tak wystraszone nieszczęściami, że już nawet nie śmiały się radować.

Siadły, licząc chwile, nie jedząc ani pijąc czasem spoglądając na siebie z upojeniem, i wyczekując błogosławionéj nocy.

Straszny dzień.

Ale nim noc zapadła, zaszły wielkie wypadki.

W samo południe, powstał zgiełk pomiędzy jeńcami.

Powtarzano:

— Już idzie! Już idzie!

Straże biegały, wywlekały z namiotów kobiéty i dzieci, potém, z wielkiém trzaskaniem nahajek, ustawiano je rzędami.

Mężczyźni stali osobno.

Wasylko wpadł do naszych branek z twarzą pozieleniałą, i głosem ochrypłym od strachu, wyrzekł:

— Zgubieni jesteśmy. Kajkuł idzie.

Popchnięte przez Wasyla, wyszły przed namiot, i stanęły, sukniami swemi zakrywając Ja-

sia. Bóg im udzielił taką dziwną łaskę, że w owéj chwili zupełnie przestały myśléć.

Przez ulice wyciągnięte między namiotami jechali konno wodzowie, spieszący aby zbiérać resztki z Chańskiego stołu.

Wasylko szepnął:

— Patrzcie, oto jedzie ku nam Ajdar, a przy nim brat jego Toktysz, z małżonką swoją Arguną, a tuż przy nich, Szaman.

Istotnie, Behadyr Ajdar jechał z blaskiem i chrzęstem, prosto ku naszym niewiastom. Za nim ów niższy wojownik w czerwonym kaftanie, wedle objaśnień Wasylka «starszy brat» Ajdara. Przed namiotem zsiedli i zaczęli żywą rozmowę. Zsiadła i Arguna, niewiasta sucha i żółta, odziana długim chałatem ze pstréj Chińskiéj tkaniny, dźwigająca na głowie kołpak wysoki jak wieżyczka, z całym lasem pióropuszów zatkniętych u wiérzchu.

Najdziwniejszą osobistością w tém gronie, był ów towarzysz którego Wasylko nazwał «Szamanem», taki dziwny, że naszym brankom zaćmiło się w oczach, jakby już zobaczyły przedśmiertne straszydło.

Szaman był wsunięty w rodzaj pochwy skórzanéj, szklącéj się od łaskotliwych połysków, naszytéj brzękadłami i tysiącznemi strzępami jakichś włochatych piór czy grzywek, co za każ-

dym jego ruchem powiewały tak lekko, jakby już, już, miały go unieść na powietrze. W ręku trzymał płaski bębenek.

Ajdar zsiadłszy z konia, rzucił najprzód ku Ludmile ogniste spojrzenie, potém Elżbietę pokazał Argunie, która badawczy wzrok na niéj zatrzymała, zwracając się co chwila do Szamana. Ten, zajrzał Elżbiecie w oczy, roztworzył jéj ręce, popatrzył w dłonie, potém skinął głową z wielkiém zadowoleniem, długo, długo cóś tłumaczył Argunie, nakoniec jakby na zapieczętowanie swojéj mowy, trzykroć uderzył w bębenek.

Wtedy Ajdar zadał jakoweś pytanie Wasylkowi. Wasyl skoczył do Jasia, wyciągnął go przemocą z pod sukien matczynych, i przytrzymując mu ramiona, postawił przed Arguną. Widok przecudnego dziecięcia, z jego słonecznemi włosami, rozbrajał zwykle i najtwardsze serce. Sucha Mongołka przeciwnie, zmarszczyła się na widok téj śliczności, przygryzła wargi zaciśnięte, i nogą odepchnęła wystraszone dziecko, które matka z oburzeniem porwała w objęcia.

Ajdar, jakby na wynagrodzenie téj krzywdy, pogłaskał Jasia, poczém znowu długo cóś gadał do Wasylka.

Toktysz stał na boku obojętnie, ziéwając jak człowiek znudzony zbyt długim targiem, i przewlekłą niewieścią gadaniną.

Branki nic nie rozumiały z téj całéj rozprawy. Patrzyły błagalnie we wszystkie twarze, chcąc z nich wyczytać swoje losy, i zawsze zwracały się w końcu do Ajdara, którego uśmiéch zdawał się jedynym odbłyskiem ludzkości, między tym stekiem zezwierzęconych istot.

Nagle, zrobił się ogromny szum w obozowisku. Wszyscy żołnierze i strażnicy padli twarzą o ziemię. Wodzowie nie padli, ale podnieśli złożone ręce do czoła, i z pokłonem zawołali:

— Mendu!

Między leżącemi, stąpał z hukiem Kajkuł, otoczony orszakiem świécącym jak potok brylantowy.

Za nim, prowadzono konia szczero-mongolskiego, pochwyconego niedawno z pośród nad-Amurskich tabunów. Koń miał czoło szerokie, szyję grubą z rozchełstaną grzywą, biodra krzepkie, i krótkie ostro-kościste nogi. Z oczu jego zapadłych bił ogień ponury, zézujący jeszcze buntem stepowych przypomnień. Maści był żelaznéj, pięknéj, ale ta piękność ginęła zupełnie pod ruchomą skorupą blach złotych i srebrnych, suto nasianych kamieniami, w których wiérzchowiec targał się ze szczękiem, wyszczérzając niekiedy twarde jak granit zęby.

Sam Kajkuł był także obwieszony taką mnogością różnych rynsztunków i klejnotów, pozdziéranych z trupów Chińskich, Perskich, Węgierskich i Polskich, że krzywe jego nogi łamały się jeszcze krzywiéj pod przysiadłym tułowiem, i prawie bezszyjną, czworograniastą głową. Kajkuł należał do najbrzydszych typów Mongolskich; z rysów i wyrazu twarzy, dziwnie przypominał psa «buldoga.»

Idąc, nic nie mówił, tylko w prawo i w lewo spoglądał na branki, na brańców, na dzieci, niektórym z nich kładł rękę na głowie, a wszystkie istoty ręką tą dotknięte, zaraz gdzieś znikały.

Nakoniec stanął przed namiotem naszych skamieniałych niewiast.

Ajdar, który zdawał się ciągle obdarzony jakiémś posłannictwem pośrednika, przystąpił do niego, długo mówił, to łagodnie, to gwałtownie, chwilami błyskał okiém zapaloném, chwilami gorąco składał ręce.

Kajkuł nic nie odpowiadając, uśmiéchał się złośliwie.

Znagła, wyciągnął rękę i położył ją na głowie Ludmiły.

Wnet straże przypadły, żółtą zasłonę zarzuciły na nią, i poniosły ją do namiotu.

Niewiasty wydały krzyk rozdziérający. Chcia-

ły jeszcze raz na siebie spojrzéć, — już straciły się z oczu.

Ajdar wyrzucił także z piersi wykrzyk podobny do stłumionego ryku, stanął przed Kajkułem,—jeszcze prosił..... krócéj, ale prosił.

Kajkuł, za całą odpowiedź, położył rękę na złotéj główce Jasia.

Wnet straże skoczyły, żółtą zasłonę rzuciły na dziecko, wydarły je z objęcia matki, i poniosły w ciemną głąb' namiotu.

Matka padła na kolana przed Kajkułem, złożyła ręce, i wpatrzyła się w niego wzrokiem, co byłby rozbroił tygrysa.

Ale zły człowiek gorszy od tygrysa. Kajkuł ruszył ramionami, odwrócił się i poszedł daléj.

Arguna skinęła na Kałmuka, co stał opodal przy koniach.

Elżbieta zerwała się, chciała biedz do namiotu, do Jasia.

Kałmuk uchwycił ją w żelazne ramiona.

Ale i matce przybyło sił żelaznych. Szamotała się z nim, rozwijając jakąś moc niepojętą.

Zniecierpliwiony Azjata uderzył ją kilka razy kańczugiem.

Wtedy niewiasta padła bezprzytomnie.

Kałmuk roześmiał się, rzucił ją na konia, sam skoczył w strzemiona, i poleciał za Arguną, Toktyszem i Ajdarem, którzy już daleko w kłębach pyłu nikli.

W téjże chwili, nad namiotem gdzie straże wniosły Ludmiłę i Jasia, zatknięto czarny proporzec.

Wasylko wszedł do namiotu. Miał usta zbielałe.

— Najgorzéj się stało jak tylko stać się mogło.—Przemówił.—Ty i dziecko jesteście własnością Wielkiego Chaana. Elżbieta niewolnicą Arguny. My jedziemy do stolicy Mongolji. Ona, Bóg wié gdzie. Cały nasz zamiar przepadł.

Ludmiła podniosła się jakby sprężyną podrzucona, i rzekła:

— Nie. Jeśli kiedy, to właśnie teraz trzeba zamiar spełnić. Teraz, póki jeszcze jesteśmy wszyscy w tym samym obozie, nad tą rzeką zbawienia, na granicy Chrześcjańskiéj. Teraz, albo nigdy. O Wasylu! Zmiłuj się nad nami, nad samym sobą, nad własném twojém dzieckiem. Jeszcze wszystko da się naprawić.

I wzięła go za obie ręce, i mówiła długo, cicho a gwałtownie, aż krew zwolna wracała na usta Wasylka. Roześmiał się i szepnął:

— Mądra z ciebie dziewczyna. Prawdę mówisz, teraz łatwiéj niż kiedy.

Stracone godziny.

— Widziałeś ją? Przyjdzie?

— Widziałem, i przyjdzie.

— Czy być może? Jeszcze ją uratujemy O Wasylku, jakiś ty szczęśliwy, tyś widział Elżbietę! Gdzie ona? Co porabia? Pytała się o mnie? Powiedziałeś jéj wszystko, wszystko co miałeś powiedzieć? Cóż ona, bardzo płacze?

— Nie – wcale nie płacze. Siedzi jakby drewniana, z małym chłopczykiem na ręku.

— Z jakim chłopczykiem?

— A no, z małym Kałgą. Przecież Toktysz i Arguna wzięli ją za niańkę do swojego dziecka?

— Za niańkę! Nic nie wiedziałam.

— Prawda, niemogły wy rozumieć co między sobą gadali nasi panowie. Behadyr Ajdar pamiętał o twojéj prośbie, i tak powiedział do brata: «Słuchaj Toktysz, my we dwóch te dwie

niewiasty zdobyli, więc—jeśli Chaan ich nie zabierze—rozdzielimy je między siebie; ja wezmę tę dziéwkę; ty szukasz niewiasty cichéj i łagodnéj do niańczenia Kałgi, weź tę drugą, ona umié wybornie chodzić koło dzieci, sam widziałem jak swojego malca pieściła i obtulała.» Ajdar chciał ci zrobić przyjemność. Byłaby ty zawsze blisko Elżbiety Iwanówny, bo Ajdar i Toktysz jako prawdziwe bracia nigdy się nie rozłączają, namioty ich zawsze stoją podle siebie. Mogłyby wy codzień się widywać, Jasia miéć pod bokiem. Ajdar chciał jak najlepiéj.

— Ładne to *najlepiéj!* — Syknęła z dreszczem Ludmiła.—Być niewolnicami! No, ale prawdę mówisz, po swojemu dobrze nam życzył.

— Otóż słuchajcie teraz jak to było daléj: Toktysz niechciał nic robić bez żony, żona niechciała nic robić bez Szamana, więc przyjechali wszyscy razem, aby obejrzéć Elżbietę, i zobaczyć przez czary czy ona będzie *niosła szczęście* ich dziecku, bo Tatarzy niezmiernie na to uważają. Szaman, wielki czarownik, wyczytał z jéj rąk czy oczów bardzo dobre rzeczy, więc przystali. Ale już co Jasia, to Arguna nie chciała wziąć na żaden sposób. Mówiła: «Niańka nigdy nie przywiąże się do naszego syna, jeśli jéj zostawimy własne dziecko.» A mnie się wydaje że tam była jeszcze inna przyczyna: Jaś zanadto ładny..... Arguna nielubi ładnych dzieci, bo jéj Kałga dość brzydki.

— Ach, więc to dla tego ta szkaradna kobiéta kopnęła nogą biédnego Jasieczka? I ona by miała być panią Elżbiety? O Boże!

— Słuchajcie, Ludmiła Jedwardowna. Jak tylko Arguna to zrobiła, zaraz Ajdar oświadczył że sam weźmie Jasia razem z tobą. Tym sposobem dziecko byłoby jeszcze blisko matki.

Ludmiła zadumała się, i rzekła z rodzajem wzruszenia:

— Jednak ten Ajdar, jak na Tatara, to doprawdy poczciwy człowiek.

Wasyl błysnął nieprzyjemnym uśmiéchem.

— Poczciwy jak poczciwy..... to tylko wiem że strasznie mu wpadłaś w oko..... co mógł wyrabiał, aby cię tylko tak czy owak otrzymać. Ale mu się nieudało. Ha! Sam sobie winien. Trzeba wiedzieć, że on i Kajkuł to śmiertelne wrogi, a przyczyna téj nienawiści taka: może rok temu, czy dawniéj, Kajkuł popełnił..... jakby to powiedzieć? No, pomylił się w rachunkach, w spisywaniu łupów. Ajdar oskarżył go przed samym Wielkim Chaanem. Kajkuł wziął ciężkie batogi, ale potém wrócił do łaski Chaana, a przysiągł sobie że się pomści przy piérwszéj sposobności. I oto, trafiła się sposobność. To téż dziś rano Ajdar bardzo był strwożony, tłumaczył Kajkułowi że sam cię zdobył tam pod ziemią, poniżył się aż do proszenia, ale właśnie te prośby najwięcéj zaszkodziły, bo jak tylko mściwy Kajkuł zmiarkował, że Ajdarowi bardzo cho-

dzi o ciebie, zaraz położył rękę na twojéj głowie, co jest znakiem że cię przeznacza dla Wielkiego Chaana. Ajdar zgryzł się okropnie, a jednak taki był dobry, że jeszcze prosił o Jasia, więc Kajkuł zaraz położył rękę i na głowie Jasia. Wtedy Ajdar stracił głowę, czy téż nie chciał daléj się poniżać, i za Elżbietą już nie prosił, więc Kajkuł dał jéj pokój, i tak dobre chęci Behadyra wszystkim na złe wyszły.

— Mój Wasylku, co nas to wszystko już teraz obchodzi? Powiédz mi lepiéj, bom ja tylko tego jednego ciekawa, jak to będzie jutro? Co mówiła Elżbieta? Jakże ona tu potrafi przyjść?

— Może łatwiéj niż nam się wydawało. Kiedy ja jéj się pokazałem, to nie mogła oczom uwierzyć,—a kiedy zacząłem gadać, to jakby ją kto wskrzesił. A mogliśmy gadać śmiało, bo w namiocie uwijały się same Tatarki, nikt nas nie rozumiał. Więc tedy jéj opowiedziałem, że jutro niewolnice Chańskie wyjeżdżają pod strażą Kargana, że ty zachorujesz nad ranem, że wszystkich naprzód wyprawimy, a sami zostaniemy niby dla téj choroby. Potém, — powiadam — wieczorem będziemy czekali na was Elżbieta Iwanowna, musicie koniecznie tym lub owym sposobem przedostać się do nas, my was przebierzemy za mojego sługę, i wyjedziemy sobie wszyscy najspokojniej z obozu, niby dla połączenia się z Karganem, a w rzeczy saméj dla dojechania

do rzeki. Chodzi już tylko — powiadam — o to jedno, czy wy macie uciec potajemnie z namiotów Arguny, czy też macie prosić wyraźnie aby wam pozwolono pójść do mnie i pożegnać się z dzieckiem? Elżbieta Iwanowna tedy namyśliła się i powiedziała: «Potajemnie uciekać to rzecz niepodobna, bo każda nowa niewolnica w pierwszych dniach bywa bardzo strzeżona, może lepiéj prosić o pozwolenie. Jest przy Argunie jedna stara branka, rodzaj gospodyni co rządzi wszystkiemi niewolnicami, ta się może zmiłuje?» — Więc poszedłem do téj gospodyni, i mówię: «Moja zacna pani, przybyła wam dziś niańka niebardzo wesoła, a wiécie wy dla czego? Ja sam wywożę jéj dziecko aż do stolicy Chaana, już go matczysko nigdy nie zobaczy. Pozwólcie, niech jutro przyjdzie do mego namiotu, i raz jeszcze uściska swojego dzieciaka, zobaczycie jak wam się rozweseli, a trzeba ją rozruszać, bo to dla panicza niezdrowo kiedy patrzy na smutne twarze.» — Z początku stara się krzywiła. — «Po co tę kobiétę odrywać od roboty?» — Ja wtedy wyjąłem z zanadrza prześliczne złote zausznice.....

— A zkądże je wziąłeś?

— No, już ja znalazłem na to sposób..... Kobiécisko, chociaż stare, jeszcze lgnie do świécideł. Zaraz inaczéj zagadała: — «No, niechże sobie idzie, kiedy to raz ostatni. Dobrze, jutro ją poszlę z drugą niewolnicą, albo z tym Kałmukiem który ją tu przywiózł, ale chyba dopiéro

wieczór, jak uśpi panicza.» — Tego mi też właśnie było trzeba, uszczęśliwiony pobiegłem do Elżbiety Iwanowny, potém co tchu wracam, a tu po drodze spostrzega mię Behadyr Ajdar, woła do swego namiotu, pyta żałośnie o was, rozpowiada jak to on mądrze chciał wszystko urządzić, gniéwa się, odgraża na Kajkuła. Gadali my bez końca, ledwo ja niedawno potrafił się jemu wyrwać, no i oto jestem, i jak widzicie, Wasyl niezgorzéj się sprawił.

— O Wasylku, z ciebie złoty człowiek!

— Mam ja, chwała Bogu, troszeczkę rozumu, ale wy, Ludmiła Jedwardowna, macie go sto razy więcéj. Wszak-ci to ten cały spisek wyszedł z waszéj głowy?

Tak nasi nieszczęśliwi rozmawiali podczas owéj nocy, tyle oczekiwanéj, co miała ich doprowadzić do wolności. Nadzieja znów odłożona—znów mówią:

— Na przyszłą noc!

Nad ranem, Ludmiła gwałtownie zachorowała. Nie trudno jej było udać a raczéj okazać chorobę. Ach, po tylu strasznych wstrząśnieniach, przytłumionych bólach, oddała się tylko swobodnie spazmatycznym łkaniom, a te wnet przybrały zastraszające pozory konwulsji.

Wasyl dał znać Karganowi.

Kargan przybiegł zfrasowany.

Nie był to Mongoł ale Ujgur. Szczep Ujgurów, niegdyś władnący prawie całą północną Azją, odznaczał się zawsze bystrym rozumem, i stopniem oświaty, zadziwiającym w owéj stronie globu. Posiadał własny alfabet, własne rękodzieła, i nieledwie własne piśmiennictwo. Zawojowany przez Mongołów, służył im teraz nietylko bitną ręką, ale i przewrotną głową. Ujgurowie to najczęściéj prowadzili handel niewolnikami, spisywali umowy i rachunki, służyli za sekretarzy przy niepiśmiennych wodzach, i tak nieznacznie, cichaczem, zawładnęli swemi panami.

Ale jak się to zwykle dzieje na stroméj drabinie despotyzmu, pochlebca miał znów swoich pochlebców, ulubieniec miał swoich ulubieńców. Kajkułem rządził Kargan — Karganem rządził Wasylko.

Na widok rzucającéj się, zsiniałéj Ludmiły, Kargan struchlał.

— Co ja zrobię nieszczęsny? — Wołał załamując ręce. — Moja najpiękniejsza niewolnica! Chaan byłby mi za nią najwdzięczniejszy. Wasylku, co tu robić?

— Ha! Co robić? Czekać aż wyzdrowieje.

— Ty głupi jesteś, Wasyl. Wiész przecie że jak nam każą jechać, to trzeba jechać. Więźniom niewolno chorować. Najpiękniejsza niewolnica! A jak mi padnie na drodze, to znów cały krzyk na mnie, będę musiał za nią zapłacić. Wiém ja że można otrzymać jaki dzień zwłoki, ale musiałbym iść do starszych, kłaniać się i płacić, zawsze płacić. Powiédz mi, czy ona rzeczywiście niemoże wstać i siąść na wielbłąda? Pojechalibyśmy wolniutko.

— Ale gdzież tam! Już próbowałem ją podnieść. Nawet się dotknąć nie da, zaraz szaleje.

— No, to trzeba zawołać Szamanów..... — Odezwał się Kargan niechętnie.

— Szamanie wielcy! — Rzekł Wasyl z pokłonem.—Wyleczą, ale nim to zrobią, wiele dni upłynie, bo każdy dzień przedłużonego leczenia, to jeden więcéj dzień zapłaty.

— Jaki ty Wasylku szczęśliwy, że niémasz na głowie tak okropnéj odpowiedzialności! Co ja zrobię?

Wasylek się znów pokłonił.

— Ja nędzny robak, ale czasem i robak może się na co przydać. Otóż ja dam radę. Cała choroba téj dziewczyny pochodzi z wielkiéj żałości za krajem, za krewnemi, za wszystkiém co przepadło. Gdyby mogła zapomnieć, to by wyzdrowiała. Mnie w Ustiugu pewna stara wiedźma nauczyła, jak się robi napój, po którym człowiek zapomina o wszystkich rzeczach minionych. Jak

ta dziewczyna się napije, a potém pół dnia prześpi, to wszystkiego zapomni, wstanie zdrowiutka i wesoło pojedzie.

Kargan wpatrzył się w niego badawczo.

— Dobrze,—powiedział,—ale taki napój pewno dużo kosztuje?

— Nic nie kosztuje, mam z sobą to ziele, i nawet już je wygotowałem.

— Ach, z ciebie wyborny człowiek, nieoceniony sługa. Wasylku, jeśli ty to zrobisz, będzie dobrze twojéj Glafirce.

— Tak, ale wy nie możecie czekać aż ona się obudzi? Człowiek, po tym napoju śpi czasem przez dzień cały, a budzić niewolno, wszystko by się popsuło.

— Więc jakże to będzie?

— Mnie się tak widzi: wy sobie jedźcie naprzód, a my was dogonimy. Jak tylko raz będzie zdrowa, to już nie pozwolę jéj marudzić.

— Dobrze, dobrze.—Mówił ucieszony Kargan.—Ale przynajmniéj to dziecko zabiorę.

— Ha! Róbcie jak chcecie, ale ja nie radzę..... To jedyne stworzenie co jéj z kraju zostało. O, widzicie! Ledwie-ście ruszyli dziecko, już ona się rzuca i krzyczy.

Kargan nie nalegał. Zostawił Jasia w spokoju.

Wasyl przyniósł kubek wody zafarbowanéj nieszkodliwą trawką. Chora, z wielkiém wzdraganiem się i przymusem wychyliła lekar-

stwo, a połknąwszy, zamknęła oczy, i nagle padła, jakby ujęta snem kamiennym.

Ujgur wyszedł zachwycony cudownem działaniem ziela.

Musiał Wasyl dać wielkie, straszne dowody wierności, bo Kargan wierzył mu na ślepo. Zapomniał, że nigdy nie trzeba wierzyć niewolnikowi.

O południu, wielki zgiełk powstał w obozie.

Ludmiła podniosła się nieco z łoża, i zaglądając ostrożnie przez szparę w namiocie, spostrzegła orszak wyjeżdżający uroczyście.

Na przodzie jechał Kargan. Daléj szereg niewolnic; z pomiędzy kilku tysięcy, ledwie kilkadziesiąt ich wybrano; wszystkie były okryte żółtemi zasłonami. Za niemi, na telegach, wieziono mnóstwo dzieci. Daléj szły wielbłądy i muły obładowane wyborową zdobyczą. W koło straż niezliczona. Wszyscy po ich drodze padali twarzą o ziemię, nie śmiejąc nawet spojrzéć na wybranki pańskie.

Orszak wyjechał z obozu.—

Wasylko i Ludmiła odetchnęli.

Odtąd, liczą godziny. Dzień się wlecze. Długi jakby jaka wieczność.

Jednakże, przeminął.

Pod wieczór, Wasylko wyprawia dwóch żołnierzy przydanych sobie od Kargana.

— Jedźcie naprzód, ja zaraz jadę za wami.

Przywykli do karności.—wyjechali.

Ludmiła zrywa się z rogóżek. Co żywo przyrządza kożuch i ogromną zatulną czapkę, w które ma przebrać Elżbietę, a nadzieja tak ją rozweseliła, że się uśmiécha wystawiając sobie, jak prześliczna Żegnaniecka pani będzie wyglądała w tym gburowskim ubiorze?

Ach, co za szczęście! Jasiowi od wczoraj nie można dać rady, ciągle się pyta o matkę, wyrywa się do matki,—teraz nakoniec Ludmiła może mu odpowiedzieć, już nie dla zbycia się, ale na prawdę:

— Matunia przyjdzie—matunia już idzie.

— O Wasylku! czy widzisz? Już się zmierzcha..... Już tylko jéj patrzéć.....

Zmierzchło się na dobre, — Elżbiety jakoś niéma.

Przemija godzina jedna, — druga,—trzecia, — nikt nie przychodzi.

— Boże miłosierny! Co tam się mogło stać?

Ludmiła i Wasylko łamią sobie głowę nad wszelkiemi przyczynami jakie mogły opóźnić jéj przybycie.

Już noc zupełna.—Podsłuchują.—Czekają.

Może w ciemności, Elżbieta nie umié odnaléźć ich namiotu? Trzeba jéj pomódz. Rozpalają ogień. Rozsunęli wojłoki.

Obóz coraz cichszy. Jeszcze godzina przeminęła.

Wasylko brwi zmarszczył i mówi:

— Trzeba jechać bez niéj, Kargan się spostrzeże, gotów po nas przysłać. Już i tak straciliśmy najlepsze godziny. Dotąd było ciemno, teraz już niedługo wstanie xiężyc. Jego światło niezdrowe dla zbiegów, ułatwia pogoń. Powiém jak ty mówiła sama: teraz albo nigdy.

Ludmiła pada u nóg jego, błagając, zaklinając:

— Jeśli masz Boga w sercu, poczekajmy jeszcze choć troszkę! Przecież ona lada chwila tu będzie? Cóżby sobie pomyślała, gdybyśmy ją tak oszukali, opuścili, zdradzili?

Siadł chmurny, — i znów czekają.

Około północy, Wasyl wstaje, nakłada czapkę, jedną ręką bierze bicz, drugą ciągnie Glafirkę.

U wyjścia namiotu obejrzał się.

— Czekaj sobie póki chcesz — mówi — ja z dzieckiem jadę. Czyż dla téj kobiéty mamy wszyscy ginąć? Już drugi raz w życiu, pewno mi się nie trafi taka sposobność do ucieczki.

Życzę zdrowia i wszelkiego szczęścia.—Dodał z szyderczym ukłonem.

Ludmiła struchlała odkrywając w tém sercu tyle samolubstwa.

— I my jesteśmy na łasce takiego człowieka? O Boże! Co tu robić? Ja przecież nie opuszczę Elżbiety, za nic w świecie nie opuszczę. Ale Jaś..... Może by Jasia można powierzyć Wasylowi? Już jeśli ma uciec bez nas, niech-że przynajmniéj razem z Glafirką i Jasia uratuje. Nie..... i to niemożebne. Ten człowiek nie dosyć uczciwy aby mu taki skarb oddawać. Przy piérwszéj trudności, gotów dziecko gdzie porzucić, albo jeszcze sprzedać? Nie można.

Te wszystkie myśli skrzyżowały się w jéj głowie z taką błyskawiczną szybkością, że kiedy podniosła oczy, Wasyl stał jeszcze u wyjścia namiotu.

Spojrzała pogardliwie i rzekła:

— Dobrze. Jedź sobie bez nas, a potém patrz jak ci córka będzie z głodu marła. Nie dostaniesz złota ani zamku.

Tą razą trafiła celnie.

Wasylko puścił dziewczynę, wrócił do ognia, i siadł zakrywając twarz rękami.

Ludmiła czeka — milczy — a duszą woła do nieba o pomoc.

Dobrze po północy, jakiś głos drżący, złamany, odezwał się u wejścia namiotu:

— Wasyl Kiryłowicz..... Jesteście wy tam? Słuchajcie.....

Wasyl wyskoczył.

Zobaczył starca trzęsącego się, zgarbionego, z głową obwiązaną w krwawą chustę. Był to dziadzia Szymon. Jego nikt nie kupił, nikt niechciał wziąć nawet za darmo, to też go i nikt nie żywił; starzec włóczył się po całym obozie, wyżebrując u innych jeńców ostatnie resztki strawy.

Zdjął zakrwawioną chustę, i oddał ją Wasylowi, mówiąc:

— Wszakci to u was leży chora dziewczyna z Polski, sprawiedliwie? Otóż inna niewiasta od nas, dała mi chleba i tę chuścinę, i takój powiedziała: «Was dziadziu nikto nie strzeże, wy możecie wszędzie puńść po woli, otóż pódźta do jurty Wasyla, tamój leży jedna z moich rodaczek, chora, nazowa się Ludmiła, powiédźcie jéj niech jeno włoży na siebie tę szmatę, a zara wyzdrowieje.

Wasyl wziął chustkę, pytając z podziwieniem:

— Jakto? Nic więcéj nie powiedziała? Sama nie przyjdzie?

— Tego ja niewiém. Tylko tylo powiedziała. Aha! Prosiła jeszcze abych ja się bardzo spieszył. Ale ja stary z ledwością nogi wlekę. No, nakuniec jezdem. Spróbójta z tą chustą, może to jaka relikwija?

Wasyl wpadł do namiotu — opowiedział wszystko potruchlałéj Ludmile.

Rozwinęli chustkę—była pusta.

Patrzyli po sobie z przerażeniem. Cóż znaczył ten straszny sygnał? Jakże go wytłumaczyć?

Po bliższém przyjrzeniu się przy świetle ogniska, Ludmiła dostrzegła że krew na płótnie tworzy dość wyraźne kréski.

To był napis. To był krwawy list.

«Nie mogę przyjść — Róbcie co mieliście zrobić — Ludmiło nie czekaj — Jeśli czekaniem zgubisz dziecko, ściągniesz gniéw Boga i przekleństwo matki—Ratuj naszego Jasia i siebie— Może dogonię—Mam inny sposób—»

— Co się tam stało?—Krzyknęła Ludmiła.— Może ten stary nam powié? Gdzież on jest?

Wasyl wybiegł, ale dziadzi Szymona już nie było. Nie przytrzymywany, poszedł. Próżno Wasyl nawoływał go półgłosem, próżno szukał w ciemnościach. Nieśmiał wszczynać rozruchu, nieśmiał zwracać uwagi, wrócił do namiotu.

Wróciwszy, stał porażony. Po wysłuchaniu listu, i jego serce ścisnęło się nad nieszczęśliwością Elżbiety.

Ludmiła miała już w życiu wiele chwil okropnych, ale ta była najokropniejsza.

List zapobiegał wszelkiemu oporowi. Zagrożenie «przekleństwem», cały nastrój wyrażeń,

gwałtowny, potężny, niezgodny ze zwykłą słodyczą Elżbiety, okazywał nieodwołalność jéj woli. A było tam i wyrażenie głęboko wzruszające: «Ratuj naszego Jasia—» *Naszego!* Tą nazwą zdawała się przelewać prawa i obowiązki macierzyńskie na Ludmiłę.

Położenie było straszne. Odjeżdżać bez Elżbiety? Oh, Ludmiła nigdy saméj sobie takiego postępku nie przebaczy! Zostać? Ominąć jedyną sposobność ocalenia dziecka? Oh, tego matka nigdy jéj nie przebaczy!

Ludmiła zerwała się, mówiąc półgłosem:

— Najprzód, ratujmy Jasia. Potém.....

I niedokończyła.

Wasylko przystąpił do niej wachający.

— No cóż?

— Jedziemy.

— Bez niéj?

Tu zamyślił się, i nieco rozjaśniony, dodał:

— A może nas téż i dogoni? Przecież tam pisze wyraźnie, że ma na to jakiś sposób.....

Ludmiła żałośnie skinęła ręką.

— Nie wierzę ja w ten «inny sposób.» Ona tak tylko pisze, aby nas pocieszyć, aby nam dodać otuchy do ucieczki.

To mówiąc, z przytłumioném szlochaniem ucałowała krwawą chustę, i położyła ją na łonie, obok jedwabnéj chusty Przedwojowica.

Ucieczka.

Prześliczna, cicha noc majowa. Nad dzikiemi polami, nad obozowiskiem jeńców i zwycięzców, xiężyc przyświéca tém swojém smętném, okrągłém od podziwu okiem, co tyle już łez ludzkich widziało, i tyle ich jeszcze zobaczy.

W obozie zwycięzców przygłuchły szczęki i okrzyki; sen pijacki poobciążał powieki.

W obozie jeńców przyciszyły się łkania, zabalsamowane krótkim snem znużenia.

Przez puste ulice między namiotami, kołysząc się i wywijając szyją, kroczy wysoki wielbłąd. Na garbie jego siedzi kobiéta, przytulająca dziecinę do serca. Niewiastę trudno rozeznać, a dziecka prawie nie widać; oboje giną pod żółtą, fałdzistą zasłoną, z po-za któréj tylko, przez wąziutką szparę, świeci dwoje załzawionych oczu.

Obok, na krępym Tatarskim koniu, jedzie mężczyzna mocno zatrudniony, bo jedną ręką trzyma cugle konia, drugą sznur, na którym prowadzi wielbłąda. Za nim, drobna dziewczynka siedzi dosyć krzepko.

Daléj, stąpa drugi koń, sznurem przywiązany do piérwszego. Ten już nie dźwiga jeźdźca, tylko mnóstwo skrzynek i bukłaków.

O, jakże-by raźno poszedł wyjazd, gdyby na tym drugim koniu siedziała Elżbieta, w owym kożuszku i czapce, których przygotowanie kosztowało tyle starań, wywołało tyle uśmiéchów!

I wszystko tak wybornie się wiedzie! Nikt ich nie zatrzymuje, nikt im się nie dziwi. Cóż po wszystkiém, kiedy tę najdroższą, tę najnieszczęśliwszą, trzeba tu pozostawiać samą? Ludmiła ogląda się z żalem za namiotami w dal uciekającemi. Mogłaż przypuścić że będzie je żegnała «z żalem»?

Już dojeżdżają do ostatnich koczowisk. Po drodze, wszystkie warty — znające dobrze Wasylka—przepuściły ich z żołnierskim pokłonem. Teraz, u granicy obozu, oznaczonéj szeregiem pospinanych wozów, straż liczniejsza zastąpiła im drogę. Ale Wasylko pokazał srebrną tabliczkę z napisem stwierdzającym jego urząd, rodzaj Tatarskiego paszportu. Ledwie tabliczka błysnęła pod xiężycem, straże się rozstąpiły z pokorą, nieśmiejąc nawet podnieść oczu na «żółtą zasłonę».

Rozsunięto wozy,—wyjechali na pole.

— Oj, szkoda—westchnął Wasylko—żeśmy się doczekali xiężyca! Na tych równinach widno..... że aż strach.

Ludmiła nic nie odrzekła. Rozpacz rozstania oniemiła jéj usta, przytępiła myśli.

Po jakiéj godzinie drogi, wyciągnął ją z osłupienia widok ogniska palącego się na samotném polu, a do którego Wasylko najwyraźniéj zdążał.

— Co to za ogień?—Zapytała.

— To ostatni karauł Tatarski.

— Co to jest «karauł»?

— No, to straż przednia, czaty, a już wiernie mówiąc, to jakby kto powiedział: «czarna straż.» Właśnie tam rozchodzą się dwie drogi; jedna biegnie w lewo, na wschód, ku Donowi, tą właśnie pojechał Kargan z całym swoim taborem, i my, po rozkazie, powinni byśmy tam skręcić. Ale nie skręcimy, tylko pojedziemy prościuteńko, o! tą drugą drogą, która doprowadza do Prutu.

— Mój Wasylku, ty ciągle mówisz o jakichś różnych «drogach», a ja tu nie widzę żadnéj drogi. Jedziemy gdzie oczy poniosą.

— O! Wcale nie. Czyż nie widzicie że tu się ciągnie pas ziemi ciemniejszéj? Grunt ciemny, bo zorany kołami wozów, skopany kopytami końskiemi; to właśnie droga, której ludzie

od wieków się trzymają. I nie próżno się trzymają; kto zjedzie w bok, ten trafi na jary i moczary, z których już trudno wybrnąć.

— Mój Wasylku, jakże my zrobimy aby tę straż ominąć?

— Nie będziemy jéj wcale omijali. Schować się i tak nie schowamy, więc lepiéj śmiało wejść tym ludziom w oczy. Wprawdzie oni są tam postawieni naumyślnie ażeby pilnowali «zakazanéj» drogi, ale ja potrafię ładnie do nich przemówić.

Ludmiła spojrzała na niego z podziwieniem; jakoś nie chciało jéj się wierzyć w taki cud wymowy. Ale już nie było czasu na pytania, już dojeżdżali do rozdroża, gdzie przy ognisku rysowały się czarne profile trzech żołdaków, o wysokich włochatych czapkach. Ich krzywe szable, noże, kindżały, czekany, świéciły przy płomieniu jakby cała zbrojownia.

Ujrzawszy podróżnych, zerwali się, i stanęli na poprzek drogi.

Wasylko, przechylony z konia, każdemu wetknął cóś do ręki. Skinęli głową, siedli napowrót przy ogniu, ale tą razą plecami obrócili się do podróżnych, i wcale jakoś nie postrzegli, że ci podróżni zamiast na lewo, jadą wprost przed siebie.

Tak to Wasylko «ładnie» umiał przemawiać.

Ludmiła obejrzała się z dreszczem na tę drogę wiodącą ku wschodowi, która jéj była pierwotnie przeznaczona, którą niestety! może niedługo będzie szła Elżbieta! Na szarém tle stepu, droga uciekała czarnym szlakiem, ginąc w coraz czarniejszych ciemnościach.

Wasylko po chwili odezwał się rzeźko:

— No! Już przebyliśmy najgorsze. Wątpię aby nas kto jeszcze zatrzymywał. Jedźmy prędko i śmiało.

I pchnął konia jak najszybciéj, aż Glafirka musiała się chwytać pasa ojcowskiego. Wasylko, ucieszony dotychczasowém powodzeniem, gadał, gadał, śmiał się nawet, ale ze swojéj towarzyszki nie mógł wyciągnąć ani jednego słowa. Ludmiła pożérana zgryzotą, tłumiła nieustanne łkanie. Prócz uratowania Jasia, już nic nie rozumiała.

Wasylko nie mogąc się doczekać pochwały za swój rozum, ruszył ramionami, poczém daléj prowadził rozmowę, to z córką, to z końmi.

Po jakich dwóch godzinach drogi, grunt zaczął się marszczyć w pagórki i wklęsłości, zapowiadają-

ce wybrzeże wielkiéj rzeki. Niedługo też kraniec widnokręgu zabłyszczał pasem srebra, łamiącym się w niebieskawe djamenty pod światłem xiężyca.

Ludmiła podniosła oczy.

— Co to jest? — Zapytała. — Czy już Prut? Ach jakże to już blisko!

— Nie tak blisko jak się wydaje.—Odrzekł Wasyl.—Gdyby można jechać prosto wciąż przed siebie, bylibyśmy tam w dziesięć pacierzy. Ale musimy okrążać pewien jar niebezpieczny, taki stromy a głęboki, że niemożna go ani przejechać, ani wiérzchem przeskoczyć. Trzeba nawet zwolnić bieg, i jechać ostrożnie, aby w tych zakrętach nie zgubić głównego szlaku.

I cicho jechali w téj najcichszéj godzinie nocy, kiedy wszystko już usnęło, a nic się jeszcze nie budzi.

Znagła, Glafirka rzekła:

— Ktoś za nami jedzie.

Ludmiła drgnęła..... Ach, może to Elżbieta?

Wasylko się obejrzał — posłuchał. Istotnie, już i jego uszu dochodził tętent konia mocno rozpędzonego. Za chwilę pokazał się jeździec, lecący jak wicher, wywijający długą dzidą w ręku. Spostrzegł widocznie małą karawanę, bo zaczął ją nawoływać tym krzykiem Azjackim,

dzikim, niepochwytnym, którego żaden Europejczyk nie potrafi powtórzyć. A krzycząc, sadził tak szalenie przez pole, że Wasylko zawołał:

— Nie uciekniemy. Lepiéj stańmy.

Ludmiła przeżegnała się tylko i szepnęła:

— O Boże! Teraz już koniec — już nawet i Jasia nie ocalę.

Jeździec stanął przy nich.

Był to Kajzak, z tego potężnego szczepu Kajzaków, od których późniejsi Kozacy pożyczyli nazwę, ubiór i obyczaj. Rysy miał turkskie, orle, czapkę długą, obwisłą aż na ramię, włosy zaplecione przy skroniach w ów pierścień warkoczowy, którego pamiątka przechowała się do dziś dnia w «seledcu», i kaftanik obcisły, krótki, także do dziś dnia znany w Europie, nawet we Francji, pod niezmienioną nazwą: *casaque, casaquin.*

Wasylko struchlał,—poznał jednego z przybocznych żołnierzy Kargana.

Jednak nie stracił fantazji. Przybiérając postawę zwierzchnika, zawołał:

— A! To ty Ragun. Czegóż tak okropnie krzyczysz?

Kajzak znał po trochu narzecza wszystkich ludów krzyżujących się w Mongolskiém wojsku.

Odpowiedział językiem łamanym i mieszanym, którego Ludmiła główną treść pojęła:

— Jak ja niémam krzyczéć, kiedy gonię i gonię, a wy precz jedziecie, i to po złéj drodze?

— Widzisz przecie że stoję.—Odrzekł śmiało Wasyl.—Jak tylko cię dostrzegłem, zaraz kazałem stanąć. Ale ty, zkąd się tu wziąłeś?

— Kargan mię wysłał. Czekał i czekał na was, aż go wziął niepokój. Kiedy jeszcze i twoi ludzie przyjechali, a ciebie nie widać i nie widać, Kargan powiedział: «Słuchaj Ragun —wróć ty się, i zobacz co tam porabia ten pies Wasyl, czy mi nie ukradł mojéj najpiękniejszéj niewolnicy?» Więc ja pędzę. Patrzę po drodze..... niéma. Lecę do obozu..... niéma! Pytam karaułów: nikt nie widział. — Myślę sobie: Ej, czy tylko Wasyl nie pojechał do rzeki?—I jak raz, oto jesteś na drodze do rzeki. No powiédz Wasyl, czy ty nie pies, czy ty nie chciał uciekać z kradzioną niewolnicą?

Wasylko poklepał Raguna po ramieniu, uśmiéchnął się i odrzekł:

— Za kogo ty mnie masz bratku? Ja by miał jechać sam jeden między Ugrów? A przecież by tam zaraz poznali że ja sługa Tatarski, a przecież by mię tam żywcem ze skóry odarli? Ja nie głupi uciekać, czy mnie źle między wami?

— No, więc po co wy jechali krzywą drogą?—Pytał zachwiany Ragun.

— Zaraz ci to opowiem, zaraz. — Powtarzał Wasyl. A mówił ze wszelkiemi pozorami swobody, ale w duszy targany był najokropniejszym niepokojem. Szukał pomysłu wybawczego, a pomysł nie przychodził. Natężał rozum, wysilał wyobraźnię, a w głowie czuł tylko próżnię, szum i zamęt.

Chcąc zyskać na czasie, zapytał:

— A czybyśmy nie zsiedli i nie napili się czego? Kumysu albo arraki? Mam kumys wyborny. Przy napitku lepiéj się gada. Kiedy nas już znalazłeś, to po co się spieszyć? Opowiem ci wszystko, a potém pojedziemy do Kargana.

Ragun wahał się, spoglądał na karawanę podejrzliwie. Ale Wasyl miał taką twarz dobroduszną, Kajzak tak się zziajał pogonią, że go skusiły zaprosiny.

Wasyl zeskoczył z konia, pociągnął za sznur przewleczony przez nozdrza wielbłąda, biédne zwierzę ozwało się żałośnie, i pod przymusem bólu, klękło. Ludmiła zsiadła. Nie pojmowała co się daléj stanie? Pędzona niepokojem, chcąc wyprostować odrętwiałe nogi,—zawsze z Jasiem na ręku — chodziła tam i napowrót po nierównym gruncie.

Wasylko chwycił ją za ramię, szepcąc:

— Ostrożnie, tu przepaść.

Dopiéro wtedy spostrzegła, że stanęli nad samym jarem. Była to rozpadlina czarna jak pasmo kiru. Xiężyc już opuścił się nizko, już tyl-

ko połowa jego tarczy skośnie świéciła z wybrzeża widnokręgu, w jarze ciemność panowała zupełna, tylko ze dna samego dochodził plusk potoku, czy rzeczki, tłukącéj się po kamieniach.

Tymczasem Wasyl dobywszy drewniane kubki, czerpał to z jednego to z drugiego bukłaku.

— Wiész co, brat Ragun? Ten kumys nie wystały, arraka będzie lepsza.

I mówiąc, napełniał czarki tym ostatnim trunkiem, a wiedział co czyni, bo arraka, rodzaj wódki pędzonéj z tegóż kumysu, była nierównie od niego mocniejszą.

Ragun nie dał się prosić, wychylał kubek po kubku, a choć miał głowę bardzo mocną, niedługo jednak oczy mu zaszły tą ciężką, niekiedy przeiskrzającą się mglistością, na którą gospodarz czekał.

Wasyl udawał że także ze smakiem zapija, ale po ciemku czarkę bokiem wylewał, a głowę ciągle sobie łamał. Aż wyłamał z niéj pomysł pyszny, uśmiéchnął się jak pisarz co znalazł osnowę arcydzieła, i mówił:

— Trzeba ci wiedzieć bratku, że w naszych wędrówkach po świecie, uzbiérałem sobie mały skarb.

Tym wstępem od razu podbił uwagę słuchacza.

— Kargan nic niewié o moim skarbie, ty rozumiész dla czego, zaraz by mi go zabrał. Wolałbym zapewnie, aby i nikt inny pod słońcem

nie wiedział, ale trudno..... tobie musiałem powiedzieć, bo czort wié co byś o mnie pomyślał? Ty dobry człowiek, ty nie wygadasz przed Karganem, a ja tobie troszkę dam z tego skarbu.

— I jakiż to skarb?—Pytał Ragun.

— Nieduży bratku, nieduży. Dwa worki, w jednym są piéniądze, takie sobie, srebrne, złote, a w drugim różne łańcuchy, kolce, pierścienie, wszystko z Lackich zamków pobrane.

Ragun spojrzał na niego z uszanowaniem i zazdrością.

— Te dwa worki to była moja wieczna troska. Jak schować? Gdzie schować? Kiedy nam powiedziano że mamy nad Prutem długo siedzieć, przyszedłem tu i schowałem worki w tym jarze, pod trzema kamieniami.

— Tutaj, tak daleko?

— Cóż chcesz, mnie się zdawało że jeszcze za blisko sokolich oczów Kargana. Więc teraz rozumiész dlaczego pachołki naprzód pojechały? Chciałem tu cichaczem zboczyć, skarbik mój zabrać, a potém wrócić na prawdziwą drogę. W godzinę późniéj byłbyś mię tam spotkał, jadącego jakby nigdy nic. No, ale już się stało. Nie szkodzi że jesteś—co miałem zrobić zrobię, a ty pilnuj zwierząt i téj dziéwki.

Ludmiła spoglądała na Wasyla z najwyższém podziwieniem. Wstał istotnie i szedł ku jarowi.

Od brzegu, wrócił się jakby strwożony.

— A kto mi ręczy, — zawołał ponuro, — że ty nie uciekniesz z kradzioną niewolnicą i ze skarbami Chańskiemi? Nie śmiéj się. Jeśli Kargan mógł posądzać mnie doświadczonego, to czemu ja nie mam posądzać prostego Kajzaka?

— A no, to i cóż zrobić? — Pytał Ragun zmieszany.

— Posłał bym ja ciebie po worki, ale czy ty wiernie je przyniesiesz?

Kajzak zaczął się zaklinać na wszystkie potęgi niebieskie, a jego oczy błysły niewymowną chciwością.

— Znaléźć łatwo. —Mówił Wasyl.—Trzy kamienie leżą nad wodą. Tylko dobrze uważaj, bo worki strasznie pełne, ledwo mogłem je zawiązać, bardzo łatwo rozsypać.

Oczy Kajzaka błysły jeszcze mocniéj na myśl, że jakiś ubytek z worków, będzie mógł być przypisany ich rozdarciu się, lub złemu zawiązaniu.

Wstał, i w podciętych nogach utrzymując sztuczną równowagę, szedł dość przytomnie ku jarowi.

Wasyl poklepał go po ramieniu, mówiąc:

— Ze mnie taki człowiek: więcéj dbam o skarby Chańskie niż o własne. Ale i ty dobry, wierzę ci, idź prędko i wracaj.

— Którędy?— Spytał z wahaniem Kajzak.

— Jakto? Jeszcze pytasz? A przecież tędy ścieżka!

— Ale ja tu nie widzę żadnéj ścieżki?

— A cóż ty masz za oczy? Chyba ty się upił. Patrz, tędy..... Z początku trochę wązko, ale daléj dróżka taka szeroka, że niedźwiedź mógłby się na niéj wytarzać. No prędzéj!—Zawołał zniecierpliwiony, i pchnął go z tyłu niby żartem.

Był to żart prawdziwie Tatarski. Ragun pchnięty, padł głową na dół i zniknął w jarze.

Ale do dna nie doleciał. Niedaleko brzegu, chwycił się drzewa, co krzywo nad przepaścią rosło. Gałęzie trzaskały pod nim z ogromnym łomotem, on trzymał się rozpaczliwie, krzycząc:

— Ratuj! Wasyl! Ratuj!

Wasyl pochwycił własną jego dzidę, leżącą na ziemi, i podał mu ją, wołając:

— Chwyć się obu rękami, wyciągnę cię.

Kajzak chwycił dzidę jedną ręką, ale drugą nieśmiał puścić drzewa. Nogami napróżno bił o ścianę prostopadłą, osypującą się z szelestem.

— Chwyć-że i drugą ręką! Inaczéj nie poradzę.—Krzyczał Wasyl.

Ragun chwycił się i drugą ręką, cały w powietrzu zawisł, i obwinął się w koło włóczni.

Wtedy Wasyl puścił włócznię. Ta, razem z Kajzakiem spadła na dno jaru.

Krzyk jeden—wielki—i cicho.

Ludmiła, którą ciekawość przywiodła do brzegu, cofnęła się mówiąc:

— Jakież to okropne.....

A Wasylko zawołał:

— No, teraz wsiadajmy i jedźmy.

Wsiedli i jadą.

Wasyl czeka na pochwałę za swój pyszny pomysł. Ludmiła czuje że powinna by podziękować, a niemoże wymówić słowa. Krzyk spadającego jeszcze brzmi w jéj duszy.

Nagle Wasylko roześmiał się, ale to tak serdecznie, że spytała prawie oburzona:

— Jak ty możesz śmiać się Wasylku?

— Ach, bo żeby ty widziała jakiego on koziołka przewrócił, no! Jeśli w téj chwili ma jedną kość całą, to w dzień zmartwychwstania będzie mógł sobie powinszować. Wprawdzie Kajzaki mają kości żelazne. Ale choćby jakimś cudem ożył, nim się wygramoli z téj przepaści, my będziemy na drugim brzegu.

Mógł śmiało mówić, już dojeżdżali do Prutu.

Piękna to rzeka, często ubarwiona malowniczym krajobrazem, ale jak nasza Wisła, lubi dokazywać i zmieniać łożysko.

Tu, jéj wybrzeża były wyszarpane wiosennym wylewem, zawalone mułem.

Przywiązana do zgiętego drzewa, czerniała samotna łódka.

Wnet, z po-za pagórków piaszczystych, wymknęli się jacyś ludzie, milczący jakby widma.

Przy świetle porannego brzasku, zdjęto większą część skrzyń i worów, które nieznacznie z wielbłądem gdzieś znikły.

Konie wprowadzono do łodzi, za niemi weszli podróżni i kilku wioślarzy.

Odbito od brzegu.

— A wielbłąd? A skrzynie?—Spytała Ludmiła.

— Najprzód,—odrzekł Wasylko, — wielbłąd nie znosi wody. Za nic w świecie nie wszedł by do łódki. A przytém, czémże byśmy zapłacili przewoźników? Płacę ich wielbłądem i bogactwami Chaana.

— Tak.....—Odrzekła.—Mądra myśl..... chociaż, prawdę mówiąc..... to wszystko nie nasze.

— Ba! Nie nasze! A Chaan mało nam zabrał? Choćbyśmy niewiém co wzięli, jeszcze się nie skwitujemy. Zresztą co tu gadać? Czy to my dla siebie zabiéramy? Przecież wszystko oddałem jego własnym poddanym? To mu nie zginie.

Ledwie ruszyli, Jaś rozbudzony wichrem rzecznym i kołysaniem łodzi, roztworzył oczy pytając:

— Co to? Co to? Gdzie matunia?

Ten wykrzyk, mieczem boleści przeszył serce Ludmiły.

Płyną i milczą. Między wioślarzami a podróżnemi ani jedno słowo nie zostało dotąd zamienioném. Rzekłbyś że wszystko dzieje się przez czary.

Już drugi brzeg widać doskonale: smuga białawych piasków, daléj lekkie pagórki, a za niemi, cudnie zieleniejące, niebotyczne puszcze.

W połowie przeprawy, przewoźnicy położyli wiosła. Zaczynają szybką, ciętą rozmowę z Wasylkiem. Ten, po krótkiéj zwadzie, wsuwa do ich rąk skrzyneczkę, którą dotąd chował starannie pod pachą.

Roztworzyli ją—zobaczyli klejnoty—kiwnęli głową—i znowu wiosłują.

— Co to było?—Pyta półgłosem Ludmiła.

— Chcieli wrócić. Mówili, że prąd nadto gwałtowny..... że dzień nadto wyraźny..... że za tak mierną cenę nie mogą życia narażać. Musiałem dopłacić. Szczęście, że jeszcze było czém. O, jam to przewidział!

— Jak ty ich znasz Wasylku!

Słońce wychodziło na widnokrąg, w chwili kiedy podróżni dobijali do drugiego brzegu.

O, jakaż by to cudowna była chwila, gdyby dobijali wszyscy razem!

Wyskoczyli. Konie na brzeg wyprowadzono. Łódź co prędzéj z wioślarzami wraca.

Wasyl pochwycił Glafirkę, uniósł ją w powietrze, ucałował,—potém padł i bił nabożne pokłony,—a potém jeszcze wyciągnął zaciśnięte pięści ku wschodowi, i wyrzucił, na Tatarów, na Baskaków, na Karganów, na Kajkułów, nawet na Wielkiego Chaana, cały szereg najokropniejszych klątew, jakich tylko słownik Ustiugski mógł dostarczyć. A szereg ten byłby trwał bez końca, gdyby kula światła wypływająca od wschodniéj strony, nie oślepiła Wasylka. Musiał przerwać, odwrócił się, i jeszcze pomrukując, tarł kułakami załzawione oczy.

Tymczasem Ludmiła wsiadała co żywo, już nie na wielbłąda lecz na konia od skrzyń oswobodzonego. Wsiadłszy, obejrzała się raz jeszcze ku falom Prutu, migocącym pod promieniami słońca.

— Do widzenia, rzeko i błogosławiona i przeklęta—rzeko co zbliżasz i rozdzielasz—nie żegnam cię — jeśli Bóg pozwoli, jeszcze się zobaczymy!

Osobliwsza ciekawość.

Całe tygodnie zeszły na przejeżdzaniu olbrzymich lasów bukowych, których wspaniałość słynna w dziejach, szumiała i śpiéwała wszystkiemi czarami Czerwcowego rozkwitu.

Czasem pomiędzy ciemną puszczą, roztwiérały się pola tłuste, czarnoziemne, po których krążyli ludzie także tłuści, ociężali, ale dosyć gościnni. Były to resztki Połowców, Pieczyngów, i różni inni mieszańcy, praojcowie dzisiejszych Mołdawian. Wasyl z Połowcami łatwo mógł się dogadać, a jak tylko zrozumiano, że ci goście to zbiegowie z niewoli Tatarskiéj, wnet współczucie otwiérało wszystkie drzwi i serca, bo postrach Tatarów rozszerzył się już po świecie aż do najskrytszych zakątków, i każdy sobie myślał: «Co wam dziś, to nam jutro.»

Puszcze były trudniejsze do przebycia. Lecz Wasyl w błędném życiu między Mongołami,

przywykł do radzenia sobie czém Bóg dał, a tutaj Bóg dał sto razy więcéj niż na stepach Kapczackich, albo nawet ruskich. Tu drew nigdy nie brakło dla podsycenia ogniska; trawy, mchów mięciuchnych tylko narwać, a już pościółka dla dzieci gotowa; zwierzyny i ptastwa huk; z łukiem i strzałami można nietylko na obiad, ale na śniadanie i wieczerzę, pozwolić sobie mięsa, i to świéżego; a na przyprawę jest mnóstwo grzybów i leśnych jagódek; wody to i szukać nie trzeba, wszędzie rwące strumienie same idą pod nogi.

Wasylko téż wybrał się z przezornością, któréj owoce dopiéro powoli dawały uczuć swoją słodycz, i codzień mu przynosiły nową chwałę. Na pozór, oddał wszystkie skarby wioślarzom, ale to tylko był pozór; niemało sobie jeszcze zostawił, i umiał wybrać co najlepsze; gruby jego ubiór był wyładowany, nietylko różną monetą, ale i bezkształtnemi odłamkami złota; Glafirka, pod gorsetem i we włosach dźwigała niemały zasób rzeczy drogocennych; wory, niby jadłem napełnione, miały także swoje tajemnice: Wasyl powydrążał séry i chleby, kosztownościami je wypełnił, a potém obie połowy posklejał, powiązał, i teraz dopiéro, kiedy przyszło który z nich napocząć, ze śmiéchem wysypywał zaklęte tam cuda. Nawet na dnie kumysu i tarassunu, pływały drogie kamuszki, które po wypotrzebowaniu napojów powoli wyjmował, oczyszczał i w czap-

kę zaszywał. Tak to mądry Ustiugczyk, potrafił zrabować mistrza wszystkich rabusiów, Chaana.

Nieraz po drodze przydały im się te zasoby. Czasem nocleg wypadł u ludzi chciwych, którzy udawali że nic w domu nie mają, dopóki podróżny nie zaświécił im w oczy krążkiem srebra, lub jakim czerwonym kamyczkiem. Kilkokrotnie téż za sztukę złota kupili sobie barana, bo Wasylowi, przywykłemu do strawy Tatarskiéj; przykrzyło się ostre mięso téj wiecznie leśnéj dziczy. Niestety, o koninie już ani było marzyć, ale i na widok pasących się owiec brały go niewymowne tęsknoty, i chociaż z bólem serca, jednakże kilka razy pozbył się cząstki swojego bogactwa, byle sobie wyprawić wschodnią ucztę, baraninę ledwie troszkę nadpieczoną, i podlaną pleśniejącemi resztkami kumysu.

Glafirka, zaprawiona niemal od kolébki do życia koczowniczego, wyglądała jak zawsze, nawet może lepiéj. Nie patrząc już na żadne męki, oddychając balsamiczném powietrzém, zaczęła się jakby rozbudzać do nowego życia.

Z Jasiem była większa biéda, zwłaszcza z jego serduszkiem. Roztęsknienie za matką rosło do przerażających rozmiarów. Ludmiła otaczała go jak mogła wygodami, nabyła prawdziwie macierzyńskiéj troskliwości, na wieczne jego pytania odpowiadała, tłumiąc własną boleść:

— Matunia jedzie za nami, jutro ją zobaczysz.

Ale kiedy takie omylne «jutro» powtórzyło się wielokrotnie, ręce jéj opadły; zamiast odpowiedzi, już dawała Jasiowi tylko milczący pocałunek, a dziecko posępniało, zaczęło chudnąć i nędznieć. Nowy postrach ogarnął Ludmiłę.

Sama, znosiła te trudy z łatwością dla nas niepojętą. Kobiéty trzynastego wieku, nawet największe panie, były stokroć wytrzymalsze od dzisiejszych. Przywykłe do mieszkania w ciasnych, kamiennych basztach, do siedzenia na twardych ławach, do podróży konnych pod wichrem i słotą, nieprędko się męczyły. Niektóre zwłaszcza słynęły z hartu prawdziwie męzkiego, a właśnie do ich liczby należała nasza Ludmiła; rozmiłowana w łowach, już pod okiem ojca umiejąca robić bronią, chciwa niebezpieczeństw, uważała sobie za istną igraszkę nocowanie na puszczy, albo przebycie stroméj ścieżki. Gdyby nie troska o Jasia, ani by uczuła trudności téj drogi.

Dusza jéj téż uległa niewytłumaczonéj przemianie, przynajmniéj Wasylko niemógł jéj sobie wytłumaczyć.

Przez piérwsze dnie widział ją ponurą, milczącą, prawie na wszystko znieczuloną, i mówił w duszy:

— Nic dziwnego, żałuje téj biédnéj Elżbiety.

Ale po kilku dniach, jakby pod wpływem jakiegoś obłędu, stała się gwałtownie ożywiona, gorączkowo ciekawa, mówiła, mówiła cały dzień i całą noc nieledwie, a zawsze o Tatarach, o niczém tylko o Tatarach, co Wasylowi wcale nie na rękę wypadało, bo znów on niechciał o niczém inném gadać, tylko o tym zamku, o tych koniach i sforach, co mu zostały obiecane.

Końca nie było jéj pytaniom.

— Wasylku, czy Toktysz dobry człowiek?

— Tak sobie, ani zły ani dobry, to zależy jak mu poradzi żona, bo on tylko słucha najstarszéj ze swoich żon, Arguny.

— Więc ma ich kilka?

— A jakże chcecie aby Tatar bogaty niemiał przynajmniéj kilku żon? To dowód bogactwa, bo każda żona ma osobne swoje namioty, swoje trzody i służbę. Toktysz ma ich jedenaście.

— Wasylku, a ten twój ulubiony Behadyr Ajdar, czy także ma żony?

— E, tylko trzy. Ale za to niewolnic bez liku.

— Ładny los mię czekał..... — Wymówiła przez zęby ze wzdrygnieniem.—No, teraz już mniejsza o niego. Powiédz mi, czy ta Arguna bardzo niegodziwa? Czy niéma w niéj nic ludzkiego? Czy ona nikogo na świecie nie kocha?

— Ba! Czy nie kocha? Aż nadto. Ubóstwia swego Kałgę, dla tego dzieciaka zabiła by pół

świata, a doprawdy nie ma dla kogo, bo to i szpetne, i naprzykrzone jak szczenię, a złe jakby żmijka.

— Mój Boże! — Jęknęła Ludmiła. — I moja Elżunia, po takim Jasiu, musi piastować podobne straszydło!

Dotąd Wasylko rozumiał jéj ciekawość.

— Nic dziwnego,—mówił sobie — chce wiedzieć z kim jéj towarzyszka będzie życie wiodła.

Ale przychodziły też i pytania, które niémiały żadnego związku z losami Elżbiety.

Jakie narody Tatarzy podbili? Czy są w ich kraju drogi? Czy jest handel? Jaka ich religja? Obrządki? Obyczaje?

Niejedném zagadnieniem wprowadzała go w niesłychany kłopot.

— Powiédz mi Wasylku, czém sobie można zjednać, ująć Tatarów?

— A no, prosta rzecz: złotem, a jak złota niéma, to i srebrem.

— Dobrze, ale czém jeszcze?

— Jeszcze? Zaraz, czekajcie..... no, podarunkami wszelkiego rodzaju.

— To prawie na jedno wychodzi. Ale czyż nie można jakoś inaczéj trafić do ich serca, do ich litości?

— Czém-by tu trafić?—Powtarzał, i namyślał się, namyślał, w końcu ruszył ramionami.

— Jakoś nie mogę sobie żadnego innego sposobu przypomnieć.

— To smutna odpowiedź mój Wasylku. A teraz wytłumacz mi, dla czego ten twój Ajdar ma jednak cześć dla krzyża? Sama to widziałam: w Iłży, tam pod ziemią, kiedy Kapelan, (ach Boże! co się też stało z naszym poczciwym Kapelanem?) kiedy Kapelan podniósł w górę krzyż, Ajdar bił czołem, a potém go wziął i całował z rodzajem nabożeństwa.

— Widzicie, Ludmiła Jedwardowna, Tatarzy często krzyż całują. Sam to widziałem. To u nich obyczaj.

— Ależ ci którzy to robią, muszą być chyba Chrześcjanami?

— Może to być. Jenak nie..... chyba nie, bo modlą się także z Szamanami. Ja prosty człowiek, ja takich uczonych rzeczy nie rozumiem, ale to istotnie dziwne..... Mówiono mi że nawet sam Wielki Chaan kilka razy do roku kłania się przed krzyżem.

— Co ty mówisz Wasylku? Ten straszliwy Dżyngischan?

— Ale gdzież tam! Przecież Dżyngischan już dawno pomarł.

— Doprawdy? Umarł! On mógł umrzéć? A ja ciągle myślałam, że to on do nas przyszedł, że to on to wszystko wyrabia. Więc któż teraz u Tatarów panuje?

— Rodzony syn Dżyngischana, Chaan Ogotaj.

— Ogotaj? Osobliwsze imię! Więc to ten Ogotaj sprowadził takie okropne wojska?

— Nie, nijakim sposobem. A po co jemu się trudzić? Wojskami dowodzą młodsi, wnukowie Dżyngischana, Baty, Peta, Bajdar, i jeszcze kilku innych, wszystko wielcy Behadyrowie, co już resztę świata podbili. Sam Wielki Chaan wcale nie miesza się do wojny, siedzi sobie w swojéj stolicy, w Karakorum.

— Gdzie?

— W Ka-ra-ko-rum.

— Ach Boże! Cóż to za jakaś nazwa?

— To ma znaczyć *Czarny gród*, czy też *Czarne piaski*, czy cóś podobnego; w każdym razie Czarna stolica, gdzie mieszka Czarny Car.

— A cóż u nich wszystko takie «czarne»?

— Tak właśnie, Tatarzy kochają się w czarności. Tylko uważajcie: gdziekolwiek przejdą, wszędzie zostawią takie nazwy: Czarna woda — Czarny las—Czarny szlak.

— Widocznie mój Wasylku znają się na samych sobie, wiedzą że od nich po całym świecie rozchodzi się żałoba. I jakżeż tam jest w tym Czarnym grodzie? Czy ty tam kiedy byłeś?

— Nie, ja tam jeszcze nie był. To ma być okropnie daleko, gadają że od Kijowa rok dro-

gi. Ja właśnie miał tam jechać, my wszyscy mieli tam jechać z Karganem.

— Aha! Więc to tam nas miano zawieźć, o rok drogi, do Czarnego miasta? Śliczna mi podróż!

— Wy Ludmiła Jedwardowna woleli do Ugrów, no, i ja wolę najlichszy zameczek u Lachów, niż wszystkie stolice Chaana. To jest..... nie koniecznie najlichszy.....

— Powiédz mi Wasylku, co znaczy słowo *Mendu?*

— «Mendu», to jakby kto powiedział: «Jak się macie?» No, to poprostu, pozdrowienie. Widzieliście sami, że kiedy się witają, to podnoszą splecione ręce, o tak..... do czoła, i mówią: «Mendu!»

— A słowo *Anda*, któreście tak często powtarzali Behadyrowi?

— O! To wielkie słowo, szanowne słowo. To znaczy *ślubną przyjaźń.*

— Jakto, «ślubną»?

— Trzeba wam wiedzieć, Ludmiła Jedwardowna, że Tatarzy mają wielkie uszanowanie dla przyjaźni. Kiedy dwóch Tatarów chce między sobą zawrzéć mocną przyjaźń, wtedy robią tak: biorą kubek z kumysem, każdy nacina sobie rękę, i trochę krwi wpuszcza do napoju, potém obaj na przemiany piją z tego kubka, a pijąc ślubują sobie wierność, «na złą i dobrą do-

lę, na mléko i krew, na życie i śmierć.» Taka ślubowana przyjaźń nazywa się *Anda*, i to jest u nich świętość. Oto naprzykład, ja w Iłży powiedział Ajdarowi że między wami a Elżbietą Iwanowną jest *Anda*, no, to wy widziały jak też on was uczcił, co nie wyrabiał aby inni ludzie was nie rozdzielili. Ja więcéj powiem: sam wielki Dżyngischan dał przykład. Jeszcze kiedy był młody, zawarł «Andę» z innym Chanem co się nazywał Ong-chan. Bardzo się miłowali. Potém, zaszły między niemi różne rzeczy niedobre. Ong-chan widział że Dżyngischan ciągle rośnie a rośnie w moc, i chwałę, i skarby, więc rozjadł się zazdrością, niechciał go słuchać tak jak wszyscy inni Chanowie słuchali, no, i czy uwierzycie? Zbuntował się, i zaczął z nim wojnę! Dżyngischan—ma się rozumiéć—jak zawsze, zwyciężył. Ong-chan zginął w bitwie. A wtedy świat zobaczył rzecz niesłychaną: ten wielki Dżyngischan, co nigdy nikomu nie przebaczył, co razu pewnego, siedemdziesięciu wodzów nieprzyjacielskich ugotował w siedemdziesięciu kotłach, teraz, kiedy mu przyniesiono uciętą głowę Ong-chana, nietylko się nie ucieszył, ale się rozsierdził na tych co go zabili, a potém kazał jego czaszkę oprawić we srebro, czyste srebro, i pijał z niéj niby z garnka. Taką to cześć Tatarzy mają dla przyjaźni.

— I ty Wasylku nazywasz to «cześcią»?

Piękny mi przyjaciel, co może pić wesoło z głowy przyjaciela!

— Wy tak myślicie, Ludmiła Jedwardowna? A no, może i wasza prawda.... Ja się tam na tych rzeczach nieznam, ja nigdy niemiał przyjaciela.

Ludmiła spojrzała na niego z głębokiém politowaniem. Biédny człowiek! Sam o sobie wydał sąd najwymowniejszy: on nigdy nie miał przyjaciela!

Wasyl ani się domyślał wrażenia jakie sprawił, i daléj suszył sobie głowę. co znaczy ta osobliwsza ciekawość jego towarzyszki? Bo niedosyć że chciała znać pojedyncze wyrazy Tatarskie, ba! ona uczyła się całych okresów, powtarzała je głośno i po cichu, dziesięć razy, sto razy z rzędu.

— Ludmiła Jedwardowna, po co wy sobie głowę tak męczycie?

— Mój Wasylku, ja chcę korzystać z czasu który spędzamy razem, aby się przy tobie poduczyć po tatarsku.

— A co wam po tém? Przecież, chwała Bogu, już nie wrócicie do Tatarów.

Ludmiła spojrzała na niego spojrzeniem niezrozumiałém, uśmiéchnęła się uśmiéchem tajemniczym, i rzekła:

— Kto wié? Może i wrócę?

Wasyl otworzył wielkie oczy, pomyślał sobie:

— Musiałem się przesłyszéć.

I zaczął mówić o czém inném, to jest..... o swoim zamku.

Skarb uratowany.

Przeprawiwszy się na czółnach rybackich przez wody Seretu, przebrnąwszy z niejakim trudem ostatnie rozgałęzienia Karpat, wjechali nakoniec na ziemię Węgierską, a wtedy zaczęli spoglądać po sobie, zapytując: Gdzie są? Czy w ziemi obiecanéj? Czy w zaklętych krainach baśni?

Trawy rosły wysoko jakby siane zboża — zboża rosły wysoko jakby złote lasy — lasy rosły wysoko jakby szumiące góry.

Na trawach pasły się woły bajecznéj grubości, z rogami nieledwie jak u żubra. Na koniach błyskawicznych, obwieszonych w iskrzące trzęsidła i brzękadła, harcowali pasterze dumni jakby panowie, ciągnęli panowie pyszni jakby króle. Co za ludzie! Co za oczy!

Madżiary, dopiéro przed czterystu laty osiadłe w Europie, przechowywały jeszcze wspania-

łość Azjatów i hardość koczowników, a już zwolna przesiąkały gospodarnością i wykwintem Zachodu.

A co za kobiéty! Blask i giętkość lilji, uśmiéch sułtanki, oczy jak śmierć czarne i zawrotne, ruchy imperatorskie. Ludmiła co chwila spostrzegała postacie, nieco przypominające postać królowéj Kingi; ta oto ma jéj kibić, tamta podobny uśmiéch, tylko żadna niéma tego czegóś, co świéci jakby gwiazda z czoła królewny Węgierskiéj.

Wasyl, który nigdy nie widział szczęśliwego kraju, dosłownie zachodził w głowę. Zachwycał się wszystkiém, ziemią, bydłem, ludźmi, nadewszystko powietrzem. Bo téż to powietrze, już troszkę Włoskie, troszkę Greckie, osłonione Karpatami od wichrów północy, przesycone wybuchami życia, teraz szczególniéj, w ostatnich dniach Czerwca, nakarmiało i odradzało.

— Dobrze wy mi poradzili, Ludmiła Jedwardowna, święta rada. Człowiek tyle ciężkich lat, krwawych lat przemęczył, i ani się domyślał że na tym świecie już może być niebo. Czemu téż mi kto nie powiedział raniéj? Byłby ja tu pachołkiem przywędrował. U nas w Ustiugu dziewięć miesiąców mróz, bij ziemię choćby żelazem, ani drgnie. A potém i przedtém dwa miesiące błota, a w środku ledwo jeden miesiączek pogody, i to jakiéj? Dziesięć listków na krzaku, i koniec. A tu! Ach co za lubość! Człowiek ca-

ły dzień jakby w łaźni. Nawet szubę mógłby sprzedać, i jeszcze by nie zmarzł.

Zdumiał się Wasylko niesłychanie kiedy spostrzegł piérwsze winnice. Zdumiała się i Ludmiła. Ta radosna Bachusowa zieleń, już samym widokiem swoich świątecznych wieńców, upaja północne wyobraźnie. Ale strach ją ogarnął, kiedy zachwycony towarzysz zaczął coraz częściéj kosztować winogradu—z beczki. Od kilku dni właśnie miał on ciężkie zmartwienie: w podróżnych worach zabrakło mu kumysu i tarassunu; tém więc radośniéj, tém chciwiéj rzucił się do Węgierskich kordjałów, i zawyrokował ostatecznie, że «wszystkie kumysy to wynalazek czorta dobry dla czornego narodu, a wino sam Pan Bóg wynalazł dla ludzi co mają zamki.»

Ach, nakoniec mógł sobie wyrobić jasne wyobrażenie o zamkach, bo dotąd słuchał o nich jak o tych mieszkaniach wróżek, o których niańki i znachorki gadały.

Miast jeszcze mało spotykali, ale wsie coraz gęściéj zachodziły im drogę, ludne, gwarne, zamożne, szumiące od śliwowych sadów, a nad niemi gdzie nie gdzie, na górze, wśród winnic i zwierzyńców, siedział groźnie madżiarski *castel.*

Wasylko stawał z otwartemi ustami, podziwiając te mosty nad przepaścią, te baszty w obło-

kach, te kalwakaty wyzłocone, co z bram się spuszczały przy grzmocie trąb i kotłów.

Za każdą razą pytał:

— Czy i w Lechji tak samo? Czy zamki równie bogate? Powietrze równie ciepłe?

Ludmiła miała wielką ochotę zawołać:

— O, i u nas bardzo pięknie, może jeszcze piękniej!

Miłość rodzinnéj ziemi podszeptywała jéj pochwały, a nawet i przechwałki, ale rozum kazał inaczéj odpowiadać. Dawno już dręczyła ją obawa, czy owe sute obietnice, nie zostały zbyt lekkomyślnie rzuconemi.....

— Kto wié?—Przemyśliwała.—Może Tatarzy zniszczyli wszystkie moje włości, popalili zamki, ludzi wzięli w niewolę? Ha, ziemi przecie nie wzięli? Téj pustéj ziemi dam Wasylowi dwa razy więcéj niż dać miałam, i rachunek się zrówna.

Ale co było gorsze, co stokroć gorsze, to że Wasylko rozpowiedział jéj szczerze, jak to on będzie rządził temi włościami, skréślił obraz przyszłéj swojéj pańskości. Po szkole kilkoletniéj przebytéj u Tatarów, można sobie wyobrazić jak on pojmował obchodzenie się z ludźmi, okazywanie władzy, i ciągnienie dochodów.

Ludmiła struchlała..... Zaczęła pytać sumienia, czy to godzi się oddawać swoich włościan podobnemu panu?

Te wszystkie myśli sprawiły, że teraz odrzekła z przymuszoném westchnieniem:

— Ach mój Wasylku, przykro mi powiedzieć, wstyd mi powiedzieć, ale muszę wyznać: u nas brzydko, zimno, prawie tak jak w Ustiugu.

Spojrzał na nią, bardzo zmartwiony. Uwierzył jéj zupełnie, bo Sandomiérskie widział w zimie.

— Czy wiész Wasylku co ja bym zrobiła, gdyby mię Pan Bóg był stworzył Wasylem?

— No, cóż? Ja ciekaw.....

— Oto, raz dostawszy ów zamek i ową ziemię w Polsce, wszystko to bym sprzedała, wzięła kupy złota i srebra, i za złoto i srebro kupiła sobie taki oto zamek w Baszkirdji, albo gdzieś aż pod Carogrodem.

— A czemu wy, Ludmiła Jedwardowna, nie zrobili tego dawniéj?

— A! Ja, to co innego. Ja się tam rodziłam, to moja własna ziemia, zawsze co swoje to najmilsze.

— Może to i rozumna rada..... Ja na waszych radach zawsze dobrze wychodził. No, niech tylko dostanę co mam dostać, a potém zobaczymy.

Tak, różnie gwarząc, jechali. Na każdém rozdrożu nastawała chwila namysłu: który gości-

niec wybrać? A wybór był niełatwym. W piérwszych tygodniach drogi, mieli cel jasno wytknięty, cel jedyny, przedostanie się do granicy Węgier. Ale raz granicę przebywszy, cóż daléj przedsiębrać?

Wasyl ciągle z pokorą zapytywał: «Gdzie Ludmiła Jedwardowna każe jechać?» A Ludmiła nie śmiała mu się przyznać, że niemniéj od niego jest zakłopotaną.

Nakoniec pomyślała sobie:

— A czy nie było by najlepiéj udać się prosto na Dwór króla Andrzeja? Wszak to ojciec naszéj Xiężny Kingi? Tam przynajmniéj jest jakieś wspomnienie, którego można się uczepić, jest jakaś (i to koronna) znajomość, w imię któréj można zażądać opieki.

Pomysł Ludmiły zachwycił, a razem i przestraszył jéj towarzysza. Jakto? On, Wasyl Kiryłowicz pojedzie na Dwór królewski? Pozna się z królową Lachów i z królem Baszkirdów? I to zaraz? Choć jeszcze nawet niéma swego zamku? Wielce rad..... ale czy to nie za rano? Po jakiemuż on z niemi będzie gadał? W cóż się do nich ubierze? Bo przecie w podróżnym tołubie nie wejdzie na złote sale? Biéda z temi losami! Póki nic to nic, choćbyś kamień gryzł, a jak szczęście zacznie się walić, to mało człowieka nie zadusi.

Rozważając te zagadnienia, raz wzdychał, drugi raz gładził się po brodzie, a na swoją

przewodniczkę spoglądał z uszanowaniem, podobném już do nabożeństwa.

A teraz, gdzie króla szukać?

Przy każdém spotkaniu, Ludmiła dopytuje się Słowian, Wasylko dopytuje się Połowców:

— Hej! Gdzie tu król mieszka?

Wszyscy jednozgodnie odpowiadają:

— Król jest w Belgradzie.

— Jedźmyż do tego Belgradu.

— Jak to widno,—dodaje Wasylko,—że my już nie na Tatarszczyźnie; już i grody nie *czarne* ale *białe*. Sława Bogu! Teraz już wszystko dla nas będzie biało!

Na gościńcach coraz ludniéj. Czasem górnicy przeciągają z wozami pełnemi soli, kruszców i niezliczonych bogactw. Czasem, twardo łomocąc, wlecze się wózek mniejszy, zamknięty i zabity jakby trumna, zewsząd otoczony zbrojnemi strażami; mniejszy on, ale cięższy i droższy, zawiéra samo złoto. Niekiedy, na drodze, długim, kolorowym orszakiem tłoczy sie karawana kupców cudzoziemskich, poubiéranych jak maszkary zapustne, gadających wszystkiemi językami świata.

Wprawdzie im bliżéj Cissy, tém szerzéj widnieją *puszty*, olbrzymie stepy Węgierskie. Ale jakież to stepy! Niebieskie, żółte, różowe od

kwiecia, rozpachniałe jak sale na Wawelu, rozśpiéwane wpół-dziką pieśnią pasterzy, tych dziarskich Juhaszów i Czykosów, co konno śmigają za wpół-dzikiemi stadami.

Ludmiła z przyjemnością zatrzymuje się w szałasach pasterskich, bo przy mléczywie puszty, obfitém i pożywném, policzki Jasia powoli odkwitają.

Pięknie tu,—a jednak i ta piękność sprawia na podróżnych bolesne wrażenie..... Cóż po wszystkiém, kiedy za kilka miesięcy i tu będą tylko same trupy, gruzy i pustynie? Ach, oni to już znają! Oni to już wszystko naprzód widzą!

I nawet już można czuć w powietrzu, piérwsze podmuchy przyszłéj burzy. Już ludność północnych Węgier schodzi coraz tłumniéj na południe, gnana pędzącą z po-za Karpat nawałą; tu jeszcze spokojnie i kwitnąco, ale ci przybysze już roznoszą trwogę i złe wieści. Jest nawet między niemi niemało i Polskiego ludu; ten przynosi jeszcze straszniejsze przestrogi, jeszcze bledsze oblicza, bo ten bliżéj widział bicz boży. Całemi rodzinami, całemi wsiami, przerażeni tułacze przebili się przez góry, i jadą, idą, uciekają, sami nie wiedzą gdzie..... byle daléj!

Kiedy Ludmiła po raz piérwszy spotkała rodaków, kiedy posłyszała Polską mowę, oczy jéj zabłysły upojeniem, i chociaż to byli nieznajomi, wyciągnęła do nich serdeczne objęcia.

Ale wnet łzy gorzkie puściły się z jéj oczów, twarz ukryła w rękach i jęczała:

— O czemuż *jéj* tu niéma? Już dla mnie żadna radość nie istnieje, kiedy niemogę jéj podzielić z tą kochaną, z tą nieszczęśliwą, co była lepszą połową mojéj duszy!

Między spotykanemi ziomkami, ciągle upatrywała jakiéj twarzy znajoméj, ciągle się dopytywała o Sulisława. Niestety, wszystkie twarze były obce, a na pytania jéj nikt nie umiał odpowiedzieć. Każdy zajęty samym sobą i własną rodziną, mało wiedział o losie innych.

Nakoniec trafił się i znajomy.

Było to w pewną Niedzielę, w gorące południe. Ludmiła odmówiwszy dłuższe niż codzień pacierze, zaczęła się rozglądać po cudnie pięknéj okolicy. Jedną ręką, jak zawsze, przytrzymywała Jasia, drugą podniosła ku olśnionym oczom.

— Co tam za kurzawa?—Zapytała.

— Znów pewno Lachy.—Odrzekł Wasyl.

Rzeczywiście, była to znowu gromada wychodźców Polskich. Nasi podróżni usunęli się nieco z drogi, aby przepuścić gwarną ciżbę; przeciągała przed niemi konno, pieszo, z wózkami, a gdy z tego gwaru doleciał dźwięk rodzin-

néj mowy, zaczęły się jak zawsze ukłony i witania:

— A zkąd to Bóg prowadzi?

— A dokąd?

— A co tam słychać?

— Szczęść Boże!

U samego już prawie końca, na wózku dudniącym, ciężko wyładowanym, siedział człowiek o długich, białych wąsach.

Ludmiła krzyknęła:

— Rafał! To ty Rafale?

Jadący spojrzał — oniemiał — wyskoczył z wozu, padł jéj do nóg, i zaniósł się od płaczu.

Tak, to był Rafał, stary domownik jéj ojca najwierniejszy ze sług Ludmiły, ten co jéj towarzyszył w ucieczce przed Zyndramem, ten co ją odwoził do Witowa.

Cała gromada stanęła, aby się przypatrzéć radosnemu spotkaniu. Rafał wołał:

— O jaki téż to Pan Bóg dobry! Pani moja, złota paniusiu, więc to prawda że was do niewoli nie wzięto? Więc to ludzie nic po próżnicy gadali, że wyście uciekli z Żegnańca razem z panią Elżbietą? A gdzież pani Elżbieta? A gdzież panicz? O..... jest śliczny panicz!

— Ale nie, mój Rafale, myśmy nie uciekły, Tatarzy nas wzięli, zagnali już daleko, daleko! Ja teraz wracam z niewoli Tatarskiéj.

Na te słowa wszyscy osłupieli.

Więc była istota co mogła *wrócić* z niewoli Tatarskiéj?

Ludmiła w krótkich, gwałtownych wyrazach, opowiedziała swoje niezwykłe dzieje. Wszystkie serca zawisły na jéj ustach — wszystkie matki uściskały ją za ocalenie Jasia — cały tłum okrzyknął ją «mężną dziéwką» i «prawdziwą Polką.»

Zasługi Wasylka także wznieciły zapał; porwano go w objęcia, mało nie uduszono od uścisków. Ustiugczyk nieprzywykły do Lackiéj serdeczności, czerwienił się i krztusił, a Glafirka zaczęła szlochać, w przekonaniu że ci ludzie chcą zamęczyć jéj ojca.

— Ach mój Rafale — rzekła w końcu Ludmiła, — ty jesteś dla mnie jak wskrzeszony, ja cię już opłakałam. Jakiż to cud że cię nie zabili w Witowie? Ty mieszkałeś tam we wsi, tuż pod samym klasztorem?

— Tak, ale przy osobliwszéj łasce Boskiéj, wyślizgnąłem się z rąk Tatarom, uciekłem w lasy, i tułałem się i tułałem, a precz płakałem nad wami, moja najmilejsza pani. Aż po wielu, wielu dniach i nocach, może w jaki miesiąc po tém wszystkiém, spotykam Jacusia, tego chłopca od koni, co służył w Żegnańcu. On téż wyratował się cudem z tych okrutnych rzezi.....

— Czy być może? Więc był jednak człowiek co się wyratował z Żegnańca?

— Tak..... ale po jakiemu! Pokłuli go, porąbali, i zostawili między trupami, bo im się widziało że już i z niego trup. Dwa dni tak leżał, ani się ruszył, tylko czasem kruszynkę oczy odmykał, o..... tylko tyla..... Widział jak jedli i pili, jak skoki wyprawiali, jak zamek podpalali; a poczciwe te ściany, niechciały i niechciały się palić, musieli je sto razy podjudzać ogniem, — ach co się tam działo, to bebechy bolały słuchać. Potém widział jak wyjeżdżali z całym ogromnym łupem, rachował wszystkie niewiasty i dziéwki które za sobą ciągnęli, niezobaczył tam ani was moja pani, ani pani Elżbiety, przelękł się okrutnie, i tak sobie myślał: «Musieli je zabić.» Nakoniec odeszli. Wywlókł się z pod trupów, chodził po rozwaliskach, oglądał wszystkich zabitych, i znów tam nie znalazł ani was moja pani, ani pani Elżbiety. Więc znów się ucieszył, i tak sobie myślał: «Chyba uciekły.» Niémiał już co robić na tych zgliszczach, więc takoż poszedł w lasy, i oto ze mną się potkał. Rozmyślali my tedy we dwóch: «Gdzie nasze panie mogły uciec? Najprędzéj do królowéj.» Daléj-że my pytać się ludzi: «Gdzie królowa?» Wszyscy odpowiadali: «Królowa z królem i z całym Dworem ujechała na Węgry.» Więc i ja wybrałem się na Węgry, i oto..... ach jaki Pan Bóg dobry! Jeszcze dziś rano modliłem się

«Słodki Jezu, pozwól abym za dwa dni znalazł moją panią przy królowéj!» A Pan Jezus już dziś to zrobił! Niechże Mu będzie chwała na wieki wieków—Amen.

— Co ty gadasz Rafale, za dwa dni? Więc król i królowa są tak blisko ztąd?

— A tak, oni tu pono siedzą w jakimś kasztelu tak okrutnie mocnym, co ludzie gadają że i djabli by go nie wzięli. Panowie i panie Polskie precz się tu do nich zjeżdżają.

— Ach, cóż to za szczęście — wołała Ludmiła,—już tylko dwa dni drogi! Za dwa dni będę na koniec spokojna o Jasia, bo przecie przy królu i naszéj świętéj pani, bezpieczniéj mu będzie niżeli przy kimkolwiek. A kto wié, może tam znajdziemy i ojca Jasinego, rycerza Sulisława?

Twarz Rafała wyraziła podziw i niedowierzanie.

— Tak wam się widzi paniusiu? Dałby to Pan Bóg! Ale mnie ludzie gadali że on zabity..... pod Chmielnikiem.

— To bajka mój Rafale, niezawodnie bajka. Mnie znów ludzie mówili, że ten co zginął, to inny Sulisław, a nasz uszedł szczęśliwie z królem na Morawy. Teraz pewno tu z nim przyjechał.

— Nie upiéram ja się przy swojém. W takich dziwnych czasach, człek niczego niewié na pewniaka. Już kiedy moja pani mogła wró-

cić od Tatarów, to we wszystko można uwierzyć.

Podczas téj rozmowy, słońce się nieco opuściło, upał zelżał, gromada znów ruszała w drogę.

— Paniusiu—spytał Rafał — czyby to wam nie było weseléj przesiąść się na mój wózek? Ja bym chciał wam powiedzieć cóś bardzo ciekawego..... a nietrzeba żeby kto nadstawiał ucha.....

Ludmiła przesiadła się chętnie, Jasia posadziła obok siebie, Glafirkę także wzięła. Dzieci niezmiernie się ucieszyły nowym rodzajem jazdy, zaczęły szczebiotać i rzucać sobie zdźbła słomy wyciągane z grubéj podściółki, a Rafał niby cały zajęty powożeniem, to trzaskał z bicza, to gadał z końmi, ale od czasu do czasu przechylał się ku Ludmile, i mówił jak mógł najciszéj:

— Czy paniusia wié co ja tu wiezę? Dla czego wózek taki ciężki? Oho, niech pani moja nie myśli, że ja tu przywoziłem tylko moje liche usługi. Ja wiezę pańskie skarby, te skarby co zostały po nieboszczyku panu.

— Jakie skarby? Ja nic niéwiem o żadnych skarbach.

— A tak, paniusia niewié, i nikt niewié, ja jeden pod słońcem, wiém. Kiedy nieboszczyk pan zachorował, tak tedy woła mię do siebie i powieda: «Źle ze mną mój Rafale, trzeba

się wynosić, a to mię gryzie—powieda—że moja dziéwka zostanie na opiekuństwie tych moich braciszków paliwodów, co nigdy najeść się niemogą, chociażbyś im cały Olkusz postawił na misie. Już to kasztelów i ziemi tak łatwo nie połkną, bo ich—powieda—w tastamencie spętałem kieby pająk muchę, ale co mój skarbczyk, to rozdrapią; nim to niebożątko dorośnie, wszystko, złodzieje, powynoszą. A chciałbym go dla niéj przechować, bo to przedziwne rzeczy, z dziada pradziada zbijane do kupy, babki i prababki je nosiły, niechże i moja dziéwuchna zdobi się w te bogactwa, jako przystało na wielką dziedziczkę.»—Wtedy kochany panisko zwlókł się z posłania, zaprowadził mię do podziemnego sklepu, tam pokazał mi skrzynię, i powieda: «Patrz Rafale, ta jedna skrzynia, tyle warta co mój największy zamek, ze wszystkiemi swojemi polami, lasami i stawami.» Potém otworzył wieko; ach Boże, co ja za cuda zobaczyłem! Alszbanty, całe sadzone w kamyki niebieskie, różowe, żółte, kieby monstrancyje; a co pereł! Po trzy i cztery sznury, kieby kaszy; a kolce, a wieńce, a kanaki, gotowiusieńkie wiano dla królewny. A były tam i dla mężczyzn drogości: sygnety, łańcuchy, pasy, miecze, wszyćko także nabijane kamuszkami jakby różnym grochem, a wszyćkiego tak wiela, że miałby człek czém obdzielić cały dworny ufiec. Pan mówił: «To będzie dla jéj męża, a to dla niéj.» Wszyś-

ciutko mi pokazał, potém oddał mi klucz od skrzyni, potém klucz od sklepu, i powiedział tak: «Chowaj u siebie te klucze, strzeż ich jak oka w głowie, i niegadaj nikomu o tych skarbach, dopóki moja dziéwka nie dorośnie.» Tak powiedział, potém się znów położył, i nazajutrz skończył. A ja od tamtego dnia, milczałem kieby grób.

— O mój Rafale, jakże mój rodzic musiał sobie ważyć twoją cnotę, kiedy ci zawierzył więcéj niż rodzonym braciom, niż światu całemu! I dobrze zrobił,—jak zawsze—święcie zrobił.

— Więc ja tedy milczałem, nasamprzód ze strachu przed braćmi pańskiemi, a potém ze strachu przed tym niegodziwcem Zyndramem, coby gotów i votum ściągnąć Panu Jezusowi z ołtarza. Potém nieraz myślę sobie: Powiedzieć już, czy nie powiedzieć? – A tu wali się ta cała paskudna Tatarszczyzna, i nastają te wszyćkie okropności.—A teraz paniusiu, jeszcze wam cóś powiém: kiedy mi Pan Bóg pozwolił wydobyć się z Witowa, to ja nie łaziłem jak próżniak po lasach, (tak się gada jeno dla gawiedzi,) ale ja w te pędy poleciałem do waszych kasztelów i wsiów.....

— I cóż? Wszystko zniszczone? Spalone?

— Ale gdzie tam! Wszyćko stoi cało i zdrowo. Niczego nie tknęli. Noga Tatarska jeszcze nie postała w tamtych stronach. Niewiém, czy nie leżały im po drodze, czy téż to Pan Bóg

tak umyślnie urządził? Z początku miałem siła uciechy, potém znowu strach na mnie nasiadł.— «Głupcze!—Mówię sobie.—Nie ciesz się po próżnicy. Nie byli tu wczoraj, to właśnie znak, że przyjdą jutro albo pojutrze. Odłożyli sobie ten kęsek na późniéj; wracając przyjdą, mury porozbijają, skarbczyk pański znajdą. Oj, przezpieczniéj go zabrać, i zawieźć do mojéj pani.» Więc włożyłem skrzynię na wóz, jachałem, jachałem,— no, i jestem.

— A ze swoich rzeczy, uratowałeś téż co, mój Rafale?

Machnął ręką pogardliwie.

— E, mniejsza tam o moje rupiecie..... już nie było ani czasu ani głowy.

— Rafale, z ciebie zacny człowiek.

— Niechże paniusia nie drwi sobie ze sługi. Spełnić wolę pana, i wolę umiérającego, wielka rzecz! I gadać o czém niéma.

— Rafale, słusznie mówiłeś że Pan Bóg bardzo dobry. On wié co robi. Nie napróżno mi przysłał ciebie, i to właśnie teraz. Było wiele nieszczęść, ale dzisiaj za to, same łaski boskie się sypią. Jest za co dziękować. A najprzód, i nad wszystko, za to że nasz skarb uratowany.

Rafał spojrzał na nią z podziwieniem. Cieszył się że jego przysługa tak wysoko jest szacowaną, ale razem i dziwił się że pani jego, zawsze taka szlachetna, ceni sobie kolce i alszbanty

«nad wszystko.» Jakto? Nawet nad odzyskanie wolności? Nawet nad powrót między swoich?

Nieśmiał robić uwag, dodał tylko:

— Tak..... to szczęście że mi go w drodze nie zabrali, w górach tyle rabusiów.....

— Niezrozumiałeś mię Rafale, ja skarbem nazywam to dziecko. Pan Bóg jeszcze niepozwolił aby pani Elżbieta z nami powróciła, ale Jaś to także pani Elżbieta, kto jego ratuje, ten ratuje cząstkę jéj życia i serca, i to właśnie tę cząstkę, o którą ona sama dba najwięcéj.

— A no juści, co matka to matka.

— Więc widzisz Rafale, to już wielka łaska Boga, to skarb prawdziwy, przy którym wszystkie kamienie i złotości są tylko marnym prochem. A jednak i ten proch się przyda, oj! dzisiaj przyda się więcéj niż przez całą resztę życia, bo może mię doprowadzi do drugiego szczęścia o które Boga proszę, do wybawienia saméj pani Elżbiety.

— Jakto? Paniusia chce wybawiać i panią Elżbietę? Jakże to może być?

— Musi być. Czyż ty mogłeś nawet pomyślić Rafale, abym ja, ja co tyle dobrodziejstw doznałam od téj serdecznéj pani, ja co ją po Bogu najwięcéj miłuję, miała sobie wrócić spokojnie pomiędzy szczęśliwców, i mieszkać rozkosznie w moich zamkach, i jeść i spać smaczno, kiedy ona tam jęczy w téj szkaradnéj niewoli? A toć byłabym poczwarą, godną piekła. Nie!

Ja jednéj nocy nie prześpię bez trwogi, jednéj łyżki strawy nie przełknę bez goryczy, dopóki ona tu nie wróci. Kiedy musiałam uciekać bez niéj, (ach musiałam..... dla Jasia!) wtedy sobie poprzysięgłam tak: «Najprzód ocalę dziecko, a potém ją, choćby mi przyszło nawet.....» Ale po co tu gadać, kiedy Pan Bóg mi zesłał ciebie? Słuchaj Rafale: ja chciałam wrócić co prędzéj do kraju, sprzedać którą z moich największych włości, zebrać dużo złota, i za to złoto wykupić panią Elżbietę.

— Więc to można wykupić?

— Czemu nie? Kiedy mię trzymano między Tatarami, widziałam że u nich wszystko da się kupić, wszystko. Cieszyłam się niezmiernie tą nadzieją wykupu, ale i trapiłam się myślą, że cała ta sprawa strasznie długo potrwa, może rok, albo więcéj? Aż tu Bóg się zmiłował! Ty mój Rafale przynosisz mi zbawienie, ta skrzynia toż gotowy okup. Już teraz nie trzeba mi wracać do kraju, ani sprzedawać moich włości, te skarby oddam za panią Elżbietę, i wszystko skończy się od razu. Tatarzy jeszcze wolą klejnoty niż pieniądze, a kiedy—jak powiadasz—jest ich tam taka mnogość, toć przecie wystarczy choćby dla najchciwszego poganina?

Rafał spojrzał na nią ze smutkiem.

— Cnotliwa chęć, — rzekł po chwili wahania,—i anioł by lepiéj nie chciał, ale.....

— Wiém co chcesz powiedzieć, ale: któż to zrobi? Tak, to nie mała trudność..... ostatnia, ale niemała. Trzeba koniecznie aby się znalazł człowiek, i uczciwy, i śmiały, i mądry, (taki jak ty Rafale,) coby umiał zrobić trzy rzeczy: najpierwéj, tę skrzynię bezpiecznie na miejsce zawieźć— potém, z Tatarami targu dobić —a nakoniec, panią Elżbietę zdrowo tu do nas odprowadzić. To wyprawa godna dobrego Chrześcjanina.

Mówiąc, badawczo patrzyła Rafałowi w oczy.

Ale Rafał nie podniósł oczu, sposępniał i rzekł:

— Takiego człowieka nie znajdziecie. Jeśli się kto sam ofiaruje, to będzie oszust, co skarby weźmie i przepadnie kieby kamień w wodę. Uczciwy człowiek nie powié: «zrobię to», bo nie zrobi. Niech tylko Tatarzyska zwąchają że poseł wiezie drogie rzeczy, ehe! jeszcze nie dojedzie, a już go złupią i zabiją. Ucieszna mi wyprawa! Pani Elżbiety nie uwolni, skarby postrada, żywot postrada, i wszyćko po próżnicy! To i po co zaczynać? Trzeba inny sposób wymyślić.

— Niéma innego sposobu. Niby to ja nad tém już nie łamałam sobie głowy? Przez całą drogę, dzień i noc! O nowéj ucieczce już mi ani gadaj, wiém ja teraz czém to pachnie, wiém jak to tylko na wpół się udaje. Niéma innego sposobu.

— Ale taki człowiek się nie znajdzie. — Powtarzał sługa z rodzajem rozdrażnienia.—Oto

na ten przykład, choćby ja: skoczył bym dla pani mojéj w ogień, poszedłbym jak stoję, bez oszczepu, między gryzące się wilki i niedźwiedzie, ale między Tatary, nigdy! Nie,—takiéj ofiarliwości i sam Pan Bóg by nie wymagał.

— To téż nikt nie wymaga. — Odparła sucho Ludmiła.

I oboje zamilkli.

W téjże chwili wszystkie oczy zwróciły się na kilku Czykosów, którzy w głębi puszty wyrabiali jakieś dziwne harce. Był to niby taniec tryumfalny, w którym, to rozpędzając konie skośnemi kręgami, to zbliżając je napowrót ku środkowi koła, rzucali czapki w górę, ściskali się gwałtownie, i krzyczeli jak ludzie co tracą głowę.

Spostrzegli naszą gromadę. Lecą ku niéj, co sił wołając ze słowacka:

— Czy już wiécie? Wielkie wiadomości! Cudowne wiadomości!

— Co takiego? — Co takiego? — Pytano między tłumem.

— Pod Ołomuńcem Tatarzy pobici! Rozbici do szczętu!

— Ich wódz, Peta, zabity! Zginął! Zdechł!

— Ołomuniec oswobodzony!

— Tatarzy uciekli! Już ich niéma!

— I w Polsce ich niéma! Nigdzie niéma!

— Do nas już nie przyjdą! Bóg się zmiłował!

— I wy możecie już wracać do swoich!

— Będziemy żyli po dawnemu!

— Złe się skończyło!

— Bóg zwyciężył!

— Eljen!

Tułacze cisnęli się, zeskakiwali z wózków, powtarzali jeden drugiemu:

— Słyszysz? Wielkie zwycięztwo!

— Peta zabity!

— Ołomuniec oswobodzony!

— Już poszli! Możemy wracać!

— Jakto? Wracać do domu?

— Co za szczęście!

Wykrzyki rosły, rosły, aż zmieniły się w jedną, ogłuszającą wrzawę, podczas któréj Węgrzy i Polacy, znajomi i nieznajomi, starzy i dzieci, wszyscy ściskali się z uniesieniem podobném do szału.

Jedna tylko Ludmiła stała na uboczu ponura, szepcąc przez zaciśnięte zęby:

— Tak..... tu wszyscy się cieszą..... a ona tam sama jedna, bez dziecka, bezemnie, bez żywéj duszy przyjaznéj, w chłodzie, zgryzocie, pod ba-

togiem, na pustyni! Jak ci ludzie mogą zapominać, że tyle ich siostr i braci płacze tam w niewoli?

I zakryła oczy, nie chcąc nawet patrzéć na tę radość.

Nagle, wrzawa ucichła. Jedném natchnieniem pchnięci, wszyscy razem uklękli, odkryli głowy, i ze wszystkich piersi wzbiła się pieśń nabożna.

Wtedy i Ludmiła padła na kolana, chwyciła Jasia w gwałtowne objęcie, podniosła go ku niebu, i zawołała:

— Boże mój! Niechcę być niewdzięczną. Dzięki Ci za to piérwsze zmiłowanie! Teraz, kiedy Tatarzy uciekli, teraz już na prawdę nasz skarb uratowany!.....

Poświęcenie któremu Chrześcjanie wierzyć nie chcieli.

Po takiéj złotéj wiadomości, tułacze mogli odetchnąć. Po co już pędzić gdzie oczy poniosą? Chcieli się nacieszyć dobrą wieścią, namyślić nad wyborem dróg powrotnych; przedewszystkiém zaś byli spragnieni wypoczynku. Cóż, kiedy wśród samotnéj «puszty», wypoczynek nie bardzo ponętny; kwiatów dużo, ale ani dachu nad głową, ani drzewa na ogień. Czykosowie ich objaśnili, że idąc ku południowi, po trzech godzinach drogi znajdą prześliczny lasek pełen źródeł, a na krańcach lasku wygodną *Czardę,* czyli gospodę pasterską. Tam więc gromada skierowała się, wyśpiéwując radośnie.

Istotnie, jeszcze przed zachodem słońca, widnokrąg zazielenił się złotawo-seledynowym gajem, ziemia zaszemrała biegiem drobnych strumyków, kwiaty silniéj zapachniały, i przed ocza-

mi podróżnych stanęła oczekiwana Czarda. Był to wielki szałas, pocięty na kilka izb dla ludzi, z ogromnym, oparkanionym dziedzińcem dla bydła.

Wszyscy rzucili się ku bramie gościnnie rozwartéj, ale rozpęd został szybko zatamowany; gospoda i dziedziniec były już zajęte przez innych podróżnych, szeroko roztasowanych z końmi, pakami, i niezliczoną służbą.

Wszyscy ci podróżni wyglądali niezwykle. Twarze mieli posągowe, stroje bogate i opięte, na nich płaszcze zielone lub czerwone, z pomarszczonemi kapturami. Rozmawiali językiem dźwięcznym jakby najcudniejsza muzyka. U wszystkich czerniały krucze włosy, i oczy żarzące się nakształt węgli.

Jeden tylko pomiędzy niemi, jaśniał twarzą białą jakby u niewiasty; policzki miał gorąco różowe, a rude jego włosy i broda, świéciły także fałszywą różowością.

Co naszych tułaczy najbardziéj zdumiało, to że przede drzwiami Czardy, tkwiła w ziemi biała chorągiew.

Każdy zawołał:

— Musi tu jechać jakiś Poseł?

Na stołach, poustawianych nietylko w izbach, ale i wzdłuż dziedzińca, błyszczały srebrne, wyrzeźbiane czary, kurzyły się misy pełne wykwin-

tnego jadła. Podróżnicy, rozparci na ławach upstrzonych kobiercami, dzwonili w puhary i grali w kości, przy których brząkały złote, nowiuteńkie pieniążki.

Obok tych ludzi tak suto przybranych, tak buńczucznie podróżujących, nędznie wyglądała gromadka naszych wychodźców. To téż pokornie tulili się pod parkanem, i siadłszy na gołéj ziemi, wstydliwie z sakiew dobywali podstarzałe zapasy.

Rafał jednak chciał dla swojéj pani wyprosić choćby najmniejszą izdebkę w gospodzie. Wasylko także, ośmielony swoją przyszłą pańskością, mówił:

— Po co mamy ustępować tym nieznajomym, tym graczom? Przecie my nie gorsi od innych, także potrafimy pić wino i płacić.

I z podniesioną głową szedł między biesiadników.

Ale niedługo wrócił pomieszany.

— Ach, Ludmiła Jedwardowna, źle ze mną... To są kupcy Italiancy, których spotykałem nieraz na stepach Kapczackich, gotowi mię poznać.....

— I Tatarzy są między niemi?—Spytała zatrwożona Ludmiła.

— Nie, Tatarów nie widzę.

— A ci kupcy są Chrześcjanie?

— A no tak, Genueńczyki. Mieszkają w Tanie, i handlują po całym świecie.

— Więc czegóż się od nich boisz?

— No cóż? Jak będą wracali do Tany, gotowi powiedzieć że mię tu widzieli.

— I cóż ci to już teraz szkodzi mój Wasylku? Zabrać nas nie zabiorą, choćby chcieli; moi rodacy nas obronią, Węgrzy nas obronią. A przytém, trudno przypuścić, aby Chrześcjanie chcieli naszéj zguby. Prędzéj by powinni nam pomódz.

— Wasza prawda; jak zawsze, wasza prawda. Nie będę się bał. Już teraz mogę sobie drwić i z Italianców i z Tatarów.

Co mówiąc, drugi raz głowę zadarł, i szedł do Czardy jakby jaki Baskak.

Na progu, minął się z chudziutkim, czarniutkim człowieczkiem. Ten błysnął oczami, przystanął, a potém skoczył i zawołał:

— Basilio! Caro Basilio!

I zaczął z Wasylem rozmowę, szybką, żywą, prowadzoną trochę po słowiańsku, trochę po tatarsku, bo kupczyk bywalec, znał się równie

dobrze na językach jak na towarach wszystkich krajów po których wędrował.

— Zkąd się ty tu wziąłeś, Basilio?

— A zkąd ty, Beppo? — Zagadnął Wasyl, dyplomatycznie odpierający pytanie pytaniem.

— Ha, my? Jak zawsze, kujemy wyborne interesa. Teraz nawet lepsze niż kiedykolwiek. Mój stryj Bartolommeo został wybrany jednym z Consulów naszéj Compagnii. Przed półrokiem wyjechaliśmy z Tany, z towarami, aż na pięciu galerach. Wszystko sprzedało się w Bizancium, tam nakupiliśmy różnych nowych śliczności, galery odnajęła od nas inna Campagnia, a my wracamy lądem, z towarami Europy do Azji. Woleliśmy wracać lądem, bo na stepach Kapczackich, stojące tam wojska Tatarskie rozkupią pewnie cały ten drugi nabór, i tak, nim wrócimy do Tany, pozbędziemy się szczęśliwie wszystkiego. A i tu po drodze, w Hungarji, świetnie nam się wiedzie; tu ciężko co sprzedać, ale za to chwila dobra do kupowania; ludzie, nastraszeni bliską wojną, oddają co chcesz, za bezcen. My im téż mówimy: «Bierzcie co dajemy, zawsze to lepiéj niż oddać za darmo Tatarom, a tylko patrzéć jak tu spadną.» —Powiadam ci, złoty czas dla handlu.

— A cóż znaczy ta biała chorągiew? Tego nigdy u was nie widziałem.

— A! To znowu druga historja. Pod samą Budą spotkaliśmy się z Arturem Sydneyem,

wiész? z tym bannitą Angielskim, co zawsze posłuje od Chana do Chrześcjan. I teraz jeździł do króla Hungarji, ze zwykłém wezwaniem, aby się poddał Tatarom, i płacił daninę. Ale takie wezwania, które udają się w Azji, tu jakoś nie mają powodzenia; już król Polski wolał pójść w świat o kiju, niżeli się poddać. Tutejszy odpowiedział ze śmiéchem, że ani myśli płacić. Sydney zagroził ciężką pomstą, i wyjechał niby dumnie, ale i z duszą na ramieniu, bo choć jego poselska osoba uchodzi za nietykalną, przecież on dobrze wié, że posłom Tatarskim nieraz niemiły koniec się przytrafiał. Ma wprawdzie orszak, ale z takich ludzi jak i on, z samych przybłędów których nikt nie szanuje. Ucieszył się więc niezmiernie kiedy spotkał naszą Compagnię; myśmy liczni, uzbrojeni jak trzeba na ludzi co wiozą kosztowne rzeczy, a przytém, wiész..... my ze wszystkiemi umiémy być dobrze. Wzięliśmy tedy Posła między siebie, i odtąd razem jedziemy. To połączenie przyniesie korzyści obu stronom; póki jesteśmy na ziemi Chrześcjańskiéj, to Sydneyowi bezpieczniéj z nami, a jak wjedziemy na ziemie Tatarskie, to znów nam będzie bezpieczniéj przy nim. On ma *Paizę,* wiész? taką tabliczkę,—i to nie srebrną, ale złotą, piérwszorzędną, taką na któréj widok Tatarzy biją czołem, i dają konie, wozy, jadło, wszystko, chociażby skórę własną. Przy takim opiekunie, możemy być już pewni, że nikt nas tam nie rozbije ani

okradnie. On teraz nam się kłania, późniéj my jemu będziemy się kłaniali.

Te słowa sprawiły na Wasylku ogromne wrażenie; kiedy zrozumiał że jest w kraju, gdzie sam Poseł Wielkiego Chaana kłania się Chrześcjanom, zhardział niesłychanie. Ogromną miał téż ochotę pochwalić się swoją przyszłą wielkością, przed człowiekiem co go znał dotąd w najgłębszém poniżeniu.

Wziąwszy się więc pod boki, zaczął mówić:

— Nie zazdroszczę ci wracania na stepy. Mnie się już tam sprzykrzyło, widzę że między Tatarami nie można dorobić się bogactwa—jadę gdzieindziéj—témbardziéj że spotkałem pewną..... xiężniczkę Lacką..... tak, ona się nie przyznaje, ale to jest xiężniczka..... podobno krewna króla.... tak jakoś..... króla czy królowéj..... No słowem wielka pani jakich mało. A bogata! Sto zamków—dziesięć tysięcy koni—wieże ze złotemi dachami. Obiecała mi, że tém wszystkiém podzieli się ze mną, jeśli ją wyprowadzę z niewoli. Rozumiész? Samo miłosierdzie nakazywało..... no, a jak wezmę te złote wieże, to nawet i Tatarzy będą mi się kłaniali.

Włoch rzucił na niego spojrzenie z pozoru dobroduszne, ale podszyte drugiém spojrzeniem, bardzo bystrém. Uśmiéchnął się dwuznacznie, i rzekł:

— Aha! Rozumiem..... samo miłosierdzie.....

W téj chwili Ludmiła, dla któréj Rafał otrzymał osobną izbę, kierując się z dziećmi ku gospodzie, przeszła koło rozmawiających.

Wasylko szepnął:

— O! To właśnie ona.

Beppo na jéj widok, spiorunowany zachwytem, złożył ręce jakby do modlitwy, i zawołał półgłosem:

— O! Che bella!

Przechodząca nie zrozumiała wyrazów, ale uczuła że zawierają wykrzyk uwielbienia, a w głosie odnalazła tę cześć pełną pokory, którą tylko ludzie zachodni umieli nieść kobiécie. Po grubiańskich pochwałach Mongołów, po ich tygrysich spojrzeniach, ten hołd przyciszony wydał jéj się miłym, jakby wspomnienie z wielkiéj ojczyzny ducha.

Kiedy przeszła, Beppo szepnął do Wasyla:

— Szczęśliwy człowieku! I ty przez tyle dni podróżowałeś z taką cudną kobiétą? Ach, jakaż ona piękna!

Wasyl ruszył ramionami:

— E..... piękna jak piękna, ale bogata.

Beppo się uśmiéchnął.

— Bogata jak bogata, ale piękna.

Spojrzeli na siebie ze wzajemném zdziwieniem. Ci dwaj ludzie niemogli się zrozumiéć.

Wasylko wszedłszy do izby, rozpowiadał wszystko czego się dowiedział od Beppa. Ludmiłę najwięcéj zadziwiał ów Poseł.

— Zkądże się wziął Anglik między Tatarami?

— Cóż chcecie? Kto zadrze ze swemi, ten idzie do obcych. I ten Anglijczyk podobno dużo nabroił rzeczy niepozwolonych, tak, że go swoi precz wygnali, i w żadném carstwie Chrześcjańskiém niemógł już sobie znaleźć miejsca. Więc się rozgniéwał, przystał do Tatarów, i tam wybornie mu się wiedzie. Jako człowieka co umié niewiém ile języków, użyli go najprzód za tłumacza, potém za pośrednika w różnych trudnych sprawach, teraz już za Posła, i patrzcie go! do tych samych ludzi co niechcieli z nim gadać, on teraz przyjeżdża szumnie, on jeszcze im grozi, on warunki nakłada, i muszą się go bać. Taki to chytro-mądry lis.

— Ale jakżeż on zrobił ze swoją wiarą? — Pytała na prawdę zdumiona Ludmiła.— Chyba się jéj zaparł?

— Wcale nie. Tatarzy nie pytają nikogo o wiarę. U nich tak: «Służ wiernie, a zresztą

rób co chcesz, módl się jak chcesz, wszystko jedno.» Ale służba to zakon.

— Więc ty myślisz Wasylku, że z nim to można śmiało jeździć między Tatarami?

— Z nim? Ojoj! Z nim całą Tartarję, od końca do końca, można przejechać tak bezpiecznie jakby pod żółtą zasłoną. Przez niego można wszystko tam otrzymać, bo on w ogromnych łaskach u Wielkiego Chaana. Ale na to trzeba pierwéj wkraść się w jego własne łaski, a to rzecz niełatwa.....

— Dla czego?

— Bo to człowiek zły..... oh, jaki zły! Ten człowiek choć nie Tatar, gorszy od wszystkich Tatarów.

— A jednak z temi kupcami jest w zgodzie?

— A! Bo ich potrzebuje. Zresztą, nie dziwno: to kupcy Tanajscy, ci ludzie mają kruczek na każdego.

— Widzisz jednak Rafale, — rzekła z niejakim przekąsem Ludmiła — że oto są ludzie co śmieją między Tatarami jeździć, i targu z niemi dobijać, i jeszcze dobrze na tém wszystkiém wychodzą.

— Nierozumiem. — Odrzekł sługa ruszając ramionami. — Nierozumiem. To jakieś Włoskie czary.

Troszkę miał słuszność Rafał. Czémże inném jak czarami, można było wytłumaczyć tę osobliwszą zażyłość, która wiązała Genuę z Mongolją, rzeczpospolitę Chrześcjańską, światłą i wykwintną, z najdzikszym wyrazem przemocy i barbarzyństwa? Kiedy cała Azja, całe pół Europy, drżały przed wolą Wielkich Chaanów, kiedy nikt ani prośbą ani groźbą nie mógł dojść z niemi do ładu, Genua miała u nich mir nienaruszony. Kiedy krocie miast Chińskich, Muzułmańskich i Chrześcjańskich leżały w gruzach i popiele, Tana, rozsiadła na ziemi Tatarskiéj, pod rządem Tatarskim, kwitła sobie w najlepsze, tém potężniejsza że samotna; zniszczenie innych ognisk handlu w tamtych stronach, wychodziło dla niéj na zdrowie. Przez Tanę, Genueńczycy trzymali w ręku złote klucze Wschodu; karawany ich krążyły swobodnie i korzystnie po tychże samych stepach, gdzie wszystkie inne spotykały tylko łupież i zagładę. Zaprawdę, podobna przyjaźń mogła wyglądać podejrzanie. O! Bo téż cała polityka Genueńska była naówczas podejrzaną. Powtarzamy: *naówczas,* i dodajemy: polityka *zewnętrzna.* Ryczałtowe potępienie téj znakomitéj pani morza, byłoby i nieuczciwém i niesłusznem; są w jéj dziejach karty pisane krwią serca, malowane lazurem nieba; w obrębie swoich murów, rozwinęła ona wiele wspa-

niałych ustaw i zakładów, które dla innych ludów za wzór posłużyły; wydała mężów dzielnych i szlachetnych; wydała nawet wielkich ludzi. Ale po-za granicami swego gniazda, w epoce naszéj powieści, Genua — wyznajmy — była istną korsarką; w ówczesnym dramacie Europy ona wielokrotnie odgrywa «rolę czarną.» Zysk jest jedyném jéj bożyszczem; dla niego poświęca wszystko, to nawet uczucie które w trzynastym wieku zdawało się wszechwładném: religję. Wszak widziano bieg całéj Krucjaty, wstrzymany i zwichnięty przez nagłe odstępstwo Genueńczyków, którzy swoje galery wynajęli, najprzód Krzyżownikom, potém Cesarzom Greckim, nakoniec..... o zgrozo! Saracenom! Zawsze, więcéj płacącemu. Kiedy całe Chrześcjaństwo poświęcało się dla idei, oni patrzyli tylko, przy czyim by tu ogniu można upiec dla siebie najsmaczniejszy kąsek? A jeżeli szło jeszcze o szkodę lub upokorzenie Wenecji, o! wtedy gotowi byli na wszystko, byle dźgnąć w serce niebezpieczną współzawodniczkę.—I cóż dziwnego, że najprzebieglejsi z ludzi, Mongołowie, trafiwszy na jeszcze przebieglejszych, uczuli cóś jak podziw pełen uszanowania, i nieznacznie dali się okiełznać, jak dziki rumak, gdy pozna wytrawnego jeźdźca?

Takiemi to byli owi «czarownicy», zdradni jak żywioł z którym wiecznie mieli do czynienia. I nie na nich jednych ten żywioł podziałał ujemnie. Każdemu co badał dzieje świata, mi-

mowolnie przychodzi na myśl zapytanie, czy *handel morski* nie jest zajęciem psującém narody, rozwijającém w nich rozum samolubny, który sprawia, że u siebie i dla siebie umieją się urządzić wzorowo, ale dla drugich mają zawsze inną miarę i wagę?

Kiedy widzimy Kartaginę, któréj «punica fides» stała się przysłowiową,—Hollandję, któréj kupcy solennie «deptali po krzyżu», byle dostać się do ponętnych wybrzeży Japońskich, — kiedy widzimy Anglję, która.....

Oho! muszę przerwać..... Słyszę głos Ludmiły, nawołującéj..... kogo? Czy mnie, czy Wasylka? Podobno że oboje..... mnie do rzeczy, Wasylka do izby.

Ludmiła pozostawszy samą, przez dobrą godzinę siedziała nieruchomie, i rozmyślała w najsilniejszém natężeniu wszystkich władz duszy, umysłu i serca. Po godzinie, zawezwawszy na nowo Ustiugczyka, rzekła:

— Mój Wasylku, powiédz mi: co to za rodzaj człowieka, ten Beppo? Uczciwy? Rozumny?

— Czy rozumny? Ha, dosyć..... Czy uczciwy? Może aż nadto. Przed jakim rokiem—pamiętam — spotkałem ich za Donem; wtedy jego

stryj wyskarżał się przedemną: «Co ja zrobię z tym chłopcem? Brat mi go dał, prosił abym go wykierował na człowieka, a jak ja tylko mu co polecam albo cóś tłumaczę, zaraz chłopak się pyta:—A czy to się godzi? A czy to wypada?— Czasem—wystaw sobie—wyjeżdża mi z Katechizmem! Niewiem czy z niego co będzie.» Tak do mnie gadał jego stryj, co go nie bardzo lubi. Inną znów razą — pamiętam — pokazywał na serce, i mówił: «On za wiele ma tutaj.» A potém pokazywał na głowę, i śmiał się, i mówił: «Lepiéj wszystko miéć tutaj.» — Ha no, i kto wié, czy nie jego prawda?

— Dobrze, dobrze.....—Przerwała z żywością Ludmiła.—Bardzo mię cieszy to co mi donosisz. Mój Wasylku, proszę cię: przyprowadź mi tego chłopca, chciałabym się z nim na cztery oczy rozmówić.

Wasyl zdumiał się niepomiernie, nawet się zawahał; ale sobie powiedział:

— Przecież ona mądra? Wié co robi.

I poszedł spełnić jéj wolę.

Kupczyk zdziwił się jeszcze mocniéj. Na wiadomość, że piękna wielka pani chce się z nim rozmówić, zamęt powstał w jego bujnéj głowie. Chwycił się za piersi, poszeptując:

— Caro Beppo, piano..... piano.....

Wszedł do izby i stanął przy drzwiach pokornie.

Z postaci, należał on do gatunku ludzi, na których określenie Włosi, w jedném ze swoich prowincjonalnych narzeczy, mają wyborny choć wcale niepochlebny wyraz: *culfone*. Głowa ogromna, przyczepiona do małéj figurki, zatknięta na szyi stosunkowo za cienkiéj, czyniła go podobnym do owadu. Ruchy miał także jakoby owadzie, jakieś podskakujące, kańczaste, niespodziane, tak że sąsiedzi nieraz odsuwali się, albo pytali: «Co to? Co się stało?.....» Rysy jego przypominały komiczną maskę ze starożytnego teatru, bo we Włoszech wszystko bywa posunięte do szczytu, i szpetność — jeśli się trafi — to już iście klassyczna. Oczy tylko miał niezaprzeczonéj piękności, axamitne, czarno-złote, powłóczyste; rzekłbyś, że te źrenice, wyjęte z głowy jakiegoś bożka, przez pomyłkę dostały się takiemu biédactwu.

Ludmiła uspokojona jego szpetnością i pokorą, skinęła uprzejmie; chłopiec nieco się przybliżył.

— Pan Bóg—rzekła—nieraz właśnie dla tego próbuje nas cierpieniem, ażeby ludziom dać sposobność do pięknych i miłosiernych uczynków. Oto ja, ścigana przez wielkie nieszczęścia, szukam człowieka szlachetnego, a przytém i zrę-

cznego, coby chciał przyjść mi z pomocą w sprawie dosyć trudnéj, a bardzo dla mnie ważnéj; od niéj zależy całe moje szczęście. Zacny młodzieńcze—Wasyl dużo mi o was mówił..... chcecież być tym człowiekiem, tym rycerzem walczącym w obronie białogłowy?

Beppo słyszał a niemógł uwierzyć.

— Jakto? — Pytał w duszy. — Ta cudowna istota potrzebuje mnie, nędznego robaka?

I najzuchwalsze marzenia zaczęły mu wirować w głowie.

Ale szybko się otrząsnął.

Powiedział sobie:

— Oto chwila w któréj szczęście trzeba chwytać za skrzydła.

Potém ręce złożył znowu jakby do modlitwy, i zawołał z Włoskim zapałem:

— O mia donna! Kogo mi każesz zabić? Co mi każesz zdobyć? Co mi każesz oddać? Krew? Życie? Duszę?

— Na tymczasem, żądam tylko rady. A ponieważ doradca musi dobrze znać przeszłość, jeśli ma dobrze radzić o przyszłości, więc będę szczera jakby na spowiedzi.

I opowiedziała mu dzieje Elżbiety, Jasia, Wasylka, swoje własne, wszystko jasno, zwięźle, dobitnie. W końcu, otworzyła skrzynię uratowaną przez Rafała.

Beppo zaczął oglądać klejnoty, z biegłością prawdziwego znawcy. Jedne, choć na pozór

świetne, od razu odrzucał; innym przypatrywał się z rozkoszą.

— Jest—powiedział—tutaj kilka rzeczy nieoszacowanych, kilka rzeczy za które możnaby nietylko jedną, ale dziesięć branek wykupić.

— Powiédzcie mi, — zagadnęła Ludmiła — czyby téj całéj sprawy nie powierzyć owemu Anglikowi?

Beppo aż syknął.

— O, nigdy! On by wszystko wam pięknie przyobiecał, klejnoty zabrał, przepadł — i nigdy byście już ani o nim, ani o téj signorze Elisabecie w życiu nie posłyszeli.

— Ale gdybym ja sama pojechała z temi skarbami, a jego tylko użyła za pośrednika?

Beppo obejrzał się na nią z niekłamaném przerażeniem.

— O signora! To jeszcze gorzéj..... On by was porwał i zawiózł w podarunku Wielkiemu Chaanowi, a klejnoty zawsze by przy sobie zatrzymał. Ten zbrodzień gotów na wszystko.

Ludmiła przycięła sobie usta.

— No, a gdyby..... gdyby tę całą sprawę powierzyć waszemu stryjowi?

Beppo zmieszał się mocno; — spuszczał oczy, — otwiérał i zamykał usta. — Nakoniec wyrzekł:

— Może bym powinien milczéć..... to mój stryj..... ale sumienie każe ostrzedz..... signora już i tak jest nieszczęśliwa..... mam-że ją narażać na

ostateczne nieszczęście? Nie, téj sprawy niemożna powierzać stryjowi..... te klejnoty są nadto piękne..... ser Bartolommeo, mój stryj, niepowinien wiedzieć nawet o istnieniu tych klejnotów.....

Słuchająca była przestraszona wizerunkiem tych obu ludzi, ale zarazem i wzruszona uczciwością chłopca.

— A wy, zacny Beppo, nie podjęlibyście się téj sprawy?

— Ja?

I zaczął kręcić głową niechętnie.

— To rzecz bardzo trudna..... A najprzód, jakże ja znajdę tę signorę Elisabettę? Czy to jedna jest Elisabetta pomiędzy brankami? Dziesięć ich być może, sto! A gdybym się téż pomylił, inną wykupił, i skarby wasze na próżno zmarnował? No, przypuszczam nawet że jakimś cudem ją znalazłem, że ją wykupiłem, (i to wszystko bez wiedzy stryja, który mię okropnie pilnuje,) potém tedy, co? Gdzież ja ją odwiozę, Gdzież ja was odnajdę, signora? Szukać się po dalekich krajach, jeździć przez miesiące, a może i lata, dla mnie to znaczy tyle co stracić łaskę stryja, narazić się ojcu, no, jedném słowem zwichnąć przyszłość całą, którą muszę sobie ciężką pracą budować.

Ludmiła uśmiéchnęła się gorzko, czyniąc w skrytości serca tę uwagę:

— Przed chwilą ofiarowywał mi krew i życie, teraz mi żałuje kilku miesięcy czasu. Ha,

trudno! Trzeba wrócić do mojéj pierwotnéj myśli.

— Słuchajcie:—rzekła—a gdybym ja z wami pojechała? Ma się rozumiéć przebrana, do niepoznania przebrana. To bardzo by rzecz ułatwiło. Ja zaraz poznam Elżbietę, ja ją niezawodnie wynajdę. Żądam tylko, abyście targ przeprowadzili z Tatarami, bo na to trzeba kupca, mężczyzny. Mnie przy dłuższych rozmowach zaraz by poznali, choćby po samym głosie. A kiedy już wszystko się załatwi, może nas odprowadzicie do granicy Chrześcjańskiéj? Nic, tylko do granicy. Za trud i stratę czasu, wybierzecie sobie z tych klejnotów, co tylko wam się podoba.

Chłopiec, gwałtownym ruchem ręki odepchnął klejnoty, a na Ludmiłę podniósł ogniste oczy.

— Waszych skarbów niechcę. —Zawołał. — Niechcę okradać tamtéj branki, ale to myśl cudowna abyście wy signora ze mną pojechali! Z wami razem, wszystkiego się podejmuję — na wszystko się odważam. Tylko wymagam, ażeby nikt z naszych, ani Anglik, ani mój stryj, ani żaden z kupców, nie wiedział kto wy jesteście. Niech tajemnica między nami dwojgiem zostanie, a wszystko się uda. Per Bacco! I moja przyszłość już mało mię obchodzi, byle wam usłużyć, o signora!

Teraz Beppo mówił z ogniem, z pozorném przekonaniem; obiecywał wszystko na oślep. Czy

wierzył w spełnienie tych obietnic? Ba! Właśnie się też on troszczył o tak dalekie rzeczy! Cóż go obchodziła Elżbieta, albo jéj wykupno? Stanie się co stanie, on tylko wiedział że przez kilka tygodni będzie podróżował z tą czarowną pięknością, i to jeszcze pod maską tajemnicy, jako jéj rycerski obrońca! W obec takiéj zawrotnéj przyszłości, zapominał nawet o niebezpieczeństwach jakie mogły jéj saméj grozić. Namiętność jest samolubną.

Ludmiła, ostrzeżona instynktem kobiécym, uczuła olbrzymią władzę jaką nagle nad nim osiągnęła. Ucieszyła się, i razem—przelękła.

— A więc, — zapytała — podejmujecie się wszystkiego? Dajecie Chrześcjańskie słowo?

Na wielkie jéj zdziwienie, Beppo milczał.

Sądziła, że trzeba w inną strunę uderzyć.

— Odprowadźcie nas—rzekła—aż do saméj Polski, a z radością wam oddam jeden z moich zamków. Mam ich jeszcze kilka. Mogłam jeden obiecać Wasylowi, słusznie i wam się to samo należy. Nie będziecie już potrzebowali, ciężką pracą budować sobie przyszłości.

Beppo nie podnosząc oczu, odrzekł:

— To za mało,—ja chcę więcéj.

Zdumiona i oburzona, odparła:

— Za mało? Dam dwa zamki, z włościami, wodami, lasami. Jeszcze milczycie? A więc bierzcie wszystko, oddam cały mój majątek, i pójdę o kiju, byle z Elżbietą wolną.

Beppo spojrzał na nią wzrokiem pełnym wyrzutu, i wymówił głosem omdlałym, topniejącym jak lawa, jak łzy:

— Ja niechcę żadnych zamków — żadnych włości—choćby się równały stu królestwom. — Ja chcę więcéj.

Ludmiła wzdrygnęła się — spuściła oczy — krwawy rumieniec oblał jéj twarz i szyję. Zastanowiła się przez chwilę głęboko, mocno, przytomnie,—zmierzyła obie przepaści które stały po obu stronach jéj serca, — na dwóch szalach postawiła Elżbietę i siebie,—i wybrała.

Poczém, powstawszy uroczyście, z królewskim uśmiéchem rzekła:

— Dobrze. Jeżeli mię szczęśliwie zawieziesz, wykupisz moją przyjaciołkę, i bezpiecznie nas obie odprowadzisz do Polski, — oddam ci moją rękę.

Beppo oniemiał. Olśniony, spiorunowany szczęściem, zgiął kolano, pochylił głowę, i zawołał tylko.

— O Madonna!

— Ale—dodała brwi ściągając — stawiam warunek: jeżeli przez drogę ubliżysz mi jedném słowem, jednym błyskiem oka, — albo pozwolisz

aby mi ktokolwiek ubliżył,—cały nasz układ pójdzie w niwecz. — Obiecujesz?

Beppo schylił głowę jeszcze niżéj, i wyrzekł:

— Przysięgam.

Ludmiła odetchnęła.

Przesunąwszy rękę po oczach —

— Kiedyż wyjeżdżacie?—Zapytała.

— Jutro, przed świtem.

— Dobrze. Do świtu wszystko przygotujemy. A teraz — przez chwilkę chciałabym zostać samą.

Wstał — i wyszedł.

. . . . . .

. . . . . .

Wzniosła ręce złożone, i ze łkaniem wyrzekła:

— Przebacz Przedwojowicu!

. . . . . .

Potém, powtórzyła raz jeszcze przed samą sobą, cały szereg pytań i odpowiedzi, jakie w gwałtownem swém następstwie doprowadziły ją do tego wyboru.

— Czy jest inny środek ocalenia Elżbiety?

— Niéma.

— Czy mogę, bez pomocy tego człowieka, wykupić i wywieźć Elżbietę?

Niemogę.

— Czy był inny sposób zaskarbienia go sobie, a razem i utrzymania go na wodzy?

Nie było.

— A więc, dobrze uczyniłam — niemogłam uczynić inaczéj.

. . . . . .

Gdyby jéj się Beppo był przedstawił w pięknéj, pociągającéj postaci, w świetnych i korzystnych warunkach, byłaby się pewnie dłużéj namyślała, byłaby się mocniéj lękała cieniów Przedwojowica. Ale w obec takiéj niezdarzonéj istoty, nikt chyba z żywych ni umarłych nie będzie mógł jéj posądzić o niewierność dla piérwszego wybrańca. Ofiara to już zupełna, z któréj Ludmiła czuje się dumną w obec nieba. Ofiara doskonała, co nawet niesie za sobą tę rozkosz, jaką daje wszelka doskonałość.

. . . . . .

Wprawdzie, w obec ziemi, ten wybór inaczéj będzie wyglądał — bardzo dziwnie..... co gorzéj, może troszkę śmiésznie. Jakto? Owa dumna dziedziczka, co gardziła pańskim Zyndramem, co miała być swatana z Piastowicami, idzie za piérwszego lepszego chłopaka, za wędrownego

kupczyka? O zgrozo! A przecież Dwór Wawelski rozśmieje się na całe gardło?

Nie! Ktokolwiek ma serce, nie rozśmieje się łatwo, bo jeżeli ten «chłopak» ma być wybawicielem, stanie się dla Elżbiety i Ludmiły większym od xiążąt i rycerzy. W czasach wielkich wojen i zamieszek, Fortuna toczy się kołem szybszém niż zazwyczaj, a wtedy dzieją się na niém niespodziane rzeczy: ci co byli u wiérzchu, spadają stratowani,—ci co byli pod kołem, wychodzą na szczyty.

. . . . . .

Gdyby jeszcze Ludmiła znała dokładnie dzieje Rzeczpospolitych Włoskich, Beppo nie wydał by jéj się może tak bardzo maleńkim. Wszak to Genueńczyk? A w Genui, bohaterowie i Dożowie wyrastają najczęściéj z podobnych «kupczyków?»

. . . . . .

Co smutniejsze, to że Ludmiła nie zna jego duszy. Obiecała rękę człowiekowi, którego przed godziną piérwszy raz postrzegła. A może to jaki gbur albo filut, z najgorszym charakterem, z najniższemi nawyknieniami?

. . . . . .

Wszystko to być może,—jednak, w porównaniu do niewoli u pogan jaka jéj niedawno groziła, ten Beppo to jeszcze Fenix. Przynajmniéj Chrześcjanin — Europejczyk — człowiek co się zadowalnia jedną żoną — co jak się zdaje, będzie jéj wdzięczen za swoje wyniesienie, całe życie spędzi na kolanach przed nią.

A zresztą, na kolanach czy obojętny, wdzięczen czy niewdzięczen, co ją to obchodzi? Od straty Przedwojowica, Ludmiła już wzięła rozbrat z myślą o miłości. Zapewne, byłaby wolała pozostać do śmierci wolną, i wiernie nosić serdeczną żałobę, ale kiedy niemożna, ten czy ów, (byle nie Mongoł,) to już prawie jedno; żałobę wewnątrz duszy zachowa nietkniętą. I czemużby nie miała jéj zachować? Obiecała rękę — nie obiecała serca.

Tak przemocowawszy się z myślami, skinęła przez okienko na ojcowskiego sługę. Wzywała go nie bez pewnéj trwogi; czuła że jeszcze i tu ją czeka niełatwa przeprawa.

— Słuchaj Rafale: jak wiész, mieliśmy razem jechać daléj, chciałam najprzód Jasia oddać do własnych rąk ojca, a potém dopiéro zająć się losem jego matki. Ale zaszły rzeczy co wszystko zmieniają: Pan Bóg zsyła mi prawdziwie cudowny sposób dostania się napowrót do pani

Elżbiety, i to ze wszelkiém bezpieczeństwem; sposób dziwny, jedyny, już drugi raz w życiu takiego nie znajdę. Raniutko wyjeżdżam z tym Posłem Tatarskim i z temi kupcami. Przebiorę się—nikt mię nie pozna—już wszystko ułożone—wszystko przewidziane. Nie sprzeczaj się ze mną, wiem co robię. Nie sprzeczaj się, tylko rób swoje, bo i ty od dzisiaj masz wielki obowiązek do spełnienia—tobie powierzam to dziecko—ty mię przy niém zastąp — odwieź Jasia do ojca. Mnie się widzi przecie, że nic wam już po drodze nie grozi, że mogę rachować na twoją wierność i przezorność? Ach, to największy dowód zaufania jaki mogłam ci dać Rafale.

Rafał słuchając, mienił się, to bledniał to stawał w płomieniach, nakoniec upadł do nóg Ludmiły, i wołał:

— Pani! Co chcecie robić? Wracać tam? A toć to, z przeproszeniem, szaleństwo! To gorzéj: grzéch.

— Rafale, mówiłam ci: nie spiéraj się ze mną, próżna praca. Wszak widzisz: dwa razy wydobyłam się z niewoli Tatarskiéj? Raz mię odbito, drugi raz uciekłam.

— Prawda, ale téż to był cud. Już dwa razy stał się cud. Trzeci raz kusić Pana Boga, to nie wolno. Lecić w paszczę smoka, i to po dobréj woli, a toć to takusieńka sama zbrodnia, jakby człek własną ręką gardło sobie podrzy-

nał? Czyż już nikt inny nie może tego za panią zrobić?

— Nikt ani może, ani chce. I kto wié czy to nawet nie lepiéj? Ten Włoch wytłumaczył mi bardzo mądrze, jakie by mogły porobić się omyłki, jaka próżna strata okupu. Już to sobie pamiętaj mój Rafale, że człowiek tylko téj roboty jest pewien, do któréj sam przyłożył ręki. Przez posły wilk nie syty. Nie troskaj-że się o mnie tak okropnie, ja przecie będę się strzegła, choćby dla tego aby pani Elżbiecie nie zaszkodzić? Uspokój się, ta podróż znów nie taka straszna, jak się wydaje tym co tam nie byli.

I przedstawiała mu wszelkie środki ostrożności które snuły jéj się po głowie, kréśliła już naprzód obraz szczęśliwego powrotu, a wmawiając w drugich spokojność, wmawiała ją i w siebie, zagłuszała się na wszelkie niebezpieczeństwa, jakich przeczucie jednak pukało w jéj sercu.

Rafał niechciał ustąpić. Certował się z nią aż do uprzykrzenia, aż do zuchwałości. W końcu, zacisnął ręce jak człowiek co ma skoczyć w przepaść, i powiedział:

— No, już kiedy tak, to pozwólcie: niechże i ja z wami jadę. Niechże będzie choć jedna wierna dusza przy mojéj paniusi.

— Dziękuję ci mój Rafale, chęć twoja poczciwa i miła mi, ale teraz już niemogę jéj przyjąć.

Jakbyś pojechał ze mną, to któżby Jasia odwiózł? A widzisz! Ty masz twoją osobną powinność, i niemałą. Ach, w moich troskach to jeszcze jest jedyna pociecha, że mogę być przynajmniéj o Jasia spokojna. Wszak mogę być spokojna?

— Oh! Nam się nic nie stanie. Drogi wolne—król tuż.—Nam nic nie grozi, ale wy?

I zaczął szlochać jak dziecko.

Cóżby dopiéro był wyrabiał, gdyby wiedział z kim się jego pani zaręczyła?

Na odgłos tego gwałtownego łkania, Wasylko zajrzał do izby. Wypadało i jego wtajemniczyć.

Przesłuchawszy Ludmiły, Wasyl także przelękł się niezmiernie; ale jego trwoga miała inną przyczynę. Jak bogata pani precz pojedzie, któż mu dotrzyma jéj obietnic? Gotowa nie wrócić! Gotów zamek przepaść!

Ludmiła wyczytała mu z oczów tę obawę.

— Rafale, —rzekła—musisz mi obiecać pod przysięgą, że jak tylko wrócicie do kraju, zaraz oddasz Wasylowi jedną z moich włości, tę co mu się najlepiéj podoba. Może «Srebrny potok», bo tam zamek bardzo przystojny? Cóż, oddasz? Jak Pana Boga kochasz?

Rafał zaprzysiągł się na wszystkie świętości.

— No Wasylku, teraz już jesteś spokojny, nieprawdaż? Jakto, jeszcze nie zupełnie? A no, to czekaj: dam ci na piśmie zaręczenie.

Między kupcami znalazły się pióra i pargamin, Beppo przyniósł je, nie pytając na co ni komu potrzebne. Ludmiła napisała, najprzód wyraźny akt donacyjny dla Wasyla, potém list do króla Bolesława, gdzie opowiedziawszy zasługi Ustiugczyka, prosiła o względy i opiekę dla niego, a w końcu list do Sulisława, oznajmiający powrót dziecka, i obiecujący rychły powrót żony.

W skrzyni klejnotowéj odszukała sygnet ojcowski, wycisnęła pieczęć na wszystkich trzech kartkach, a przy téj robocie przeszła jéj przez głowę myśl wdzięczna:

— Jak to jednak szczęśliwie że ja umiem czytać i pisać! Bez téj mądrości, nie byłabym nawet zrozumiała krwawego listu Elżbiety. A jak to ja się niegdyś krzywiłam na te biédne mniszki w Witowie, kiedy mię zapędzały do nauki! Dopiéro Elżbieta potrafiła cóś wynukać z téj mojéj zakutéj głowy. Ach, i to winnam Elżbiecie!

Kiedy wosk ładnie zastygł, doręczyła jeden pargamin Wasylowi, drugie dwa swemu słudze.

Potém, wzięła na bok Rafała, i mówiła półgłosem:

— Obiecałam, i święcie dotrzymam Wasylowi. Zresztą — niemożna zaprzeczyć — wysłużył sobie tę nagrodę. Jednakże, gdybyś mógł go namówić, aby ten zamek sprzedał, albo go zamienił na jakiś kasztel w innym kraju, ucieszyłbyś mię serdecznie, bo mi chłopków moich żal okropnie.

I opowiedziała mu Tatarskie marzenia Wasyla. Rafał wysilał głowę aby dobrze zapamiętać każde słówko pani; ale mu to z trudnością przychodziło; mrugał tylko powiekami, wstrzymując łzy naprzykrzone, a te łzy mu ćmiły i oczy i myśli.

W izbie palił się mdły kaganek, bo noc już dawno zapadła. Dzieci spały w ciemnym, przybocznym alkierzyku, miękko poowijane, kołyszące się we snach różowych.

Ludmiła skończywszy z Wasylem i Rafałem, odprawiła ich obu, a przywołała Beppa.

— Teraz, do narady: jakże mam się przebrać? Może za twego sługę, za pachołka?

Beppo rozśmiał się na myśl, że cudna signora ma być jego sługą.

— Czekajcie.....—Zawołał.—Wiozę prześliczne ubranie, w Genui zrobione, jeszcze nigdy nieużywane.

Skoczył, rzucił jéj przezedrzwi strój męzki, czarny, wcięty z czupurną czapeczką.

Kiedy się przebrała, powrócił.

— Cóż? Dobrze wyglądam?

Beppo się nachmurzył.

— Zanadto dobrze..... wyglądacie na królewskiego pazia. — Niemożna. — Zwracalibyście wszystkie oczy. — Nikt nie uwierzy aby biédny Beppo miał takiego sługę.

— A no, zeszpecić się łatwo. Zrobię to co miała zrobić Elżbieta: włożę jak najniezgrabniejsze buciska, jak najgrubszy kożuch, jak najcięższą czapkę.

Kiedy znów się przebrała, Beppo wrócił. Ale znów brwi marszczy.

— Signora, są istoty które niemogą się zeszpecić. Ubranie już dobre, ale ta cera cudowna..... te włosy przepyszne.....

— Czy macie jakie nożyce? — Zagadnęła.

— Po co? Po co?—Pytał zatrwożony.

— Kiedy ja czego chcę, to proszę nigdy nie pytać «po co» ani «na co», tylko słuchać.

Beppo, który w swoich kupieckich manatkach miał wszystkiego po trosze, przyniósł nożyce.

Zgrzytnęły dwa razy, i oba grube warkocze odpadły.

Mały Włoch syknął, jakby mu kto piersi przekrawał, i nieśmiało wysunął rękę dla podchwycenia warkoczy.

Ale ona rozśmiała się ironicznie, poszła do dzieci, zadzierzgnęła swoje włosy w około szyjki Jasia, i rzekła:

— Jak nas szczęśliwie połączysz z tém dzieckiem, wtedy dostaniesz te warkocze. Pierwéj, nie.

Beppo spuścił głowę i zamilkł.

Wzruszona jego uległością, zaczęła mówić łagodniéj.

— Cóż ja poradzę z tą nieszczęśliwą twarzą? Chyba się uczernię sadzami?

— Ach, czekajcie.....— Zawołał. — Mam i na to sposób.

I po chwili, przyniósł kilka puszeczek z jakiemiś farbami i proszkami.

— Jak się tém pomalujecie, nikt pod słońcem was nie pozna. To są nasze Włoskie sztuki. My w karnawał lubimy się przestrajać, a przytém, raz w kościele grano u nas pobożną komedję, gdzie ja byłem «djabłem»; od owego czasu pozostały mi te przybory.

— Ale po cóż, mój Beppo, aż tu je z sobą wozisz?

— Co chcecie signora? Między barbarzyńcami trzeba nieraz użyć podstępu; przebiérać się, kryć, szpiegować.

Mówiąc, otwiérał farby i uczył ją ich użytku. Przyniósł jéj nawet śliczne, Weneckie zwierciadko. Ludmiła, pod naciskiem strachu i konieczności — które są najlepszemi z mistrzów — pojęła od razu «Włoskie sztuki»; nadała swojéj twarzy i rękom cerę ogorzałą; włosy, brwi, nawet rzęsy, uczerniła wybornie, i oto jest groźną brunetką, a raczéj hardym brunecikiem.

Beppo aż posmutniał kiedy ujrzał ją tak zmienioną; jednak myśl, że ta zmiana przyczyni się do jéj bezpieczeństwa, pocieszyła go szybko.

— Już teraz, to chyba i rodzona matka nie poznała by was, mia donna..... Ale..... Jakże ja będę was nazywał?

— Mam wybrać imię? Męzkie? Czekaj Beppo.....

Zastanowiła się i westchnęła.

— Niech będzie..... Michał.

— Michele? Michele? A więc, piękny signor Michele.....

— Nie żaden «piękny»,—po prostu Michele, i to dość surowo. Przecież ja twój sługus? Musisz mię nawet nieraz łajać.

I kazała mu próbować, jak to on będzie łajał? Wtedy Beppo rozwinął cały zasób komiczności Włoskiéj, najśmieszniéjszéj a najmniéj złośliwéj ze wszystkich, jakiemi ludzki umysł kie-

dykolwiek podzwaniał. Rysy jego i ruchy nadawały się pysznie do wszelkiéj komedji. Ludmiła, podniecona bliską nadzieją ocalenia Elżbiety, przybrała z nim ton figlarny i dobroduszny, który od razu niezmiernie ułatwił ich dziwny stosunek.

— Przednio! Wybornie! — Wołała ze śmiéchem. — Aż miło słuchać takiego fukania. No, a teraz, mój groźny panie, racz twoją pokorną służkę jeszcze jednéj rzeczy nauczyć: co ja zrobię z głosem? Czy mam udać niemego?

— Nie, Michele, niemożna. To nadto znany wybieg. Lepiéj udać jąkałę.

Więc Ludmiła zaczęła się jąkać. Ale to rzecz niełatwa, próby szły nieudolnie. Beppo, który widocznie umiał wszystko, nawet udawać że nieumié, podsunął jéj kilka przepisów ułatwiających wprawę, bo każda nauka posiada podobne przepisy. Po godzinie, Ludmiła jąkała się jakby urodzona kaléka.

Rozmawiając, zaczęli gatunkować klejnoty.

— Całéj skrzyni brać niepodobna. — Mówił Beppo. — Zwróciłaby zaraz oczy szanownego stryjaszka. Zresztą i niewarto; po co wozić tyle ciężaru pomiernéj wartości? Wybierzmy tylko rzeczy prawdziwie drogocenne. Ale jak je zabrać?

Tą razą, nasza Polka, prędzéj nawet od Wło-

cha trafiła na pomysł. A! Bo skorzystała z przykładu Wasylka.

— Beppo, przynieś igłę, nici, przytém parę kawałków sukna, czy grubego płótna, czy futra, byle jakieś szmatki nietwarde a mocne.

Jeszcze się kaganek nie dopalił, już część kosztowności zaszyła w swój kożuch i czapkę. Beppo, zachwycony pomysłem, nadział także swój ubiór klejnotami, resztę pozaciągał w węzełki, pozatykał w swoje tłomoczki.

Tu, Ludmiła okazała mu zaufanie bez granic.

— Po cóż by miał mnie okradać, kiedy wié że późniéj stokroć więcéj weźmie, że wszystkiém się z nim podzielę?

Słuszne było jéj rozumowanie. Beppo i tak, aż nadto czuł się przed nią małym; ta ufność zobowiązała go, i podniosła w jego własnych oczach.

Ale już płomyk u kagańca podryga i przygasa. Na niebie, wczesny dzień letni majaczy. W koło Czardy słychać ruch i siodłanie koni.

Ludmiła chciałaby się pożegnać z Wasylkiem i Rafałem.

Wasyl, na tę chwilę stracony. Długo w noc popijał i gawędził z gospodarzem Czardy; nad ranem ani go się dobudzić.

Za to Rafał nie zmrużył oka. Chodzi jakby struty.

Beppo wprowadził go do izby, i czeka z niepokojem; ważne to pytanie, czy sługa pozna swoją panią w przebraniu, czy nie pozna?

O radości! Stanął tuż przed nią, i pyta się:

— Gdzie pani?

Ludmiła i Beppo wybuchnęli śmiéchem.

Ale Rafałowi śmiać się niechce. Przeżegnał się tylko, siada w ciemnym kącie i jęczy:

— Boże! Boże! Na co to przyszło mojéj złotéj dziedziczce? Na co to muszą patrzéć moje stare oczy? Dziéwce, i takiéj pani, przebiérać się za chłopa! Czysta Babilonja! Pogańskie maszkary!

Tymczasem Ludmiła zakrada się do izdebki gdzie dzieci śpią w najlepsze. Na widok Jasia ogarnia ją rozrzewnienie prawie macierzyńskie. Nieśmié dziecka rozbudzać, aby go swoim osobliwszym widokiem nie przestraszyć, a jednakże chciałaby go sama oddać Rafałowi.

Nie może się powstrzymać od maleńkiéj pieszczoty, ustami musnęła jego policzek purpurowy, długim snem rozgrzany. Jasiek się nie

obudził, to dobrze. Z lekka, ostrożnie, podnosi go z pościółki, oddaje słudze, i mówi:

— Oto masz ten skarb nieoceniony. Bierz, trzymaj dobrze. Ach, jakże ty sobie z nim poradzisz przez drogę? On ciebie niezna, będzie ci się wydziérał..... płakał.....

— Poradzę sobie, poradzę paniusiu. Wszakci droga niedługa, jutro spotkamy Żegnanieckiego pana?

— Jutro! — Powtarza z radością Ludmiła, i na tém dobrowróżebném słowie chciałaby się rozstać.

Ale Rafał jeszcze zapytuje:

— A gdybym też nie znalazł tego pana z Żegnańca? Gdyby to było prawdą że go ubili pod Chmielnikiem? Wtedy, co mam robić?

— Rozumny z ciebie człowiek, Rafale; wszystko trzeba przewidzieć. Wtedy, masz go zawieźć..... do kogo? Czekaj..... Aha! Już wiem, do Xiędza Macieja. To brat pani Elżbiety, rodzony wuj tego dziecka, człowiek zacny i mądry. Mieszka we Wrocławiu, przynajmniéj dawniéj, przed tą wojną, zwykle tam przemieszkiwał. Teraz, już nic niewiem. No! Ty się jakoś o niego dopytasz.

— Dobrze paniusiu — ale gdyby i Xiędza Macieja zabrakło na świecie?

— Wtedy..... Umieść go przy królu i królowéj. Nasza Xiężna Kinga przecie się ulituje nad siérotką? Ale w każdym razie, czy będzie

przy wuju, czy przy królu, ty go mój Rafale nie odstępuj aż do naszego powrotu. Ty przed Panem Bogiem odpowiész za to dziecko.—A gdybyśmy nie wróciły—ach nie płacz! wszystko być może..... gdybyśmy nie wróciły, nie odstępuj go nigdy—aż do śmierci. Strzeż jego duszy i zdrowia, bacz aby go wychowano w bojaźni bożéj i w miłości bliźniego, ucz go jak ma służyć ojczyźnie, mów mu codzień o jego walecznym ojcu i świątobliwéj matce, a czasem..... czasem wspomnij cóś i o mnie.....

Tu łzy gorące rzuciły się Ludmile do oczu; w obawie aby nie opłukały jéj twarzy, musiała je gwałtem powstrzymywać.

Już odeszła—i jeszcze wraca—jeszcze jéj się zdaje, że zamało przestróg zostawiła.....

Nagle, za drzwiami, głos Beppa zabrzmiał niecierpliwie:

— Michele! Per Bacco! Chodź-że, ty jakiś gamoniu!

Drgnęła — raz jeszcze ciepłém spojrzeniem pożegnała dziecko—i poskoczyła na dziedziniec.

Ruch był tam wielki. Kupcy rozpłacali się z gospodarzem Czardy, okręcali czerwone kaptury w koło szyi, a wychodźcy Polscy gapili się, podziwiając wyjazd bogatych cudzoziemców.

Beppo rzekł do signora Bartolommea mimochodem:

— Wiész stryjaszku? Jeszcze jednego chłopca nająłem do koni. Zamało ich mam, niemogę sobie dać rady.

— Bierz kogo chcesz, jednak pamiętaj, że w końcu taka ciżba strasznie dużo kosztuje.

— E, już ten chłopiec kosztu nie przymnoży. To jakiś mały Polacco. Biédak marł tu z głodu; podjął się że będzie służył darmo, byle tylko mu dawano strawę.

— Ha! Jak darmo, to co innego. — Odparł signor Bartolommeo, i rzucił bystrém okiem na Ludmiłę, która uwijała się przy koniach.

— Czy wiész Beppo, że ten twój mały Polacco wygląda mi jakoś podejrzanie? Podobny prędzéj do Greka, albo i do Saracena. Uważaj, czy nie szpieg Wenecki?

— Dobrze stryjaszku, będę uważał, i przy piérwszém podejrzeniu wypędzę go precz. Teraz jeszcze niémam powodu.

Ser Bartolommeo, jeden ze czterech «Consulów» potężnéj Compagnii Tanajskiéj, za wiele miał kłopotów na głowie, aby mógł długo myśléć o podobnéj drobnostce. Zapomniał — dano znak wyjazdu—wspaniała karawana wyruszyła, z białą chorągwią na czele — nasi wychodźcy patrzyli na przejeżdżającą Ludmiłę, patrzyli — i nikt jéj nie poznał.

Wielka to była radość dla niéj, wielki tryumf dla Beppa.

Dopiéro w godzinę późniéj, kiedy przyszła koléj wyjazdu na karawanę Polską, zaczęto pytać gdzie jest owa piękna podróżniczka? Rafał niewiedział jak wytłumaczyć jéj zniknięcie, plątał się i szukał zgrabnego pomysłu. Tymczasem Wasylko, źle wytrzéźwiony, wygadał się ze wszystkiém, podziwiając po swojemu przedsięwzięcie Ludmiły.

Wino mu z oczu błyszczało — nikt mu nie uwierzył.

Ale kiedy ruszono, a podróżniczka nie połączyła się z gromadą, zaczęto wierzyć.

Powstał wielki zamęt pytań i wykrzykników. Jedni się rozczulali, drudzy ruszali ramionami.

Ktoś nawet powiedział:

— Warjatka! Jeżeli ją co złego spotka, nie będzie mogła miéć żalu do Pana Boga. Sama szuka guza.

Rafał troszkę podzielał to zdanie. Jechał okropnie smutny.

Aż znalazła się istota, która zmieniła barwę jego myśli.

Jaś, rozbudzony jazdą, przyglądał się Rafałowi.

— Ktoś ty?—Zapytał nagle.

— Ja? Ja jestem przysłany przez tatkę. Pojedziemy do tatki.

Sulisław często wydalał się z domu, jeździł na sejmy i wyprawy, Jaś przywykły do takiéj odpowiedzi, uwierzył.

Ale wciąż główkę obracał.

— Gdzie Ludka się podziała?

— Ludka poszła po matunię.

— O, to dobrze! — Zawołał klaszcząc w rączki. — Już kiedy Ludka poszła po matunię, to matunia wróci. Ludka słucha Bozi.

I zamiast spodziéwanego płaczu, wybuchnął srebrnym chichotem, wyśliznął się z objęć Rafała, i zaczął podskakiwać przy drodze, rwąc kwiaty, a niekiedy wykrzykując od rozweselenia.

Te słowa, ta radość, wydały się Rafałowi głosem z nieba. Schylił siwą głowę. Dziecko dawało mu naukę, w ocenianiu czynów i serc ludzkich.

Kto malutkim dzieciom podpowiada cudowne ich spostrzeżenia? Czy dusza, jeszcze nie zbyt grubo zarosła ziemskością, wyraźniéj czyta w innych duszach? Lepiéj słyszy, niezagłuszony jeszcze głos pierwotnéj prawdy? Rzadko możemy korzystać z podobnych wskazówek, bo małe dzieci albo nie umieją, albo (co jeszcze bywa częstszém,) nie śmieją wypowiadać swoich przeczuciowych przekonań; ale gdyby się godziło wyciągać je na sądy o ludziach, zdaje mi się, że sąd ten prawie zawsze okazał by się nieomylnym.

Jeszcze daléj!

Przy blasku zachodzącego słońca, liczne łodzie i tratwy szybują po wodach Prutu.

W piérwszéj łodzi, mąż o czerwonawéj brodzie, stoi oblany czerwoną łuną słońca, i uśmiécha się do drugiego brzegu. Przy nim leży chorągiew biała, ale już zwinięta; na drugim brzegu już on będzie panem.

Genueńczycy, natłoczeni w czółnach, osłaniają się kapturami od wichru rzecznego, a niespokojném okiem śledzą tratwy, unoszące w pakach i skrzyniach, mozolnie uzbiérane ich bogactwa.

Nakoniec odetchnęli — mała flotylla dobiła do brzegu.

Beppo wychodząc z łodzi, zapomniał się, i podał rękę chłopcu wyskakującemu z pomiędzy pakunków. Piérwsze to i jedyne było zapomnienie, szczęściem przez nikogo niezauważo-

ne. Zresztą, cudownie odgrywał swoją rolę, równie jak i ów chłopiec-jąkała, z którym nikt się niemógł dogadać.

Z początku reszta służby chciała wejść w zażyłość z Michelem, potém chciała go prześladować; zwolna, wszyscy się zniechęcili. Powstało jedno zdanie:

— A cóż to za mruk nieznośny!

I dano mu pokój.

Ludmiła więc przejechała całą tę drogę spokojnie. Siedząc na krytym wozie, przy rzeczach których straż jéj powierzono, mogła zagłębiać się w myślach, marzyć o szczęściu Elżbiety, i przy tych marzeniach zapominać o własnéj przyszłości.

Z Beppa téż była niezmiernie zadowolona. Umiał od niéj odsuwać wszystkie niemiłe zaczepki, bronić ją od wszelkich podejrzeń, a sam, ani jedném słowem, ani jednym błyskiem oka, nie pokalał tego surowego uszanowania, co jakby nietykalny gronostaj powinno przyoblekać majestat kobiécy.

O! Beppo czuł głęboko, jak ważném jest dla jego przyszłości dotrzymanie obietnic.

Ojciec jego źle się rządził, przez co nigdy nie potrafił dojść do majątku. Cała przyszłość chłopca zawisła od łaski przebiegłego stryja, który kazał mu przebywać twardą szkołę, wysługiwać się ciężko, wymagał nieraz rzeczy przeciwnych sumieniu. Biédny Beppo zżymał się

w duszy, gryzł wędzidło, ale niemógł go zerwać; jeszcze musiał uśmiéchać się i dziękować! Gdzież miał szukać lepszego losu? Nawet nie przyszło mu na myśl, aby los dla niego mógł być kiedy lepszym.

Od innych ludzi téż mało doznał życzliwości. Towarzysze jego, hardzi, przystojni, majętniejsi, za nic mieli biédnego chłopczynę. A kobiéty? Ach jeśli która spojrzała na Beppa, najczęściéj wybuchnęła śmiéchem, który go ranił ostrzéj niż Toledański sztylet.

Aż tu niespodzianie, Fortuna ukazuje mu się w postaci najcudniejszéj bogini, potrząsa Rogiem obfitości, i uśmiéchnąwszy się, mówi:

— Służ mi wiernie, z zaparciem się zupełném przez czas krótki, a ja cię wyniosę na te obłoczne stopnie, obsypię cię tą obfitością; będziesz mógł obejść się bez gorzkiéj łaski stryja, żyć wedle własnéj myśli, słuchać własnego sumienia, i żartować sobie z tych, którzy tobą pomiatali.

Możnaż się dziwić że patrząc w taką przyszłość, Beppo poszedł za jéj skrzydłami z pokorą, z najzupełniejszém zaparciem się obecnéj chwili?

A potém, nastało jeszcze większe cudo:

Fortuna, przemieniła się w inną, jeszcze stokroć piękniejszą boginię, Beppo na prawdę ukochał Ludmiłę, i ta Miłość, jako prawdziwa, uczyniła go nagle — nieśmiałym.

Tak, pod kryształową tarczą czystego przywiązania, Ludmiła wśród zgrai awanturników jechała spokojnie, może nie domyślając się nawet jakie niebezpieczeństwa mija, niby dziecię uniesione powodzią, które w miękkiéj kołysce płynie nad przepaściami.

Ta druga podróż trwała nierównie krócéj niźli piérwsza. W ucieczce, Wasyl i Ludmiła mieli tylko dwa konie, trzeba je było oszczędzać, często i długo popasać; sami się męczyli nad przyrządzaniem strawy, musieli wiele godzin tracić dla wypoczynku dzieci.

Tutaj, wszystko szło inaczéj. Kupcy prowadzili mnóstwo koni luźnych do odmiany, mieli namioty, kobierce, zapasy, zgrabną służbę, nawet kucharza murzyna, kupionego na galerach egipskich, który sławnie umiał przyrządzać ryby, oho! nawet z przeproszeniem, żaby i ślimaki.

Teraz oto właśnie, nad rzeką pochylony, skrzętnie wyławia je z mułu, czekając aż tłum krzykliwych drabów, przeładuje towary z tratew na konie i wozy.

Nakoniec wyruszono.

Ludmiła, zwykle cofnięta w głąb' krytéj telegi, za Prutem zaczęła się wychylać. Ta droga tyle jéj przypominała!

Za każdym obrotem kół, mówiła sobie:

— Już teraz blisko..... doprawdy już blisko. Nim to zapadające słońce wstanie, już będę przy niéj. Tam, tam, za tym pasem widnokręgu stoi namiot Arguny, a w nim Elżbieta siedzi, płacze, ani się spodziéwa że już jadę, że przywożę dobrą wieść o Jasiu. Boże mój! Czy ja potrafię wytrzymać radość tego przywitania?

I rozglądała się z uśmiéchem. Na uboczu, niedaleko drogi, zwróciło jéj uwagę jakoweś czarne zagłębienie, dziwnie oświécone skośnemi promieniami zachodu. Poznała ów jar strasznéj pamięci..... Echo śmiertelnego krzyku zabrzmiało raz jeszcze na głębi jéj duszy.

I w téjże chwili.....

Czy słuch ją omyla? Krzyk rzeczywisty, bolesny, rozległ się nad brzegiem jaru.

Zadrżała..... Czyżby to duch strąconego Kajzaka, upominał się o swoją krzywdę?

Nie był to duch, ale człowiek żyjący. Wywlókł się z pomiędzy pagórków, i wyciągnął ku podróżnym ręce podobne do piszczeli szkieletu. Był to człowiek jeszcze żyjący, ale już wyglądał na pośmiertne widmo.

Ludmiła zatrzymała na nim przerażone oczy, i nagle — cofnęła się w głąb' wózka. Poznała «dziadzię Szymona».

Widmo wołało:

— Chleba! Miełosierne ludzie, dajcie mi choć-

by kawałeczek! I tak umrę, niechby ja raz jeszcze pokosztował chleba!

Na znak uczyniony przez Ludmiłę, Beppo zbliżył się do jęczącego.

— Co wy za jedni, i zkąd?

— Ja był w niewoley u Tatarów. Z początku dostawał ja okruchy u jenszych niewolników; alić jak wszyćcy odjachali, tak i ten ostatni ratunek mi przepadł. Bez dzień jeden i drugi, jeszczem ja się wlókł za niemi, no, i tego nie dali! Co się który Tatar obejrzy, to mię biczem okłada, i krzyczy: «A ty tu po co? Wracaj sobie doma.» I jeszcze się śmiali! Jak tu wracać doma, kiej wszędzie pustkowie kieby na cmentarzu? Ha no, szedł ja, szedł..... hale już daléj..... niemogę.....

— Więc Tatarzy ztąd odjechali? — Pytał Beppo.—Czemuż odjechali?

— Ha, czemu? Jak zawdy. Kunie zjadły całą paszę, przenieśli się na jensze pastwiska.

— I gdzież poszli? Daleko?

— O! Daleko, daleko. Godali, co rozłożą się gdzieś «u Dniepru».

Beppo kazał dać chleba starcowi, a sam skoczył do Posła, do stryja i do całéj starszyzny.

— Czy wiécie? Obozu tu już niéma. Daléj musimy jechać.

Wszyscy się trochę pomartwili. Artur Sydney, że nie tak prędko jak pragnął otrzyma wy-

nadgrodzenie za trudne i drażliwe poselstwo. Kupcy, że nie tak prędko jak sądzili zbędą swoje towary. Ucieszyła ich przynajmniéj wiadomość, że obóz ciągnął ku Dnieprowi, to było im po drodze do Tany.

Kto najciężéj zgryzł się, to Ludmiła. Co za szyderstwo losu! Chwila spotkania już zdawała się taka bliska, już tylko sięgnąć ręką..... i znów się usuwa, ucieka w dal bezmierną..... Istny miraż pustyni!

— Teraz, gdzie ja ją znajdę? Ach, i czy ją znajdę?

I tknęło ją niedobre wrażenie, jakby przeczucie nieszczęścia.

Niedługo, dojechali do rozdroża, z którego wybiegał ów szlak czarny, niegdyś na lewo, dziś na prawo rozgałęziony.

Cała karawana zaczęła skręcać na prawo.

— Jednak ta droga była mi koniecznie przeznaczona! — Pomyślała sobie Ludmiła, i wychyliwszy głowę, poniosła oczy ku stronie gdzie niegdyś leżał obóz.

Istotnie już nie było obozu. Cały step widniał pusty, jednostajny, poszarzały zapadającą nocą.

W téj chwili i wóz Ludmiły skręcił na prawo, na wschód.

Szlak wschodni czerniał przed nią bez końca, czarniejszy jeszcze niż dawniéj, bo nie oświécony xiężycem.

Całe niebo obwisłe chmurami, ciężyło nizko i posępnie.

Jedna tylko gwiazdka, u wschodnich krańców nieba, tuż przy ziemi, świéciła cicho, błękitnie.

Jadąca zapadła w zadumę. Spojrzawszy na ciemne niebo i na ciemną ziemię, powiedziała sobie:

— Taką jest moja przyszłość.

Potém, wpatrzyła się w ciche, niebieskie światełko, i dodała:

— A to, gwiazda przyjaźni. Jednak ona tam świéci!..... Ona jeszcze mię czeka.

Do Dniepru.

Im daléj, tém częściéj podróżni spotykali wygłodzone widma, samych starców albo kaléki. Tacy jeńcy, na nic nie mogli przydać się zwycięzcom. Póki jeszcze Tatarzy ciągnęli przez kraj nieprzyjacielski, używali ich za poniewolnych przewodników. Ale kiedy raz już weszli na ziemie dobrze sobie znane, nic nie mówiąc, nikogo nie ostrzegając, zmieniali porządek obozowy. Roztropność i oszczędność kazały się pozbywać wybrakowanych jeńców. Zabijano ich, albo, co jeszcze wygodniéj, (bo i Tatarom czasem przykrzyło się zabijać,) po prostu, przestawano ich żywić.

Przez jakiś czas, ten szereg cieniów ciągnął jeszcze za armją; potém, codzień rzedniał, wydłużał się, przerywał, nakoniec topniał zupełnie, zaznaczywszy drogę swemi kośćmi.

Teraz, te cienie czepiały się Włoskiéj karawany. Kupcy nie bardzo byli radzi takiemu przyrostowi ust nienasyconych. Jeden tylko Beppo, na błagania Ludmiły, wypraszał dla nich pomoc, wykradał zapasy, cudów dokazywał, byle przedłużyć, albo przynajmniéj osłodzić ich ostatnie chwile. Wychowany pod okiem stryja chciwego a skąpego, pierwszy raz na szerszą skalę poznawał balsamiczne rozkosze miłosierdzia.

O Beppo! Choćbyś nic więcéj w przyszłości niemiał do zawdzięczenia Ludmile, to już dla twojéj duszy korzyść, którą w chwili śmierci pewnie postawisz wyżéj nad wszelkie inne rozkosze.

Przy pierwszém spotkaniu z dziadzią Szymonem, Ludmiła nie śmiała ust otworzyć, nie śmiała się o nic dopytywać, w obawie, aby dłuższa rozmowa i mimowolny niepokój, nie zdradziły jéj przed znajomym. Ale niemogła długo tak wytrzymać.

Nad ranem, skinęła na Beppa.

— Ach, proszę cię, sprowadź tu owego staruszka co zaczepił nas tam, przy jarze. Niech idzie obok mego wozu, nieznacznie go wybadamy. On od mego wyjazdu pewno nieraz widywał Elżbietę, która go z litości żywiła, on wié co się tu z nią działo.

— Ten staruszek?—Powtórzył smutnie Beppo. — Oh..... on już z innemi rozmawia..... nie z ludźmi. Kiedy mu dałem trochę pożywienia, wziął tylko jeden, mały kawałek chleba, obracał go na wszystkie strony, cieszył się nim jak dziecko, chciał jeść, ale już niemógł przełykać; widocznie, głód zanadto ścisnął mu wnętrzności. Podjechałem raz jeszcze ku niemu, bom widział że się chwieje; mówiłem: «Padre, siądźcie tam na wózek.» On podniósł ku mnie mętne oczy, nos mu zbielał, usta zsiniały, przewrócił się cichuteńko..... nim zsiadłem z konia, już nieżył.

Ludmiła pomyślała sobie:

— Dla niego to i lepiéj. On tak pragnął połączyć się ze swoim Stasiem! Ale dla mnie szkoda nieodżałowana..... Ach, żebyż choć jeden dzień był jeszcze pożył!

I zapadła w głębsze niż kiedykolwiek milczenie.

Im daléj, tém puściéj. Od czasu do czasu tylko, jakiś dziwny, spiczasty, niezmiernie biały pomnik, świéci na płowiejącym stepie. Podróżni, bliżéj podjechawszy, rozpoznają piramidę z czaszek ludzkich, niekiedy stojącą w równém polu, dowód, że tu Mongołowie ztoczyli zwycięzką bitwę—niekiedy rozsiadłą wśród szarych rozsy-

pisk, dowód, że tu Mongołowie z ziemią zrównali jakieś miasto.

O! Gdyby te wszystkie głowy mogły opowiedzieć swoje życie, swoje kochania i swoje marzenia, swoje bezowocne walki, swoją śmierć, i swoją ostanią myśl!

Gdyby mogły przemówić, wszystkie by zawołały:

— Nie jedźcie tam!

Ale one już nie przemówią. Już to nawet nie są głowy, tylko jakieś kule niekształtne; już i ptastwo niebieskie niéma koło nich zajęcia; ogryzione, oszlifowane, zamiast ostrzedz, ułatwiają owszem rozpoznanie Czarnego Szlaku. Wymowne drogowskazy! Relikwie przeszłości! A może siew na przyszłą pomstę?

Nieraz téż wicher czyni z niemi jak ze wszelkim siewem: roznosi je daléj niż człowiek zamierzył. Piramida, roztrzęsiona huraganem stepowym, zwolna utraca wiérzchołek, obniża swój poziom, czaszki ztaczają się i biegną na równiny, cały kraj porasta trupiemi głowami.

Wtedy, odbudowanie pomnika, nastręcza mozolną zabawkę dla Kirgizów, Kitajców i Kałmuków, osiadłych na przydrożnych stanowiskach.

Bo i tu, na téj pustce, odnajdują się w pewnych odstępach, kupki ludzi z wielkiemi stadami koni, ciągle oczekujące na przejezdnych.

Kiedy Europa niémiała jeszcze pojęcia o stałych pocztach, Mongolja, od końca do końca była niemi już zasiatkowana. Wprawdzie te poczty służyły tylko dla wojska i rządu; zwykłym podróżnikom niewolno było z nich korzystać, ale nieraz podszywali się oni pod skrzydła jakiego dygnitarza.

Urzędnikom i wojskowym, dostarczano koni, siana, wioślarzy, wart, czego im się żywnie zachciało, podług stopnia ich dostojności, a zwłaszcza podług miary uszanowania, jakie sobie umieli zdobyć przez piorunujące krzyczenie na ludzi, i niemiłosiernie rozdawane plagi.

Były też na każdém stanowisku sztafety konne i piesze, które nieustannie latały, podając sobie Jarliki chańskie, rozkazy wojenne, i ostrzeżenia szpiegowskie.

Nieubłagalność zwierzchników i usłuchalność podwładnych, nadawały tym wszystkim ruchom zgodę dziwnie sprężystą, niezrównaną, i w téj to właśnie zgodzie,—po bliższém zbadaniu—znalazłby się może najprostszy klucz owéj bajecznéj szybkości z jaką działali Mongołowie, podczas kiedy inne ludy Azjatyckie, a témbardziéj też Europejskie, poruszały się ciężko, nierówno, łamane walką stronnictw, lub ściéraniem się wolnych głosów, a zawsze opóźniane tysiącem narad, swarów, i rozstrzelonych wybryków pojedynczéj fantazji.

Artur Sydney korzystał jak mógł najobszerniéj z przywilejów swojéj *paiży*. Była to, złota, szeroka na dwie dłonie tabliczka, z napisem wyrytym w języku Mongolskim, ale znakami Ujgurskiemi, bo zwycięzcy, nie posiadając jeszcze własnego alfabetu, posługiwali się pismem zwyciężonych. Od prawéj strony stało imię Stwórcy: «Tangri.» Daléj, przekleństwo na każdego co by nie usłuchał postanowień wydanych w imię Boga i Wielkiego Chaana,—u lewego zaś brzegu rozkaz, aby tyle a tyle koni, teleg, łodzi, żołnierzy i zapasów, dostarczano w całém Chaństwie okazicielowi tabliczki.

Genueńczycy zbiérali sowicie zaskarbione sobie łaski Posła; on teraz «brał ich pod swoją paiżę», wyrażenie, które jakby przysłowie pozostało się w naszym języku, dziś już prawie niezrozumiałe dla ogółu słuchaczy, jasne i proste przed lat półtysiącem.

Ta pomoc przydała się szczególniéj u przeprawy przez wody Bohu, niełatwéj dla ludzi obładowanych tylu towarami.

O dzień drogi za Bohem, kraj przybrał nagle inną postać: zaroił się tysiącami koni, ludzi

jezdnych i pieszych; powietrze zamajaczyło lasem dzid i buńczuków.

Ziemia grzmi, hufce płyną ze szczękiem żelaztwa, i twardobrzmiącym gwarem stujęzycznych rozmów.

Nasi podróżni usuwają się, zatrzymują, niewiedzą którędy znaléźć przejście.

— Co to takiego?—Pytają.—Kto to jedzie? I dokąd?

— To trzecie wojsko Tatarskie wyprawia się na Węgry. Już jedno, pod przywództwem Batu Chana pojechało przez tak zwaną «Ruską bramę», czyli przez ziemię Halicką. Drugie pod Petą, zakréśliło półkole aż przez Małopolskę i Morawy. Teraz trzecie, pod Kajdanem, pojedzie przez Kumanję, aby się z tamtemi połączyć w sercu Węgier.

Ludmiła zadrżała na taką wiadomość. Wszak jéj mówiono, z największą radością zaręczano, że Tatarzy już uciekli, już opuścili i Polskę i Węgry? A tu nowe ich ćmy nadlatują?

Zadrżała znów o Jasia.

— Ale,—mówiła sobie,—przecież oni jeszcze daleko? Nim do Węgier dojadą, Rafał dziesięć razy znajdzie Sulisława. Przecież będą mieli dosyć czasu aby sobie obmyślić schronienie, wynieść się, choćby w dalsze kraje? A może téż ci Tatarzy jeszcze niewiedzą o porażce pod Ołomuńcem? Gdy poznają wielkość swojéj klęski, może stracą serce i wrócą się z drogi?

Tymczasem jednak, wcale nie wyglądali na ludzi co mają «tracić serce.» Biegli rączo, jak psy wietrzące obfitą zwierzynę. Śmieli się, bystremi konikami toczyli, wyprawiając szalone harce i wyścigi. Niekiedy, cały hufiec łączył głosy w jeden śpiéw choralny, którego dziwna miara, i dziwniejsza, Turańska gamma, wydają się uszom Aryjskim jakieś nielogiczne, i jakby wiecznie zakończane niepokojącym znakiem zapytania.

Ludmiła, przyglądając im się ze drżeniem, wpadła na myśl zastraszającą:

— A jeżeli téż między niemi znajduje się i Toktysz? A za nim ciągnie Arguna z całą swoją służbą? Nic nie wiedząc, mogę znowu zminąć się z Elżbietą. Ach Beppo, słuchaj: pójdź, podpytaj się tych ludzi, czy jedzie między niemi Toktysz?

— O Michele, trudno bądzie dowiedzieć się prawdy. W każdym Tumanie jest dziesięć tysięcy żołnierzy, a tu podobno ciągnie kilka Tumanów. Jakże chcesz aby w takim tłumie trafić na jednego?

Jednak, po godzinie, Beppo wrócił rozjaśniony.

— Jaki tu porządek! — Zawołał. — Wszyscy wiedzą o wszystkiém. Ledwie zapytałem jednego ze starszych, zaraz mi odpowiedział, że Toktysz i brat jego Ajdar, są jeszcze w obozie, bo

należą do ostatnich Tumanów, które dopiéro za miesiąc wyruszą.

— A gdzież ten ich obóz?

— O cztery dni drogi, koło Limanu Dnieprowego, już nad morzem.

— Nad morzem? Co to za morze?

— Czarne morze.

— Znów «czarne»? Ach Boże, gdzie Tatarzy, tam wszystko czarne.

Tu rozdzielił ich nowy napływ żołnierstwa.

Kupcy kręcili się umyślnie między wojskiem, nasuwali się każdemu przed oczy, w nadziei że te tłumy rozkupią szybko ich towary.

Ale nikt niechciał kupować.

Żołnierzowi Tatarskiemu, starsi zazwyczaj tak mawiali:

— Kiedy wracasz z wyprawy, obładuj się ile chcesz, i czém chcesz; im więcéj przyniesiesz, tém lepiéj. Ale gdy jedziesz na wyprawę, bierz z sobą jak możesz najmniéj, abyś prędko dojechał, lekko się ruszał, i miał ręce wolne do brania zdobyczy.

Żołnierze święcie słuchali. Zresztą, po co kupować za piéniądze, kiedy wiedzą że u celu drogi dostaną wszystkiego za darmo, i więcéj niż potrafią zabrać?

Po tém rozczarowaniu, kupcy ukuli nowy zamiar, któremu głównie przewodniczył signor Bartolommeo. Dawno się on już nosił z wielką myślą, którą i rząd Genueński wysoce pochwalał, cóż, kiedy przedstawiała niezwalczone do dziś dnia trudności? Położenie Tany było korzystne dla zamiany towarów z Azją, ale bardzo nieszczęśliwie wybrane dla wszystkich stosunków z Europą. Handlowa ta warownia, wsunięta w najgłębszy narożnik płytkich wód Azowskich, siedziała tam jakby w zaklęciu. Aż dwa morza oddzielały ją od Bizancjum i od całego Zachodu, a na tych dwóch morzach Genueńczycy nie mieli ani jednéj własnéj przystani, ani jednego składu na towary. Co gorzéj, w połowie téj wodnéj pustyni, zastępował im drogę półwysep Taurycki, zkąd stare kolonje Greckie niechętném okiem patrzyły na ciągłe przejazdy Italczyków, i dobrze się uwziąwszy, mogły ich kiedyś zamknąć w morzu Azowskiém jak w pułapce. Przez długi czas, Połowcy rządzili Taurydą, i tak się dali opanować przez tę wykrętną «greca fides», że Włoch żaden niemógł zatknąć chorągwi, ani nawet zahaczyć stopy, na owém kuszącém wybrzeżu. Ale teraz, kiedy Mongołowie Taurykę zagarnęli, Połowców rozegnali, a złupione kolonje Greckie trzymają pod bato-

giem, kto wié, czyby się nie dało wytargować od nich na półwyspie jakiegoś kawałątka ziemi, (naprzykład, zniszczonéj Teodozji,) gdzieby można tak wygodnie założyć nową kolonję, zkądby można tak czujnie spoglądać na oba morza?

«Compagnia Tanaidzka» czyniła już kilkokrotnie w tym celu zabiegi; jednak dotąd jéj się nie wiodły. Kupcy, nieznali bliżéj nikogo z rodziny cesarskiéj, a mniejsi dostojnicy, nabrawszy podarków, zbywali ich obietnicami, nigdy niespełnianemi.

Teraz, signor Bartolommeo podchwycił wiadomość, że między wodzami którzy to trzecie wojsko prowadzą na Węgry, jest kilku Dżyngischanidów, a nawet jest i Kujuk, rodzony syn samego Wielkiego Chaana Ogotaja.

Zapytał tedy towarzyszów, czyby nie trzeba korzystać z takowego spotkania? Uderzyć prosto do wielkiego ołtarza? A to tém bardziéj, że teraz mają między sobą Artura Sydneya, którego wpływ u Dworu musi być niemały.

Wniosek został jednogłośnie przyjętym. Anglikowi obiecano sutą zapłatę za pomyślne przeprowadzenie sprawy, przygotowano piękne dary dla Kujuka i wszystkich innych Xiążąt, — poczém cała karawana skierowała się do głównego sztabu, który właśnie stanął w polu dla posiłku.

Ludmiła przyglądała się zdaleka téj wschodniéj wspaniałości. Ubiory Xiążąt kapały od złota i drogich kamieni. Konie, dobiérane ze wszystkich stron świata, były droższe jeszcze niż owe klejnoty, bajecznie piękne; piękniejsze w każdym razie od swoich panów, którzy mieli cerę zapaloną, oczy przygasłe, i szaro-żółte włosy. (Ta żółtość włosów stanowiła dziedziczną cechę rodziny Dżyngischana.)

Co najwięcéj Ludmiłę zdumiało, a nawet i rozśmiészyło, to że nad jednym z Xiążąt niesiono okrągłą sztukę jedwabnéj żółtéj tkaniny, rozpiętą na prątkach i zatkniętą na złotym kijku. Był to Chiński «parasol», jedno z tysiącznych narzędzi Chińskiego ceremonjału, który coraz wszechwładniéj ogarniał Dwór Chanów Mongolskich.

— Cóż to za wódz, — zapytała Beppa, — ten, za którym niewolnik ciągle chodzi z tym daszkiem?

— A to właśnie Kujuk, syn wielkiego Ogotaja. Ten daszek, to oznaka jego dostojeństwa.

— Aha, to Kujuk. Jakiż on dziwnie czerwony?

— Ha! Bo pije. — Odrzekł z pogardą Beppo, który jako Włoch nieodrodny, odznaczał się najwzorowszą trzeźwością.

— On, pije? Syn Chański? Następca tronu?

— Cóż chcesz Michele, oni wszyscy tacy. U Tatarów, im większy pan, tém większy pijak. Zresztą, czy Kujuk będzie następcą tronu, to jeszcze wielkie pytanie; tu rzecz idzie nie według starszeństwa, lecz według żądania ojca i zgody całéj rodziny. Ogotaj ma kilku synów, i podobno już innemu przeznaczył po sobie panowanie.

— A co to za jeden stoi przy nim, taki gruby?

— To Kajdan, główny wódz tego wojska, także wnuk Dżngischana. Podobno bardzo srogi.

— A ten, po prawéj stronie Kujuka, taki barczysty i wspaniały, z prześlicznym niebieskim pasem?

— Ten? Doprawdy, niewiem. On nie musi być z rodziny Chańskiéj, bo ma ciemne włosy. Ale pas, prawda że pyszny. Ach..... per Bacco! To same turkusy! Taki pas pewnie wart..... no, mój stryj dałby za niego..... trzysta..... może i czterysta fiorinów.

Beppo nieumiał nazwać wodza o turkusowym pasie, a jednak był to wówczas największy wojownik Mongolji, najsławniejszy z pośród jéj Behadyrów, Subutaj, zdobywca Chin, olbrzym, co rozsiawszy postrach nad żółtym Hoang-ho, teraz jechał po nowe wieńce na drugi koniec świata, nad Cissę i Wisłę.

Tymczasem, Artur Sydney, uderzywszy czołem przed cesarzewiczami, zdawał sprawę ze swego poselstwa. O ile był szyderczym w obec Chrześcjan, a zuchwałym w obec Kirgizów i Ujgurów, o tyle okazywał się pokornym w obec rodowitych Mongołów, którzy też na niego patrzyli przez ramię, jak zwyczajnie na renegata. Trzeba przytém dodać, że Kujuk nie lubił ulubieńców ojca; miał własnych, nad których wyniesieniem już zwolna pracował.

Kiedy więc Poseł powtórzył hardą odpowiedź «Chanika Hungarji», kiedy wspomniał o «niezupełném powodzeniu» pod Ołomuńcem, Xiążęta się skrzywili.

— Ci ludzie z pod nieba zachodniego — zawołał Kajdan,—jeszcze nierozumieją woli Wielkiego Tangri, co nam obiecał panowanie nad światem. Trzeba ich będzie przekonać, nie słowami, ale tém.

Co mówiąc, uderzył ręką po krzywéj szablicy.

— A ty, kruku złéj wieści, — odezwał się syn cesarski,—niémasz doprawdy z czém jechać do ojca mojego. Wracaj lepiéj za nami do Hungarji, gdzie jako tłumacz tych języków któremi dawniéj szczekałeś, może się jeszcze na co przydasz.

Sydney, zmieszany pogardliwém przyjęciem ledwie już kilka, i to słabych tylko słówek wyjąknął, kiedy przyszło przemówić za kupcami. Ale ci, najlepiéj sami przemówili za sobą, symboliczną wymową darów: ofiarowali cudne Florenckie sukna, jedne jakby krew czerwone, drugie, jeszcze cenniejsze, fjoletowe; — przytém, Genueńskie korale, w gałązkach, ziarnach, i złotych oprawach;— daléj, droższe nad złoto, trzy słoiczki z Wenecką Dryjakwią, co jest nieomylna przeciwko wszelkim chorobom i jadom;—daléj kilka bukłaków pełnych bieluchnéj Sycylijskiéj oliwy, — a nakoniec kilka beczek niezrównanego Węgierskiego wina. Ten ostatni dopiéro upominek, wywołał piérwszy uśmiéch na usta posępnych Xiążąt.

Kujuk wycedził kilka słów niewyraźnych, mających znaczyć:

— Dobrze..... wspomnę ojcu..... przy sposobności..... kiedyś.....

Poczém, skinął głową pożegnalnie.

Wkrótce wojsko ruszyło w swoją stronę, kupcy w swoją. Dużo dawszy, a w zamian nic nie wziąwszy tylko czcze obiecanki, jechali niezbyt wesoło, i to już bez Posła, bez paiży.

Szczęściem, niedługa już im pozostawała droga. Trzeciego dnia, przy iskrzącym zachodzie

słońca, na widnokresie zajaśniał olbrzymi Liman Dnieprowy, razem ujście rzeczne i zatoka morska, pocięty wyspami, pokręcony w odnogi, potężny a dziwnie spokojny, jak lew, gdy usypia.

Nad wodą, czerniały przed podróżnemi, poszczerbione i okopcone gruzy jakiéjś Kumańskiéj warowienki, co stanąwszy na rozsypiskach starych Scytyjskich szańców, dziś już razem z niemi się rozsypywały; a przy tym niedogryzionym trupie dwóch znikłych panowań, zwinięty nakształt potwornego węża, wylegiwał się w piasku ciemny obóz Tatarski.

Mówimy: *ciemny*, bo nietrzeba sobie wyobrażać koczowisk Tatarskich, na podobieństwo Europejskich lub nawet Beduińskich obozów. Pod gorącém niebem Arabji, lekki namiot wystarcza. Żołniérz naszych krain, może się zadowolnić nakryciem płócienném, bo rozpina je tylko na czas wojny. Ale Mongoł koczuje całe życie, a chociaż posiada kamienną wytrzymałość, jednak, ani płótna, ani barwy białéj, nie zniósłby na swoich zimnych stepach.

Jurty Mongolskie były to raczéj koliste altanki, stawiane z pali w krąg zatkniętych, połączonych u góry spiczastym splotem żerdzi, co im nadawało postać wielkich, okrągłych ulów. Całą tę przezroczystą budowę, osłaniano płatami czarnéj albo ciemno-brunatnéj pilśni. Tylko

przy wielkich uroczystościach, obóz Tatarski przyoblekał się w białe opony.

Wnętrze jurty było ubrane wedle zamożności mieszkańców. U biédniejszych w rogóżki i wojłoki, u bogatszych w kobierce i różne pościołki; nieraz, najpyszniejsze dywany Bagdadzkie, najmiększe Indyjskie szale, nieraz krzyżami zahaftowane poduszki z Polskich ołtarzy, walały się na stepowéj trawie, śród kurzu i popiołu. Tego ostatniego nigdy nie brakowało, bo w samym środku jurty zwykle palił się ogień, którego dym wyciągał przez okrągły otworek wycięty w nakryciu. Przy pilśniowych ściankach, stały skrzynie i wory, pełne zrabowanych ubiorów, sprzęcików, kosztowności, stały i niziutkie ławy służące za stoliki, na których często można było dostrzedz Chińskie porcelany, i kościelne kielichy lub ampułki, obok drewnianych naczyń do kumysu. U najbogatszych, znajdował się jeszcze niekiedy sprzęt nizki, szeroki, bogato wysłany, z dwoma wałkami po bokach, prawdziwa wschodnia «sofa», którą, po niedawném podbiciu Persji, Tatarzy wielce sobie upodobali.

Trzeba przyznać, że dla ludzi żyjących w nieustannéj podróży, takie domostwa były dość mądrze obmyślane. Jak tylko zabrakło paszy, odpinano wojłoki, wyjmowano żerdzie, wszystko szło na wózek, i daléj, gdzie oczy poniosą! W czasach wypoczynku, wozy pospinane w okół obozowiska, tworzyły rodzaj obronnego

szańca, którym ci wielcy złodzieje radzi się otaczali, bo zaprawdę, mieli czego pilnować.

I ten oto obóz, taki na pozór posępny i ubogi, zawiérał wielkie bogactwa, dusił w swoich jurtach wszystkie łupy zwiezione z Polskiéj kampanji. To téż przy każdém wejściu stały mocne straże. Kupcy musieli długo się rozgadywać i opłacać, zanim ich do wnętrza wpuszczono.

Tymczasem Beppo zwrócił się ku Ludmile, i składając ręce, błagał cichym szeptem:

— O signora! Tu zachowujcie się jeszcze ostrożniéj niż dotąd, ach tu dopiéro grożą wam prawdziwe niebezpieczeństwa..... wszyscy was tu widzieli tak niedawno! Nie szukajcie nazbyt pilnie waszéj signory Elisabetty, nie kręćcie się między ludźmi. Już ja sam wszystko zrobię, wszystko znajdę.

Ludmiła obiecała że będzie przezorną i cierpliwą. Jednakże kiedy wjechali do obozu, kiedy na wyznaczoném stanowisku zaczęto wyładowywać towary, bijące serce nie dało jéj spoczynku; wymknęła się z pośród karawany.

Zmrok już zapadał; pod jego zasłoną, lepiéj zabezpieczającą niż wszelkie przebrania, krążyła

bez wielkiéj obawy po wązkich uliczkach wytkniętych między jurtami, poznawała krocie znajomych sobie twarzy, a szczęśliwy przypadek czy przeczucie, zaprowadziły ją wkrótce do szukanego celu.

Spostrzegła Ajdara. U wejścia jurty obszernéj, wspaniale wewnątrz upstrzonéj, stał w swoim zielonym kaftanie, z rękami na piersiach złożonemi, z głową smutnie spuszczoną, zadumany, nieledwie rozmarzony, co u Mongoła było prawdziwém zjawiskiem.

Szukająca, nie zwróciła nawet uwagi na jego zadumę, tylko pomyślała z radością:

— O! Kiedy on tu mieszka, to musi gdzieś blisko być i Toktysz z całym swoim dworem.

Istotnie, o kilkadziesiąt kroków daléj, spostrzegła gromadę namiotów nieco odosobnioną, a przed jednym z nich..... o Boże! to ona! Elżbieta!

Siedziała na ziemi, u samego wejścia do jurty. Ogień palący się w namiocie, oświécał ją z tyłu, i mocno rysował jéj prześliczny, dziś wychudły, wyciągnięty profil. Była odziana w ubiór prostych sług Tatarskich, granatowy chałat z grubéj wełny, przewiązany czerwoną taśmą, i spiczasty kołpaczek z czarnéj pilśni.

Na kolanach trzymała chłopczyka, dużo większego od Jasia, z czarnym roztarganym łepkiem, z twarzą płaską, wklęsłym noskiem, z buzią od ucha do ucha, którą teraz jeszcze na do-

miar brzydoty, przez sen nieco roztworzył. Elżbieta podkołysywała na rękach rozwalone to straszydełko, śpiewając piosenkę wszystkich Polskich matek i piastunek:

Lu — lu — lulusiu —
Mój ty złoty lalusiu —

Piosenka cudna w swojéj niemowlęcéj niewinności, rozczulająca w prostocie swojéj nuty i textu, zwłaszcza kiedy nas doleci na wygnańczéj obczyźnie.

Ach, gdyby nawet nie z rysów, to już po głosie i po owéj piosence macierzyńskiéj, byłaby ją szukająca od razu poznała.

Elżbieta nuciła niby dla owego Tatarskiego dzieciaka, ale w duszy słała pewnie tę piosenkę do innéj dzieciny, bo jéj oczy były szklisto utkwione w jakąś dal niepochwytną, i myśl zdawała się nieobecną w tém półmartwém obliczu.

Ach, gdyby nikogo prócz Elżbiety nie było w namiocie, Ludmiła—na nic nie zważając—podbiegła-by do niéj, uścisnęłaby jéj rękę, uspokoiła jéj tęsknotę..... Ale w jurcie kręcą się dwie niewiasty; jedna, stara Ujgurka, z chustą czarną na głowie, warzy cóś w kociołku nad ogniem; druga, młoda Mordwinka, w butach i kożuszku, z blaszanym djademem, od którego wielka grzywa końska, na zielono malowana, zwiesza się aż do kostek, i tworzy na plecach ruchomy płaszcz

trawiasty. Nieznośna ta Mordwinka! Co chwila przychodzi do piastunki, klepie ją po ramieniu jakby chciała rozbudzić zadumaną, i znów powraca do kociołka.

Ludmiła niewiedziała co ma czynić daléj. Odejść? Ani sposób! Niemogła stać na miejscu, ani wpatrywać się ciągle w Elżbietę; więc przechodziła tam i na powrót kilka razy, oglądając się zawsze, i powłócząc długiém, wymownem spojrzeniem.

Ta uporczywa przechadzka, te przenikliwe rzuty oka, zwróciły nakoniec uwagę Elżbiety. Podniosła oczy, zdziwiona, co to za człowiek taki hardy czy litościwy, a pomimo przebrania Ludmiły, cóś w rysach i ruchach tego przechodnia, przypomniało jéj drogą postać. Oczy serca bystrzejsze są od innych.

Uśmiéchnęła się jednak ze swego złudzenia, i powiedziała sobie:

— Przecież to mężczyzna? Zresztą, ona, — chwała Bogu!—daleko!

Tymczasem, obie strażniczki, zagadawszy się w głębi jurty, znikły pomiędzy skrzyniami, z których dobywały jakieś paczki, futra i posłania. Wtedy Ludmiła już niemogła wytrzymać,

chciała choć jedno słówko pociechy rzucić nieszczęsnéj matce, choć o jedną noc skrócić jéj śmiertelną niepewność. Gdy po raz piąty czy szósty wypadło jéj przechodzić przed namiotem, niby zniechcenia musnęła suknię Elżbiety, a potém, nie zwracając głowy, nie patrząc wcale na nią, przyciszonym głosem wypowiedziała szybko te dwa słowa:

— Jaś uratowany.....

I szła daléj.

Nie obliczyła doniosłości wrażenia jakie sprawi.

Na odgłos Polskiéj mowy, ach! i to w takim głosie, i jeszcze z taką wieścią, Elżbieta krzyknęła..... potém, jakby galwaniczném wstrząśnieniem podrzucona, zerwała się, i przez kilka kroków biegła za nieznajomym.....

Ale mały Kałga, rozbudzony jéj ruchem, rozgniéwany że niańka niewolnica ośmiela się jego pański sen przerywać, zaczął krzyczéć, nóżkami ją kopać, i zawziętą piąstką bić po twarzy.

Wnet obie niewiasty wybiegły z namiotu; starsza wybuchnęła straszném łajaniem na Elżbietę, młodsza ją porwała za ramiona i gradem szturchańców pędziła do jurty, a zły dzieciak, widząc że tamte biorą jego stronę, coraz wściekléj rzucał się i wrzeszczał.

Ludmiła ukryta za innym namiotem, zaciskała ręce rozpaczliwie. O, gdyby mogła tam wlecić, małego potworka precz wyrzucić, wszystkie czarownice porozpędzać, i swoją Elżbietę uprowadzić!

Prosty rozum radził inaczéj: «Przemóż się, milcz, i czekaj.»—Długoż tego czekania? Jeszcze dni kilka, kto wié? może już tylko jeden dzień cierpliwości, a wyzwolenie spokojnie się dokona.

Po jakiéj godzinie takiej walki wewnętrznéj, kiedy nakoniec w namiocie ucichły krzyki i obelgi, odeszła powoli, trzęsąc się i powtarzając:

— O jakie szczęście żem tu powróciła! Trzeba koniecznie wyrwać ją z tego piekła.

Targ.

Beppo spostrzegł zniknięcie Ludmiły. Czekając, umiérał z niepokoju.

Kiedy nakoniec powróciła, gniéwał się czule i zaklinał; musiała przyobiecać że nadal będzie przezorniejszą.

Nazajutrz wierna swemu słowu, pozostała między kupcami, a Beppo sam poszedł do Arguny, niosąc skarb okupowy. Ze wszystkich kosztowności wybrał tylko dwie sztuki, ale obie— według niego—nieoszacowane: sznur pereł niezmiernie grubych i równych, i *kanak*, czyli rodzaj trójkątnego pancerza ze złota i klejnotów, który się na piersiach przypinał. Ten kanak, bizantyńskiéj, przepysznéj roboty, był nasadzany szafirami i rubinami. Beppo zawijając go, wzdychał:

— Aż przykro pomyślić, aby taka szkaradna baba miała nosić podobne cudności.

— Ach mój Beppo, nie żałujmy tych martwych kamieni, za które możemy Chrześcjańską duszę wykupić. I to jaką duszę! Weź jeszcze i więcéj, weź wszystko, byle targu dobić.

— Nie signora, po co przepłacać, kiedy i tych dwóch rzadkości już może za wiele? Trzeba téż cóś zostawić i na drogę; gdybyśmy wszystko tu rozdali, przyszłoby nam wracać o żebranym chlebie, a droga trudna, i to wśród nieprzyjacioł, których może nieraz jeszcze wypadnie przekupywać.

Poszedł, i nie wraca. Mija godzina jedna, druga, trzecia. Teraz Ludmiła umiéra z niepokoju.

O..... idzie Beppo! Idzie..... z pustemi rękami, z twarzą jakąś dziwną, ni smutną ni wesołą.

— Cóż? Przyjęty okup? Udało się? Gdzież Elżbieta?

— Jeszcze się nie udało, ale może się uda. W każdym razie, ta sprawa potrwa dłużéj niżeśmy sądzili. Z początku, myślałem że cała podróż na nic się nie przyda. Oj, ciężko z tą Arguną. Zamówiłem się do niéj pod pozorem, że mam na sprzedaż piękne a tanie towary. Kiedy mię wpuszczono do jurty, powiedziałem jéj na cztery oczy:—«Zacna pani, tu chodzi o wcale

inny rodzaj targu; w Hungarji spotkałem się z małżonkiem téj niewiasty, co przy waszém dziecku jest piastunką. Jéj mąż to wielki pan Polski, wielki bogacz. Chciałby żonę wykupić. Mnie wybrał za pośrednika. Przywiozłem okup. Chciéjcie zobaczyć, prawdziwie królewski.» — Ale Arguna roześmiała się twardo, i oświadczyła, że niańki za żaden okup—chociażby królewski—nie odda. Kiedy zdziwiony, zapytałem: — «Czemu?» — Przez chwilkę zamyśliła się, potém rzekła: — «No, już ja mam ważne powody, dla których nigdy a nigdy nię pozbędę się téj niewolnicy.» — Odpowiedź była stanowcza; niewiedziałem co robić. Ażeby ją skusić, wyjmuję sznury pereł, powoli, jeden za drugim; jak zacznę jéj niemi świécić w oczy, a zachwalać ich blask, ich tęczę, byłbym dziesięć innych namówił. Ta nic, tylko znów się roześmiała i powiada: — «Co mi po tém? Niby mi to pereł brakuje?» — Rzeczywiście, stało tam w kącie pudełko, pełne po brzegi pereł. Były drobniejsze i nierówne, dla znawcy niewarte i jednego bóncika naszych, ale dla takiéj Arguny wszystko jedno; próżno gadać z tą kobiétą przesyconą perłami.—Dopiéro kiedy wyjąłem kanak, oczy jéj zabłysły, ręce zaczęły drżéć do tego pieścidełka; tu już nie potrzebowałem zachwalać ani namawiać, pokusa działała własnym czarem. Tatarka raz chwyciwszy kanak, niemogła go już puścić z ręki. — «Zostawcie mi to,» — rzekła—»

namyślę się. Mój mąż teraz odjechał do swego stada koni, za kilka dni powróci, muszę się męża poradzić. Wtedy odpowiem.» — Chciałem zabrać klejnoty i po kilku dniach z niemi wrócić, ale spojrzała na mnie krzywo.—«Po co» mówiła — «zabiérać? Przecież nie boisz się aby ci tu zginęły? Mój mąż wróci pojutrze, może nawet już jutro, chciałabym tę rzecz miéć pod ręką, aby mu ją zaraz pokazać. A niechcesz zostawić? To idź sobie precz i nie wracaj, niechcę słyszéć o żadnym okupie.»—Zdawała się strasznie obrażona; nieśmiałem nalegać, zostawiłem klejnoty. Przy odejściu, zaniosłem jeszcze prośbę, czyby mi «zacna» matka nie pozwoliła widziéć swojego synaczka, dla którego mam z dalekich krajów ładny upominek? Ten magiczny wyraz «upominek», u Tatarów otwiéra wszystkie jurty. Zaraz mię wpuszczono do namiotu panicza. O signora! Teraz się nie dziwię, że tak mocno kochacie tę waszą rodaczkę. To anioł nie kobiéta. Co za cierpliwość! Co za słodycz! Ofiarowałem chłopcu ładne brzękadełko srebrne, koralikami nabijane, a podczas kiedy dziecko i wszystkie inne niewiasty oglądały zabawkę, myśmy zamienili parę słówek. Nikt nas nie rozumiał. Na wieść że wy signora tu jesteście, zbladła i nawet się gniéwała, o ile może się gniéwać taka święta istota. Już wasze wczorajsze słowa przez całą noc jéj spać nie dały. Dzisiaj, za dokładniejsze wiadomości o swojém dziecku, mało że

mi do nóg nie padła, a i radości niemogła się oddawać, musiała zachowywać wszelkie pozory spokoju. Co najsmutniéj, to że ona jakoś nie wierzy abyśmy ją mogli wykupić. Niewiem dla czego? Przy świadkach nie można było dobrze się rozmówić. Nalegałem przynajmniéj aby nam wskazała, gdzie możemy nadal ją spotykać? Po chwilce namysłu, rzekła tak: — «Do tego namiotu nie przychodźcie, bo matka nielubi aby kogo z obcych tu wpuszczano. Ale ja prawie codzień wieczorem przechadzam się z dzieckiem nad Limanem. Tam zejdźmy się niby przypadkiem. Tam przecie każdemu wolno chodzić?»—Na tém tedy postanowieniu rozeszliśmy się dość wesoło, bo zawsze to dobre jest «adio» co ma w końcu: à «riveder-gli!»

Ludmiłę zgryzło niezmiernie to zachwianie, a przynajmniéj opóźnienie sprawy, którą dotąd uważała za bliską i pewną. Tymczasem rzeźwiła się tylko myślą, że wkrótce ujrzy Elżbietę. Pod ciepłym promykiem téj nadziei, tajały nawet zwolna chmurne przewidywania.

Tegoż dnia jeszcze, przed zachodem słońca, wybrali się oboje nad Liman; nieśli niby jakieś towary, dla rybaków zamieszkujących wpośród «czarnych gruzów». Kiedy stanęli nad wodami

z których wieje morskie, słonawe powietrze, ogarnęła ich jakaś tajemnicza potęga; sami nie umieli jéj nazwać; my dziś ją nazywamy: «poezją przyrodzenia.» Ludmiła zapadła w milczącą zadumę. Beppo owszem wpadł w niezwyczajny zapał, mówił o swojém szczęściu, o wspólnéj przyszłości. Niestety, w téj chwili dopiéro się przekonał, jak maleńkiém stworzeniem, co mówię? jakiém «niczém» był dla pani swych myśli! Nawet go nie słuchała. Szła roztargniona, nie odpowiadając na jego pytania. Co chwila oglądała się ku stronie obozu. Nakoniec, oczy jéj zabłysły — chwyciła go za rękę i krzyknęła:

— Już idzie!

Istotnie, od namiotów szła Elżbieta, za rękę trzymająca Kałgę, który targał się i podskakiwał. Ale nie była sama; szła i stara Ujgurka, i zielonogrzywa Mordwinka, szedł i okropny Kałmuk, i jeszcze kilku niewolników. Syn Toktysza i Arguny niemógł się ruszyć bez pańskiego orszaku.

Kałga poznał natychmiast kupca który mu darował brzękadełko. Podbiegł ku niemu i spytał bez ogródki, czy niéma dla niego jakich nowych cacek? Więc Beppo zwolna płaszcz roztwierał, różne drobnostki wydobywał, i jak mógł dziecko zabawiał, a tymczasem Elbieta i Ludmiła zamieniały krótkie, na pozór obojętne wyrazy.

Ach, jaka to była męczarnia, rozmawiać przy tylu świadkach spoglądających podejrzliwie! Ani się uściskać, ani się wypłakać! Musiały udawać że się wcale nie znają, że tylko wspólność ojczyzny i mowy, sprowadza między niemi niespodziane zbliżenie. Ale za to czasem, gdy nikt ich nie śledził, zamieniały rzewny, przeciągły błysk oka, a ten, roztwiérał, i do dna rozświécał, wszystkie najtajniejsze przepaście ich serca.

Piérwszém pytaniem Ludmiły było:

— Czemu nie przyszłaś wtedy gdyśmy mieli uciekać? Co cię wstrzymało? To musiał być jakiś straszny wypadek?

— Nie, przeszkoda bardzo mała na pozór. Ale nieraz największe nieszczęścia przychodzą z małych przyczyn. Dziecko, tamtéj nocy—jakby na przekorę—niechciało i niechciało usnąć. Nakoniec myślałam że śpi. Wstaję lekko i chcę się wymknąć. A tu dziecko podnosi głowę, ciągnie mię za suknię. Ja mówię że zaraz wrócę. — «Nie!» Woła. «Ty całą noc masz przy mnie siedzieć.» — Siadłam tedy znowu, a on udał że zasypia. Musiał udawać, bo kiedy znowu wstałam, pochwycił mię i ugryzł w rękę. Takie niedobre figle często mu się trafiają; nie bardzo téż on i winien, matka mu na wszystko pozwala. Że ugryzł to mniejsza, ale narobił okropnego krzyku, zleciała się cała służba, przybiegła i sama Arguna, zapytująca drżącemi ustami, kto jéj dziecko krzywdzi? Możesz sobie wystawić co się działo. Gospodyni, (ta stara Ujgurka co tu stoi), poka-

zała wówczas dużo litości i odwagi; prosiła za mną, mówiła: «Pozwólcie aby choć na chwilkę odeszła i pożegnała sie ze swojém dzieckiem.» — Arguna już nieco miękła, ale ten chłopiec krzyknął: «Niech nie odchodzi! Ja niepozwalam! Ona jest moją niewolnicą.» Wtedy matka rzekła: «To prawda; ona jest niewolnicą mego syna, a nie moją; on jeden ma prawo pozwalać lub zabraniać.» — Od téj chwili zobaczyłam, że wszelka nadzieja ucieczki, dla mnie już stracona. Nietyle jednak trapiła mię ta boleść, ile myśl, że wy czekając na mnie, opuścicie jedyną sposobność ratunku. Co tu robić? Jak was ostrzedz? Ruszyć się nie mogłam. Wprawdzie pozwolono mi wyjść z namiotu, dla zatamowania krwi która ciągle ciekła, bo chłopiec ugryzł mię bardzo złośliwie; ale i teraz jeszcze nie byłam sama, dwie kobiéty mię pilnowały. — Przed namiotem, spostrzegłam dziadzię Szymona. Przyszła mi myśl niespodziana. Wyjęłam z rękawa kromkę chleba, dałam biédakowi tę jałmużnę, (jedyną — Boże mój! — na którą stać mię tutaj,) zaczęłam go prosić aby poszedł do was, i aby wam powtórzył to co mu rozpowiem. Ale staruszek, na wpół nieprzytomny od zgryzot, a może i od głodu, nierozumiał mię prawie wcale, widziałam że źle powtórzy. Kiedy Ujgurka dała mi chustę białą na owinięcie ręki, przyszła mi znowu myśl wybawcza: krwią własną wypisałam tam co mogłam, Ujgurce zaś tłumaczyłam że to jest bło-

gosławieństwo dla mojego dziecka, że w naszym kraju wszyscy tak przy pożegnaniu robią. Zdziwiło ją to, ale i wzruszyło, powiedziała mi: «A no dobrze, poszlijcie.»—Odetchnęłam trochę. Jednak jeszcze przez całą noc truchlałam, niewiedząc czy stary potrafił was odnaléźć, i czy wyście potrafili przeczytać? Rano, wysłałam innego jeńca na wywiady; wrócił z najlepszą wiadomością, powiedział: «Wyjechali.» — Odtąd, zrobiłam «votum», że będę wszystko znosiła cierpliwie, na intencję waszego ocalenia. I Bóg mię wysłuchał. Jaś ocalony. Ach i ty byłabyś ocalona, gdyby nie ten twój powrót..... O, ja się gniéwam..... ja nie mogę ci tego darować..... to szaleństwo—to grzéch. Ach czyż się godziło?.....

Całe to opowiadanie, jednolicie tu przedstawione, tam nad Limanem było pocięte w tysiąc przerywanych pół-zdań i pół-słówek. Kałga nie dawał swojéj piastunce ani chwili spoczynku; jak wszystkie dzieci popsute, chciał aby nieustannie zajmowano się jego ważną osobą. Pełen zdziwienia, zapytywał Beppa, o czém to niańka tak dużo gada z tym jakimś niewolnikiem?

— Ten którego nazywasz niewolnikiem, a który jest moim sługą, przyjeżdża z kraju two-

jéj niańki; widział tam jéj dziecko, i teraz jéj o niém opowiada.

Wtedy Kałga rzucił się ku Elżbiecie, szarpał ją za suknię, i wołał:

— Chodź! Ty nie powinnaś już myślić o twojém dziecku, kiedy masz *mnie!*

Elżbieta nie fuknęła ani razu, uśmiéchała się tylko smutnie.

— Jak ty możesz być taka cierpliwa? — Szepnęła Ludmiła, któréj ręce drżały na widok małego tyrana.

— A moje «votum»? Wszak my jeszcze nawet niewiemy, czy Jaś napewno jest przy ojcu?

Ach, czemuż to słońce tak prędko zapada? Już Ujgurka daje hasło do powrotu. Trzeba się żegnać..... I to jak? Ledwie można przelotnie rękę sobie podać!

Przechadzki nad Limanem powtarzały się przez dni kilka, zawsze równie ciężkim przymusem ochmurzone. A jednak, jakże ich wspomnienie wydało się promienne, kiedy przyszło i z niemi się pożegnać!

Bo i téj ostatniéj pociechy los pozazdrościł naszym brankom. Kałga zachorował.

Była to choroba dziecinna, małoznaczna, ale Arguna wpadła w rozpacz. Elżbieta musiała dzień i noc siedzieć przy chorém dziecku. Nikt nie mógł wchodzić do namiotu panicza, tylko jego służba i Szamanie.

Kiedy w kilka dni później, Beppo stawił się po odpowiedź, wypchnięto go ze słowami:

— Pani przy dziecku—niéma głowy ani czasu do myślenia o żadnych kupnach.

I znów trzeba czekać. Po jakim tygodniu, zaczęto między Tatarstwem gadać o tym dziwnym targu. W próżniaczém, obozowém życiu, każda nowość jest pożądana, każda wiadomość szybko bieży. Był to piérwszy okup jaki przychodził z Polski. Pomysł podobał się chciwym zwycięzcom. Niejeden Tatar wymawiał swoim brankom, dla czego żaden mąż ani ojciec nie spieszy się z ich wykupieniem?

Ale wiadomość doszła i do Bartolommea. Pewnego poranku, signor Consul każe wołać Beppa. Chłopiec wchodzi z niejaką trwogą. Widzi że brwi u stryja nasrożone.

— Co ja słyszę? Prowadzisz jakieś targi, wykupna? I to wszystko za mojemi plecami?

— To nie ja, stryju; to ten Michele.

— A mówiłem ci, nie wdawaj się z nieznajomemi. Zobaczysz, ten krętacz narobi nam jeszcze jakiego kłopotu. No, ale w każdym razie, mogłeś chociaż mi je pokazać, te sławne klejnoty. Mogłeś mi się zapytać, czy nie zechcę ich nabyć? To mają być skarby jakich świat nie widział. Ja byłbym chętnie ów okup wypłacił pieniędzmi, byle posiąść takie rzadkości, zwłaszcza gdybyś umiał tanio je wytargować. Raz w życiu trafiała ci się sposobność oddania mi przysługi, a ty, mały niewdzięczniku, wszystko przedemną kryjesz! Powiédz-no... może ten Michele ma jeszcze jakie inne klejnoty?

— Niewiem.... wątpię..... — Odrzekł Beppo, i pobiegł do Ludmiły.

— O signora! Stryj dowiedział się o wszystkiém. Gotów nam za bezcen wydrzéć wasze skarby. Trzeba je schować..... schować..... ale gdzie? Bo tu, wszędzie wyszuka.

Beppo zniknął.

Po kilku godzinach, wraca rozjaśniony.

— Schowałem. — Wybornie — między Czarnemi gruzami—w zawalonym lochu. — Ja jeden

je znajdę. Oho! Szanowny stryjaszek nie znajdzie. — A wiécie signora, co mi jeszcze na myśl przyszło, kiedy słuchałem szumienia Limanu? Do waszego kraju łatwiéj nam się dostać morzem niźli lądem. Wracajmy przez Tanę. Przynajmniéj po drodze nie trafimy na żadne wojny. W Tanie znam wszystkich; za wasze klejnoty najmiemy sobie miejsca na jakiéj Genueńskiéj galerze, a choćby i na kaiku, i — prosto do Italji! Wprawdzie na morzach są burze, ale burza lepsza niż Tatarzy.

— O Beppo! Cudny twój pomysł. Byle już z tym okupem skończyć!

Tymczasem w obozie zaszedł wypadek wielki, piorunujący.

Pewnego dnia, wleciał człowiek na koniu obielonym od piany, sam zdyszały, karmazynowy. Stanął wpośród namiotów, i śpiżowym głosem krzyczał:

— Gdzie jest Xiąże Kujuk? Prowadźcie mię do Xięcia Kujuka! Chaan Ogotaj umarł! Wielki Chaan nie żyje!

Powstał ruch niesłychany w obozie.

Tatarzy cisnęli się do posłańca:

– To ty Karganie? Zkądże wiész? Czy być może? Wielkie nieszczęście! Jesteśmy bez Chaana! A kto nastąpi teraz? Kto?

I krzyżowało się tysiąc skarg i pytań, Kargan nie wiedział komu odpowiadać.

Bo to rzeczywiście był Kargan.

Wiadomość o śmierci Chańskiéj spotkała go na wpół drogi do Karakorumu, w chwili gdy opuszczał stare Ujgurskie miasto, Ałmałyk. Wtedy zmienił postanowienie: cały zastęp niewolnic o żółtych zasłonach, (które w téj chwili nie miały już do kogo jechać,) zostawił pod mocną strażą w Ałmałyku, sam zaś dosiadłszy sławnego bieguna, wyprzedził wszystkich innych gońców, i pędził i jeszcze pędził, w nadziei że będzie piérwszym co tę wiadomość przyniesie Kujukowi. A nadzieja uśmiéchała się sutą nagrodą, może wielkiém w przyszłości wyniesieniem, bo synów Chańskich jest kilku, a ten co się najwcześniéj dowié, ten co zdoła braci wyprzedzić, i stronników swoich najszybciéj zgromadzić, ten prawdopodobnie tron osiągnie.

To téż kiedy Karganowi powiedziano że Kujuka niéma już w obozie, Ujgur aż pozieleniał od zgryzoty. Prosił o czarę kumysu, i chciał zaraz, nawet bez popasania, lecić za Xięciem choćby do Baszkirdji.

Ale mu niepozwolono.

Wódz ostatniego Tumanu, wolał dla siebie i dla swoich zużytkować tak wyborną sposobność wkradzenia się w xiążęce łaski. Własnego syna posłał do Kujuka.

Rozczarowany Kargan musiał zostać w obozie. Już mu się też i odechciało wszelkiego jechania. Wracać do Ałmałyku? Z pustemi rękoma, nie warto. Już jeżeli po raz wtóry odbywać tę drogę, to przynajmniéj z powtórnym ładunkiem towaru. To też niecierpliwie wyczekiwał chwili kiedy się pojawią, tak dawno spodziéwane, tak wysoce zachwalane, zastępy niewolnic Węgierskich.

Tymczasem, zły na siebie i na świat cały, chodził od jurty do jurty, od znajomych do znajomych, z jednemi popijając, z drugiemi gawędząc, a wszędzie klnąc, i utyskując że od jakiegoś czasu nic mu się nie wiedzie.

Ludmiła wiedziała że posłaniec przyjechał z wiadomością o śmierci Chaana, ale niewiedziała że tym posłańcem był Kargan. Krążyła śmiało po obozie, przekonana że nikt jéj nie pozna; dotychczasowe powodzenie utwierdzało ją w téj pewności.

Aż któregoś dnia — któż opisze jéj przestrach? — spotyka się z Karganem oko w oko. Drgnęła, spuściła głowę, i przeszła bardzo szybko. Jednakże na skręcie uliczki obejrzała się nie-

co, ażeby sprawdzić czy wzrok jéj nie omylił? Nieba! Cóż dostrzegła? Kargan przystanął, i także ogląda się za nią. Znikła mu niezwłocznie z oczów, ale w duszy Kargana już pozostał zasiew podejrzenia.

O, niepróżno to był kupiec niewolników, najwytrawniejszy oceniacz wszelkich ludzkich kształtów! Poznał zaraz że to jest jakaś osoba przebrana, przeistoczona; pochwycił kobiécość falujących ruchów; zauważył trwogę; wpadł nawet na mętne wspomnienie Ludmiły, bo rysy przechodnia z boku podpatrzone, przypomniały mu profil niewolnicy, ów profil któremu równego nigdy jeszcze nie spotkał. Nadzieja odnalezienia téj nieodżałowanéj zguby, zapaliła go niezmierną chciwością, nadała cel jakiś jego dniom bezczynnym. Chodził po całym obozie, podpytując się i podglądając gorączkowo.

Przez ten czas Beppo wciąż czekał i czekał. Po całych dwóch tygodniach niepokoju, na wiadomość że Kałga jest już zdrowszy, zjawił się znowu przed jurtą Arguny. Tą razą nie wpuszczono go do wnętrza, tylko stara Ujgurka wyszła, i doniosła mu dość uprzejmie, że wiadome klejnoty znajdują się obecnie u pewnego sławnego złotnika, któremu zostały posłane z nakazem ażeby oszacował ich wartość. Jak tylko

wróci człowiek co je tam dziś zaniósł, zaraz pani udzieli ostateczną odpowiedź.

W obozie znajdowało się wielu złotników, szczególniéj z ziem ruskich; Tatarzy byli bardzo chciwi na ten gatunek jeńców; sami nie umiejąc nic wyrobić, a kochając się w złocie i przepychu, gdzie mogli chwytali zręczniejszych kunsztmistrzów, i nawet bardzo łaskawie obchodzili się z niemi.

Beppo sobie pomyślał:

— Tém lepiéj. Złotnik pozna się przecie na tych arcydziełach.

I czekał z wesołą myślą.

Jednak już się kończył trzeci tydzień, odpowiedzi jeszcze nie było. Czas mijał nadaremnie, a teraz już był drogi; za dziesięć dni, karawana kupiecka miała wyruszyć z powrotem do Tany. Beppo zaczynał tracić głowę. Ludmiła niemogła ani jeść ani sypiać, tém straszniéj udręczona, że z obawy przed Karganem nie śmiała się już nigdzie wychylić, a przez to zamknięcie, i spotkania z Elżbietą stały się niemożebne.

Nakoniec, dwudziestego dnia, raniutko, niewolnik Arguny przyleciał do Beppa z rozkazem

ażeby kupiec natychmiast przychodził, ale to «natychmiast.»

— Nasza pani — dodawał — bardzo jest rozgniéwana, powiada że ją haniebnie oszukałeś.

— Ja? Oszukałem? To chyba jakaś omyłka.— Wołał Beppo chwytając kaptur; i biegł za niewolnikiem, zdumiony, ale śmiały w poczuciu swojéj niewinności.

Zastał Argunę w saméj głębi namiotu, pysznie rozsiadłą na złotogłownych poduszkach. Dziś już nie była sama; otaczało ją mnóstwo niewolnic o złośliwych oczach, i niewolników błyskających krzywemi szablami.

Arguna trzymała w rękach kanak.

— A! To ładnie! — Przemówiła z ironją. — Uczciwy z ciebie kupiec! Wszak ta rzecz jest według ciebie złota? Ze szczerego złota? Za taką mi ją dawałeś?

— No, ma się rozumiéć. Znam się przecie na złocie.—Odrzekł Beppo jeszcze niezmieszany.

— A więc patrz: czy to nie miedź najczystsza?

I podsunęła mu pod oczy kanak, z którego rzeczywiście w kilku miejscach złoto było starte, a miedź najwyraźniéj przeglądała.

Beppo oniemiał.

— No, sam widzisz. Aha! Ty panie Włochu myślałeś, że my biédni stepowi ludzie na niczém się nie znamy? I prawda, ja kobiéta łatwowier-

na nie byłabym się poznała, ale szczęściem znam pewnego uczciwego złotnika. Ten tylko spojrzał, zaraz poznał się na waszych sztuczkach.

— Cóż to za złotnik? Jak on się nazywa?

— A! Chcesz wiedzieć jego imię, aby potém, waszym Włoskim zwyczajem, zakraść się i nóż mu wsadzić w serce? Ani myślę gubić poczciwego człowieka co mię ostrzegł.

Beppo przyglądał się kanakowi coraz pilniéj, a razem coraz podejrzliwiéj. Zaczynał wątpić o jego tożsamości; robota mu się wydawała grubsza i mniéj wykończona. W namiocie pozasuwanym wojłokami, panowało pół-światło mroczne i fałszywe, przy którém trudno było dobrze rozeznać drobniejsze przedmioty.

Wyciągnął rękę i chciał wziąć kanak, ażeby mu się przyjrzéć u wyjścia.

Arguna nie dała sobie wyrwać klejnotu.

— Co? Jeszcze nie wierzysz? Zdrada odkryta, a ty chcesz jeszcze udawać? No powiédzcież wy wszyscy, czy to nie miedź? Czy to nie oszustwo?

Niewolnice i niewolnicy podnieśli ręce do nieba i zawołali jakby jeden człowiek:

— Miedź! Widzimy na własne oczy. Zaświadczymy przed każdym sądem. Przysięgniemy przed niebem! Oszustwo godne kary! Najsroższéj kary!

Szczękanie krzywych szabel wtórowało chórowi.

Oczywistość i przemoc stały po stronie Arguny.

Beppo przeżegnał się nabożnie.

— Temu co widzę, — rzekł — niemogę zaprzeczyć. Ale przysięgam — (i ja także przysięgam—) na co chcecie — na głowę dziecka waszego — że o tym fałszu nic a nic nie wiedziałem.

Mówił gwałtownie, ze łzami w głosie, chociaż wątpił aby można przekonać uprzedzonych słuchaczy.

Na wielki podziw Beppa, Arguna złagodniała.

— Nie chcę cie gubić, biédny chłopcze, — bo przecież gdybym się poskarżyła przed mężem, wyginęlibyście co do nogi, ty i wszystkie Włochy jakie są w obozie. Nasi wodzowie pomścili by srodze obelgę wyrządzoną żonie wielkiego Toktysza. Chcę nawet wierzyć że nie postrzegłeś fałszu, — chociaż u kupca taka nieuwaga jest wielce osobliwsza..... No, ale jeśli ty nie oszukałeś, to ciebie oszukał mąż mojéj piastunki. Zacnego ma ta kobiéta męża! Jakże chcesz abym się wdawała w takie zdradne targi?

— Łaskawa, najłaskawsza pani, jeszcze można wszystko ułożyć. Złoto może być fałszywe, ale kamienie i perły nie przestają być prawdziwemi. Dopłacę wartość złota, i rzecz będzie skończona.

— A! Więc jeszcze masz czém dopłacić? Więc nie przyniosłeś wszystkiego co ci na okup dano?

— Nie przyniosłem, i wcale się z tém nie taję że mam jeszcze wiele pięknych rzeczy. Mąż niewolnicy, powierzając mi te klejnoty, wyraźnie powiedział tak: «Co lepsze wybierz na okup, a resztę oddaj mojéj żonie, ażeby miała o czém wracać.» — Ale teraz, kiedy chodzi o wszystko, jestem gotów oddać i tę resztę.

Arguna uśmiéchnęła się dziwnie, i spytała?

— A czy tamte rzeczy są takie ładne jak i te?

— Jeżeli mam być szczery, muszę wyznać że między tamtemi niéma już równie pięknych. Ale za to będzie ich więcéj.

— No, więc idź i przynoś. A spiesz się, bo cała ta sprawa już zaczyna mię nudzić. Kto wié nawet czy się nie rozmyślę? Piastunka dobra— jeszcze nigdy niemiałam tak dobréj—a przytém..... No, zobaczymy.

Beppo wyleciał jak szalony.

Opowiadając Ludmile całe wydarzenie, w głowę zachodził od podziwu.

— Czyby rzeczywiście ten kanak miał być z miedzi? Ależ trudno przypuścić, aby pierwszorzędne kamienie oprawiano w taki podły kru-

szec, i to jeszcze w Bizancjum, gdzie wszystkie roboty bywają zazwyczaj przeciążone złotem? Czyby Arguna kazała podrobić podobną oprawę? Jam sobie to zaraz pomyślał..... Ale cóż? Choćby tak było, my jéj fałszu nie dowiedziemy. U Tatarów zawsze Tatarką będzie miała słuszność. Trzeba tylko co prędzéj dopłacać, ach co prędzéj..... nim się ta straszna kobiéta rozmyśli. Szkoda że nasze skarby tak daleko! Nim tam pójdę—nim upatrzę chwilę w któréj by mię nikt nie szpiegował — nim tu powrócę — noc gotowa zapaść, i już mię do namiotu Arguny nie puszczą.....

— Ach Beppo, i ja pójdę z tobą. Paczki są ciężkie, będę ci pomagała. Zresztą ja tutaj, nie wytrzymam..... uschnę z niespokojności.....

— Nie signora, nie narażajcie się na próżno. Gotów nas jeszcze spotkać ów kupiec niewolników, którego się tak boicie. Zostańcie, błagam!

Została więc,—a dla zabicia czasu, dla omylenia swojéj niecierpliwości, postanowiła że aż do powrotu Beppa, zajmie się pakowaniem różnych drobnych, wybrakowanych towarów, co przy bliskim wyjeździe karawany, stawało się coraz potrzebniejszém.

Ale signor Bartolommeo, który Michela często wyprawiał z posyłkami, (bo nielubił żywić nikogo za darmo,) dziś także, jakby na przekorę,

kazał jéj odnieść jakieś zawiniątko, i to «zaraz», i to daleko, aż na drugi koniec obozu.

Ludmiła wyszła, drżąc, spuszczając głowę. Uwinęła się prędko i szczęśliwie.

W powrocie, już była na połowie drogi, już się przemykała mimo namiotów Arguny, kiedy w niejakiém oddaleniu, w gromadce rozmawiających ludzi, spostrzegła—Kargana.

Stał właśnie na jéj drodze.

Gdzie się skryć przed tém straszném okiem? Spojrzała w około siebie rozpaczliwie.....

Jurta małego Kałgi stoi tuż, o trzy kroki..... wejście na wpół odchylone..... a w jurcie — o szczęście! niéma nikogo prócz Elżbiety. Siedzi samiuteńka i cóś szyje.

Cudowna myśl! Wbiedz tam i przeczekać aż ów Kargan przejdzie.

Wbiegła cichuteńko, i zapuściła za sobą zasłonę.

Mały zdrajca.

Piérwszy raz były same, zupełnie same. Jedna drugiéj rzuciła się w objęcia. Zaczęły rozmowę szybką, rzewną, gwałtowną choć przyciszoną, przerywaną łkaniami i uściskami, bardzo ostrożnemi, bo Ludmiła zawsze się lękała o swoją nieszczęsną maskę. Ale już teraz niepodobna wszystkiego sobie bronić. «Uściskajmy się! Nagadajmy się!» Elżbieta ją całuje po ramionach, o zgrozo! chce ją całować po rękach.

— Moja ty wybawicielko! Moja Opatrzności! Uratowałaś mi Jasia! Aleś ty niedobra..... niegodziwa..... Jakżeż można było saméj przyjeżdżać, narażać się dla mnie? A gdyby téż cię kto poznał?

— Elżuniu, po co tracić czas na wymówki? Wszystko się udało, już tylko Beppo wróci z dopłatą, a jutro, może dziś jeszcze będziesz wolna!

— Więc Arguna przystaje? To dziwne..... mnie się wydawało że ona nigdy nie przystanie.

— Owszem, wyraźnie powiedziała: «Dopłaćcie.» Niech tylko Beppo przyniesie te inne klejnoty, już wszystko ułożone..... wracamy przez Tanę, przez morze.....

— Ach ten Beppo, — zawołała Elżbieta, — jakiż to szlachetny człowiek! Bez żadnéj nagrody, poświęca się, naraża, dla nas nieznajomych! Moja Ludko, ty jakoś nie dosyć oceniasz jego zasługę.

— Owszem, oceniam. — Odrzekła Ludmiła odwracając głowę.

Dotąd jeszcze nie wspomniała o nagrodzie obiecanéj dla Beppa. Ach, Elżbieta i tak się dosyć gryzła jéj powrotem, cóżby to było gdyby poznała całą rozciągłość ofiary?

— Owszem, oceniam..... ale nie traćmy téj chwili jedynéj, mówmy lepiéj o Jasiu.

— Ach tak! Musiałaś biédaczko miéć z nim dużo kłopotu przez drogę? A mówił téż o mnie?

— Ach, ciągle.

I Ludmiła zaczęła opowiadać różne przygody podróży, przytaczała każde słówko Jasia, wszystko bez wytchnienia, po dawnemu. Raz przecie mogła porzucić owo nieznośne jąkalstwo, raz przecie nikt jéj nie podsłuchiwał.

Myliła się, — był ktoś co ją podsłuchiwał. Mały Kałga, bawiący się w pobliżu jurty budo-

waniem kopców, podchwycił z niéj swoim bystrym dziecinnym słuchem, jakieś szmery niezwykłe, i które mu się wydały niewytłumaczone. Ludmiła, wsuwając się nieznacznie, uszła jego oka. Wiedział że cała służba jest zebrana w namiotach matki, gdzie ojciec wybiéra się do drogi. Wiedział że w jego paniczowskim namiocie piastunka pozostała sama, z kimże więc może rozmawiać? I to tak długo, tak szybko, ona co zwykle mówi trzy słowa na godzinę?

Niby wygarniając piasek, podpełznął ku namiotowi, położył się cały na ziemi, czarną główkę wsunął nieco pod wojłok, i zajrzał.

Zdumiał się niezmiernie: ów chłopiec który to służy u tego kupca Włocha, siedzi przy jego piastunce, i otacza ją tkliwém objęciem. Co dziwniejsze: ów chłopiec który nie umiał dwóch słów gładko skléić, teraz mówi jasno, pręciuteńko, głos jego szemrze bez ustanku jakby płynąca woda. Obie osoby siedzą odwrócone od dziecka, niewidzą go wcale. Oto zamieniły uścisk bardzo gorący, i zaczynają szeptać coraz ciszéj.

Kałga zrozumiał z tych głosów, z tych ruchów, że jest między niemi jakaś tajemnica. Ostrożnie wycofał głowę, i przemyśliwał jakiby tu figiel wyciągnąć ze swego odkrycia? Chciał przynajmniéj pochwalić się przed kimkolwiek, że i on umié robić odkrycia.

Z instynktem wrodzonéj złośliwości, sko-

czył ku stojącemu w pobliżu Karganowi, skinął i szepnął:

— Chodź-no, pokażę ci cóś..... Ten chłopak co to nieumiał gadać, (wiész? ten od Włocha z brzękadłami,) teraz gada, gada bez końca, zupełnie jakby moja matka

I ciągnął Ujgura za połę od kożucha.

Kargan, niemogąc go się pozbyć, postąpił za nim kilka kroków, a że ciągle był zajęty owém niedawném zagadkowém spotkaniem, więc i teraz pomyślał sobie: «Kto wié? Może jestem na tropie?» I rzucił się skwapliwie do zbadania sprawy.

Między wojłokami okrywającemi namiot, były szpary, wprawdzie bardzo wązkie, jednak dla Karganowego oka dostateczne. Spojrzał, posłuchał, uderzył się w czoło, pogłaskał dziecko, mówiąc:

— Dziękuję żeś mi to pokazał, to istotnie bardzo zabawne.

I odszedł na bok.

Dzieciak, rozdąsany że jego odkrycie tak mało sprawiło wrażenia, nadął się i zaczął sypać nowe kopce.

Niedługo, Ludmiła wyszła z namiotu. O kilka kroków daléj, Kargan zaczepił ją z przymi-

lającym się uśmiéchem, i przemówił na pół z włoska, na pół ze słowiańska:

— Michajlo..... Wszak nazywacie się Michajlo? Wszak jesteście z Tany? Słyszałem że chcecie wykupić niewolnicę Arguny? Bardzo piękne przedsięwzięcie. Może byście téż i odemnie kogo wykupili? Mam dużo niewolnic. Doprawdy zazdroszczę Argunie tak wybornego targu.

I szedł koło niéj, na krok nie odstępując. Ludmiła zebrawszy całą przytomność umysłu, nie okazała pomieszania które w piersiach jéj biło młotem, z wybornem zająkiwaniem się, wycedziła kilka chłodnych, niewyraźnych odpowiedzi, i miała nadzieję że tym obojętnym spokojem zniechęci natręta, a nawet może rozproszy jego podejrzenia. Ale kiedy przechodzili przed namiotem Kargana, ten przystanął, porwał ją w żelazne objęcia, pasem swoim, już naprzód rozwiązanym, zacisnął jéj usta, i ledwie wydała jeden krzyk przytłumiony, już uniósł ją do swego namiotu.

W obozie Tatarów, bicie i branie ludzi za kark, było rzeczą tak zwyczajną, że nie zwracało niczyjéj uwagi. I teraz, ani Kałga ani Elżbieta, nie spostrzegli tego porwania.

Tymczasem Kargan, w namiocie, powrozem związał ręce Ludmiły, mocno, bardzo mocno,

i białą chustę przeciągnął kilka razy po jéj twarzy. Włoskie farby zostały na chuście. Wtedy wybuchnął śmiéchem, rad i dumny ze swojéj przenikliwości, spojrzał na Ludmiłę z tryumfalném naigrawaniem, poczém klasnął w ręce. Wnet wbiegło kilka wysokich, krzepkich, kościstych kobiét. Były to Ujgurki, używane do obłaskawiania zbyt krnąbrnych niewolnic, zręczne i bezsercowe jakby dozorcy menażerji.

Kargan, dawszy im kilka objaśnień w swoim niezrozumiałym języku, wyszedł z namiotu.

Kobiéty przyniosły misę gorącéj wody, i żelazne obcęgi, do czerwoności rozpalone. Ludmiła, przekonana że ją Kargan za jéj ucieczkę skazał na jakieś męki, westchnęła do Boga o męztwo, i zawiązanemi ustami szeptała przedśmiertny pacierz.

Ale nie chodziło tu o żadne męki. Kobiéty przystąpiwszy uprzejmie, zaczęły z wielkiém staraniem i lekkością, obmywać jéj twarz, ręce i włosy.

Tak,—spełniały to wszystko uprzejmie i zgrabnie. Ale kiedy Ludmiła pojęła z przestrachem, że chodzi o przywrócenie jéj dawnéj postaci, i chciała się bronić od nieproszonych usług, wtedy kobiéta trzymająca obcęgi, zaczęła każdy jéj ruch ukrócać tą straszliwą bronią. Jeszcze jéj nie dotykała, jeszcze nie parzyła, ale syczące żelazo zbliżało się kolejno to do jéj oczów, to do ra-

mion, aż Ludmiła, zrozumiawszy szaleństwo oporu, zapadła w zupełną nieruchomość. Wnet pod ręką mądrych służebnic, jéj cera pokazała się w dawnym blasku, włosy odzyskały sobolowe połyski. Przyniesiono przepyszny strój niewolnicy. Trzewiczki Chińskie ze złotemi noskami, chałacik Perski w srebrne i niebieskie kwiatki, po wiérzchu krótszy kaftanik różowy, a na to wszystko ogromny, ze złotéj tkanki, przezroczysty welon, który ją owinął jakby obłok światła. Ręce jéj związały, już nie powrozem, ale sznurem jedwabnym purpurowym, zawsze pod groźbą żelaza posadziły ją na jedwabnych poduszkach, wyniosły wszystkie swoje przyrządy, i znikły, — a w téjże chwili Kargan znów stanął przed Ludmiłą.

— Powinien-bym cię zabić,—odezwał się bezdźwięcznym, śledczym głosem,—bo nietylko sama mi uciekłaś, ale uwiodłaś mego najlepszego sługę, psa Wasyla,—a co gorzéj, zabrałaś mi to dziecko ze złotemi włosami, cudowne dziecko, za które byłbym dostał może jeszcze więcéj niżeli za ciebie. Powiédz mi gdzie podziałaś to dziecko, a wszystko ci daruję.

Ludmiła po raz piérwszy podniosła na niego oczy, a były pełne szyderczéj radości.

— To dziecko? Już go nigdy nie zobaczysz. Już jest za górami, za morzami. Nigdy!

Kargan przygryzł sobie usta.

— Okradłaś mię—haniebnie—powinien-bym cię zabić—ale nie mam ochoty tracić twojéj ceny — śmiercią za szybką znów byś mię okradła z twojéj własnéj wartości—bo masz jeszcze wartość niepoślednią. Wielkiemu Chaanowi już cię niemogę ofiarować, bo niewolnica która uciekała, która żółtą zasłonę zdarła, już niegodna jest Chańskiego oka. Przytém, Wielki Chaan umarł, może nie zaraz będzie nowy, — ale jeszcze cię dobrze sprzedam,—któremu z xiążąt, albo przynajmniéj z wodzów.

Mowa Kargana była dotąd spokojna. Radość z odzyskania kosztownéj zguby, miarkowała jego żal pierwotny. Ale w téj chwili spostrzegł krótkość włosów Ludmiły. Krzyknął głosem pełnym niekłamanéj boleści, odchylił nieco złoty rąbek, i przekonawszy się na żywe oczy że pysznych splotów niéma, wybuchnął najwyższém uniesieniem. Ta ostatnia kropla przepełniła miarę jego gniéwu.

— Gdzie są twoje warkocze? Co ty zrobiłaś z warkoczami? A przecież to była twoja największa ozdoba? Niegodziwa kobiéto, czyż ty niewiedziałaś że one już są moją własnością? Jak można rozporządzać się cudzą własnością? Okradła mnie, jeszcze i w tém nawet! Powiédz, gdzie te włosy? Co ty z niemi zrobiłaś?

Ludmiła uśmiéchnęła się wzgardliwie.

— Choćbym ci powiedziała co z niemi zrobiłam, to mi warkoczy nie przywróci. Obcięłam je, aby mię nie poznano.

— Obcięła! Takie włosy obcięła! A toż trzeba nie miéć serca, nie miéć litości. To nawet nieprawda. Przyznaj się: ty nie dla tego je obcięłaś aby cię nie poznano, bo i tak przecież zaraz cię poznałem, ale po prostu ze złośliwości kobiécéj, aby mnie biédnemu dokuczyć. O! poczekaj, potrafię i ja ci się odwdzięczyć. Pomyślmy, czém-by jéj tu dokuczyć? A! Już wiem..... Sprzedam cię Kajkułowi. To śliczny i miły człowieczek, słyszałem że co trzy dni nową niewolnicę zabija. Będziesz miała trzy dni ładnego życia, a potém ładną śmierć. A ja swoją drogą wezmę sutą cenę. Cóż ty na to? Gadaj-że, bo aż złości biorą na twoją nieczułość.

I chwycił ją za ramię, i trząsł niém, ale ostrożnie. Miotany dwoma uczuciami, wielką miał ochotę zdruzgotać ją na miejscu, a żal mu było zepsuć drogi towar.

Na wspomnienie Kajkuła, Ludmiłę przeszły ognie. Ale zamknęła trwogę w głębi duszy, i z dumném spojrzeniem odrzekła:

— Rób co chcesz. Jest Bóg na niebie, który wszystkich sądzi.

— A! Toś ty taka? Ty należysz do tych niewolnic które wzdychają za śmiercią? Trzeba

ci czém inném dokuczyć..... Pomszczę się ja nad temi kupcami co cię przechowywali.

Ludmiła zlękła się o Beppa, jednak zdołała przemódz trwogę, i udając obojętność, odpowiedziała:

— Rób co ci się podoba, ale twoja zemsta będzie niesłuszną, bo ci kupcy nic nie wiedzieli, ani że jestem niewolnicą, ani że uciekłam. Ich oszukałam tak samo jak i drugich. Zresztą..... zemścisz się czy nie zemścisz, co mię to obchodzi?

Kargan wpatrywał się w nią badawczo. Istotnie, na twarzy jéj nie dostrzegł żadnego wzruszenia, i powtórzył:

— Tak..... to ją nie obchodzi..... Czém-by jéj tu dokuczyć?

Nastała chwila milczenia.

Nagle, założył ręce na piersiach, przystąpił i zawołał:

— A ta druga niewolnica, ta którą chciałaś wykupić, czy także cię nie obchodzi?

Ludmiła wyjąknęła niewyraźne «także....» i chciała raz jeszcze okazać obojętność. Rzeczywiście, rysy jéj ani drgnęły, ale nad burzą wewnętrzną niemogła zapanować, cała krew uderzyła jéj do głowy,—zaczęła się mienić.

— O! Zkąd ci ten rumieniec? Dotąd byłaś blada jak nieboszczka. Aha! Trafiłem ci nako-

niec w samo serce. Może to twoja siostra. Twoja siostra? Musi cię bardzo obchodzić, kiedy aż wróciłaś aby ją wykupić. I będzie wykupiona, ja teraz ją kupię od Arguny, i sprzedam także Kajkułowi, i poproszę aby ją zabił pierwéj niż ciebie, w twoich oczach..... O! Ten człowiek umié się pastwić.

Ludmiła stanęła na równe nogi, i usiłując złożyć spętane ręce, prosiła głosem krótkim, konwulsyjnym:

— Człowieku! Czy ty nie pamiętasz twojéj matki? Czy ty niémasz córki? Siostry? Czy ty niewiész co to jest kochać kogo? Zmiłować się nad kim?

— Dobrze, dobrze, proś, czołgaj się przedemną, tego chciałem, i to wszystko nic nie pomoże.

— O Karganie! Nademną mścij się ile chcesz, ja ci rzeczywiście zawiniłam..... Ale za cóż tamta ma cierpiéć? Przecież ona niewinna?

— Ja wiém że niewinna, i gdyby nie ty, nic bym jéj złego nie zrobił, ale widzę że to ciebie boli, a ja chcę tobie dokuczyć. Nie naprzykrzaj mi się, nie proś darmo, nie przebaczę ani tobie ani tamtéj, chyba..... chyba że mi oddasz to dziecko.

Ludmiła nagle zamilkła, przestała błagać, potoczyła do koła wzrokiem szukającym zbawienia.

Do koła wisiały tylko czarne, pilśniowe ścianki; ale przez otwór zostawiony dla przepuszczania światła i powietrza, dojrzała jurtę Ajdara, stojącą naprzeciwko, ledwie o kilkanaście kroków. Zapona wejściowa była tam odsunięta; w głębi jurty, na bogatéj sofie, Ajdar siedział z oczami w dłoni ukrytemi.

Błysła jéj myśl ostatniego ratunku.

— Ten człowiek przecie będzie litościwszy? Może nas obroni?

Ręce miała związane, ale nogi wolne. Niespodzianie wionęła między wojłokami, jednym rzutem rozpaczy przebiegła przestrzeń dzielącą obie jurty, i sama prawie niewiedząc kiedy, znalazła się w namiocie Ajdara.

Między krogulcem a sokołem.

Jéj ruch, jéj ptasi wylot, był tak niespodziany, że Kargan przetarł oczy, zapytując, jaki duch złośliwy oślepia go i łudzi?

Po chwili poznał że to nie złudzenie. Roześmiał się na całe gardło.

— Jaka ona zabawna! Myśli że jéj niedogonię, że jéj nie znajdę w naszym własnym obozie.

I drapieżnym rozpędem wyskoczywszy z jurty, obejrzał się na wszystkie strony.

Ale kiedy zobaczył Ludmiłę w namiocie Ajdara, klęczącą błagalnie przed uśmiéchniętym Behadyrem, stracił nieco na śmiałości. Ujgur w obec Mongoła był zawsze wylękniony. Zmieszał się jeszcze bardziéj, kiedy zobaczył że Ajdar wyciąga rękę nad głową Ludmiły.

Był to u Tatarów znak święty, była to przysięga niezłomnéj obrony. Gość, którego głowę gospodarz okrył swoją ręką, mógł odtąd

spać spokojnie, choćby miał najzaciętszych wrogów. Nie potrzebował już nawet myślić o swojéj obronie; przysięgły obrońca myślał odtąd o wszystkiém, poświęcał dla niego mienie, rodzinę, krew, życie.

Jeśli Kargan zdziwił się zniknięciem Ludmiły, Ajdar nie mniéj się zdumiał jéj nagłym widokiem. Przekonany że na wieki jest dla niego stracona, że już dawno ku stolicy jedzie pod świętym żółtym rąbkiem, usiłował o niéj zapomnieć, a niemógł.

Niemógł się pocieszyć po téj brance, a zwłaszcza po wstydzie jaki go spotkał. Kajkuł się nad nim zemścił, Kajkuł go upokorzył, i niemożna było nawet skarżyć się na tę zemstę, imię Wielkiego Chaana czyniło ją nietykalną.

Właśnie nad tém gorzko przemyśliwał, kiedy gwałtowny szelest, niby wlatującego ptaka, zbudził go z zadumy. Podniósł oczy i oniemiał. Zapytywał myślą, czy jaki duch litościwy chce go pocieszyć ułudnym obrazem, czy téż duch saméj Ludmiły stanął przed nim w pośmiertnym kształcie?

O, bo w tym cudnym stroju, w tym złotym obłoku, w tym purpurowym blasku rozpaczliwego rumieńca, mogła się wydać nadludzkiém widzeniem.

Padła na kolana, podniosła związane ręce, i zawołała mieszaniną wyrazów Polskich, Ruskich i Tatarskich:

— Dobry człowieku! Obroń nas! Mnie, i tę drugą brankę co jest u twego brata, wiész? tę z którą mię łączy Anda, broń nas! Kargan, ten nielitościwy Kargan, chce zgubić i mnie i ją, chce wydać nas Kajkułowi!

Ajdar widząc jéj ręce spętane, słysząc głos drgający rozpaczą, poznał że to nie złudzenie, że to najprawdziwsza rzeczywistość, i ogarnął go zawrót szczęścia.

Wyciągnął rękę nad jéj głową.

— Uspokój się, biorę cię pod moją obronę, ciebie i kogo tylko zechcesz. Obronię cię, choćby mi przyszło pół świata zniszczyć i wyrznąć.

To rzekłszy, wpatrzył się w nią z upojeniem, i nietylko krew jego zawrzała, ale serce jego uderzyło.

I Mongoł jest człowiekiem. Ajdar wychowany wśród mordów i gwałtów, nieznał innego społeczeństwa, jednak nieraz marzył o inném, roił sobie jakieś życie dziwne a szczęśliwsze. Przymusowa uległość branek niecierpliwiła go, i doprowadzała do niewytłumaczonych gniéwów. Pośród najpiękniejszych niewolnic, tęsknił, sam nie wiedział za czém? On tęsknił za wolném, dobrowolném uczuciem.

To téż teraz, kiedy owa branka którą najwięcéj upodobał, któréj tak serdecznie żałował, nie sprowadzona przez nikogo, ale sama, z dobréj woli, wbiegła do jego namiotu,—kiedy z całego

obozu wybrała właśnie jego namiot, — z pomiędzy tylu walecznych co mogli ją obronić, wybrała właśnie jego, Ajdara,—uradował się aż do zmieszania. Ten wybór pochlebiał jego miłości własnéj, urzeczywistniał poniekąd jego najskrytsze marzenia. Raz nakoniec, dostrzegł w kobiécie błysk nienakazanéj życzliwości.

Nie zastanowił się, czy wybór uczyniony pod grożącém niebezpieczeństwem, jest wolnym, prawdziwym wyborem? Niechciał się zastanawiać, niechciał téj sprawy zgłębiać, — wolał uwierzyć że go choć troszkę polubiono, i uśmiéchnął się do Ludmiły—i do samego siebie.

Tymczasem Kargan stanąwszy u wejścia namiotu, wołał:

— Niech Behadyr nie słucha téj niegodziwéj kobiéty, ona mnie oszukała, ona mnie okradła.

— Milcz! -- Zagrzmiał głos Ajdara. — Milcz psie Ujgurze, i nie waż się przestąpić mego progu. Ja więcéj wierzę téj niewinnéj gołąbce niż tobie. Każdy Ujgur to wąż.

Ludmiła ośmielona powstała.

— O tak, możesz mi wierzyć. Ten straszny człowiek chciał, mnie i tę drugą brankę, sprzedać Kajkułowi.

Już po raz wtóry imię Kajkuła obijało się o słuch Ajdara. Nagle, związał myśli, zrozumiał

że tu będzie mógł nasycić nietylko miłość lecz i zemstę, i oczy mu zapałały podwojonym ogniem.

Kargan czuł że zdobycz z rąk mu się wyślizga. W przystępie rozpaczy wszedł do namiotu, i skradając się ku Ludmile, wołał:

— Ależ ja ją muszę odebrać, ona mi uciekła!

Ajdar zerwawszy się w najwyższym gniéwie, zaczął krzyczéć głosem strasznym, prawdziwie Mongolskim:

— I miała świętą słuszność, bo przeznaczona była dla Wielkiego Chaana, a nie dla jakiegoś Kajkuła! Kto ci pozwala sprzedawać ją Kajkułowi? Kto Kajkułowi pozwolił ją kupować? To wy okradliście Wielkiego Chaana—okradliście i mnie. Ja ustępuję pokornie jak dziecko, przekonany że ustępuję memu władcy, a wy tymczasem we dwóch knujecie spiski! O, to zdrada, za którą ciężko odpowiécie, ja wam obu tego nie zapomnę. Teraz idź precz pókiś żywy, ta branka tu przyszła, i zostanie.

Kargan był zbity z toru, zatrwożony. Prosty rozsądek nakazywał szybkie ustąpienie z placu. Jednak chciwość jeszcze raz przemogła. Trzęsąc się od strachu, przystąpił i błagał:

— Dobrze, niech zostanie, ale wy zacny Behadyrze zapłacicie mi za nią choć cóśkolwiek? Przecież niechcecie mojéj krzywdy?

Złe miał natchnienie Kargan. W cierpliwosci Ajdara przebrała się miarka. Głosem ochrypłym od gniéwu, zapytał:

— A! chcesz jeszcze abym ci zapłacił? Dobrze, zobaczysz jak ja ci zapłacę.

Wydobył kindżał, chwycił Kargana za ramię, i w gardle mu żelazo utopił.

Kargan dziwnie odchrząknął —runął—struga krwi plusnęła z jego szyi.

Każdy inny, zabiwszy człowieka, byłby choć na chwilę się zmieszał, choć przez chwilę się zastanowił, — Ajdar, jako prawdziwy Mongoł, obtarł kindżał o pilśniową ścianę, i z najpromienniejszym uśmiéchem przystąpiwszy do Ludmiły, mówił:

— Widzisz jak ja bronię. Tak zabiję każdego coby ci źle życzył. O! Boś ty dobra, moja śliczna gołąbko, ty przeniosłaś mię nad wszystkich. Nieprawdaż? Ty mię przenosisz nad wszystkich? Nawet.....

W téj chwili się zatrzymał — głos jego zadrżał jakby przed świętokradztwem. Jednak dokończył:

— Nawet nad Wielkiego Chaana? Milczysz? O rozumiem, skromność niewieścia zawiązuje te różane usta. I po co mają mówić? Czyż samo twoje przyjście nie mówi sto razy więcéj niżeli wszystkie słowa?

Ludmiła nagle pojęła straszną jego pomyłkę. Jednak, człowiekowi co i ją i Elżbietę wy-

bawił od ostatniéj zguby, godziło-ż się, zamiast podzięki, rzucić te gorzkie wyrazy: «Mylisz się, ja cię niecierpię.»

Milczała, rozmyślając jak zażegnać nowe niebezpieczeństwo?

Ajdar tymczasem rozwiązywał jéj ręce.

— Widzisz moja prześliczna, u nas niewolnica musi być albo zdobyta, albo kupna. Ja cię raz już dawniéj zdobyłem, teraz cię kupiłem krwią tego człowieka. Jesteś wywalczona prawdziwie po Behadyrsku, po Mongolsku.

Ludmiła zakładając ręce na piersiach, odrzekła z podniesioną głową:

— Ja? Mam być niewolnicą? Nigdy.

Spojrzał na nią z podziwem i z uśmiéchem.

— O! Taka harda gołąbka? To dobrze, to dowód że się nie boisz Ajdara. Ty pierwsza się nie boisz. Niechże stanie się według woli twojéj. Wezmę cię za żonę.

Patrzył, oczekując na rozradowanie, i na wykrzyk wdzięczności za ofiarę, wspaniałą wedle jego pojęć, dla prostéj zawojowanéj branki. Ale ofiara wcale jakoś nie wzruszyła Ludmiły.

Ta, brwi zmarszczywszy, powiedziała sobie w duszy:

— Lepsza śmierć. Ten człowiek przecież nie będzie mścił się na Elżbiecie? On w gruncie szlachetny. Postawię mu warunki niemożebne, rozgniéwam go, zabije mnie i wszystko się

skończy. Elżbieta, wykupiona przez Beppa, powróci do Polski, odnajdzie swego Jasia, a ja będę z lepszego świata na nich spoglądała.

Tak sobie ułożywszy całą przyszłość, przystąpiła śmieléj do Ajdara, i rzekła:

— Dobrze — zostanę twoją żoną — ale stawiam ci warunek — dwa warunki: że będę żoną jedyną, i że weźmiesz ze mną ślub Chrześciański.

Skończywszy, czekała na wybuch śmiertelnego gniéwu.

Ajdar wcale nie wybuchnął.—Zarumieniony, przyciął sobie usta. Potém się uśmiéchnął jakoś dziwnie, dwuznacznie.

— Dobrze, — odpowiedział — i na to przystaję.

Ludmiła nie chciała uwierzyć.

— Jakto? Będę twoją żoną jedyną, i po Chrześcjańsku?

— Tak..... po Chrześcjańsku..... jedyną.

Ten zwrot wypadków zmieniał wszystko. Ludmiła zkamieniała.

Behadyr klasnął w ręce. Sługa się pokazał.

— Wołać mi tu Ojca Gedeona. Niech przyjdzie zaraz, i dobrze ubrany, bo ma ślub dawać po swojemu.

Sługa wyszedł. Ludmiła zapytała:

– Tak zaraz, dzisiaj, ślub?

— A na cóż mam czekać? Aby jeszcze kto mi ciebie porwał? Już dość długo czekałem.

Ludmiła czuła że przytomność zaczyna ją opuszczać. Czepiając się ostatniéj przyczyny oporu, zapytała:

— A czy ty jesteś chrzczony?

— Ja? Może być. Nie pamiętam. Bardzo może być że już i tego próbowałem. Twoja wiara bardzo jest potężna, nie chcę jéj ubliżać, ale inne nie gorsze. Jeden Bóg dla wszystkich.

To zdanie mogło ostatecznie odepchnąć Ludmiłę. Szczęściem dla Ajdara, niewiele już rozumiała. Zanadto przestrachów i ciosów uderzyło na nią w dzień jeden. Zamęt powstawał w jéj głowie.

W téj chwili weszli inni słudzy. Sprzątnęli zwłoki Ujgura, ale struga krwi pozostała w pośrodku namiotu.

Niedługo pokazał się staruszek maleńki, siwiuteńki, z rysami podobnemi do pyszczka łasicy, ubrany cóś jakby po xiężemu; wprawdzie, niebył to ubiór xięży Polskich, niebył to strój obrządku wschodniego, niebyła to żadna z szat kapłańskich jakie Ludmiła kiedykolwiek widziała; jednakże płaszcz ten zakrawał na ornat, i to ornat suty, pozłocisty, wyraźnym krzyżem naznaczony. W rękach staruszek trzymał wstęgę

szkarłatną, na któréj także jaśniały krzyżyki, ponaszywane złotem i perłami.

Skłonił się Behadyrowi bardzo nizko. Pan młody wziął Ludmiłę za rękę, i stanął z nią przed kapłanem. Ten mruczał modlitwę długą, jednostajną, w niezrozumiałym języku,—szkarłatną wstążką niby stułą związał ręce osobliwszéj pary, węzłowato ich pobłogosławił, dał im krzyżyk do pocałowania, i skłoniwszy się jeszcze niżéj, wyszedł z najśliczniejszym uśmiéchem.

Panna młoda, przez cały czas tego obrzędu, myślą nieprzytomna, duszą nieobecna, idjotycznie łamała sobie głowę, dla czego w stopy jéj tak ciepło? A to miękkie, Chińskie trzewiczki, przemakały od krwi Kargana.

Kiedy staruszek odszedł, Ajdar odprowadził ją do sofy, na któréj siadła pół-bezwiednie. Siadł także, i ozwał się z uśmiéchem:

— No, teraz powinnaś być zadowolona: zaślubiłem cię wedle twojéj wiary, i będziesz mogła aż do śmierci żyć i modlić się wedle twojéj wiary.

Te słowa rozbudziły Ludmiłę. Nieco wzruszona, a jeszcze niedowierzająca czy to wszystko jest prawdą,—zdumiéwała się nad tym dziwnym człowiekiem, nad tym dziwnym obrzędem, i nad dziwniejszym swoim losem.

Po chwili, namiot zajaśniał czerwonawą łuną.

Weszła gromada niewolnic, o smagłych wschodnich rysach, o czarnych roztrzęsionych włosach, o wązkich szatach, nasianych mnóstwem szkiełek i monet. Dwie z pomiędzy nich, stanęły przy ścianach, trzymając pochodnie, które migotliwie rozpraszały mrok zapadający. Trzecia siadła na ziemi, wzięła krągławą, krótko-szyją bańdurkę, i wnet metalowe struny syknęły pod jéj palcami jakby iskry. Inna niewiasta wniosła niziuchny stoliczek z wieczerzą, którą postawiła przed nowożeńcami, inna jeszcze wniosła koszyk pełen kwiatów.

Nakoniec weszło sześć niewolnic przybranych wedle modły zachodniéj, w purpurowe gorsety, pasiaste spódnice, i złotem wyszywane fartuchy; musiały to być Rusinki, bo miały cerę białą, włosy ruse, opadające długiemi splotami, a w oczach wyraz niezmiernego smutku. Te, wziąwszy się za ręce, zawiodły taniec przeciągły, i przy dźwięku bańdurki zaśpiéwały:

Gdzie moja drużka? Gdzie mój bohdanek?
Sama nad wodą płacząca stoję.
Z wodą popłynął mój złoty wianek,
Mój wianek i szczęście moje!

I śpiéwając, rzucały na Pannę młodą blade kwiaty stepowe.

Rozbudzona tą muzyką, tym aromatem, Ludmiła znów oprzytomniała.

— Jednak, on zbawił Elżbietę od strasznéj śmierci. Jednak on mi ustąpił we wszystkiém czego tylko zażądałam. Ach, może ja potrafię go polubić?

I zwróciła ku niemu oczy. Był istotnie piękny jakby sama waleczność, i patrzył na nią z roztkliwieniem podobném do miłości.

Na nieszczęście, w téj chwili właśnie, rękami ujął naczynie do kumysu o dwóch szyjkach, i usta ku niemu przytknął. Ten ruch, ten kubek, przypomniały jéj chwilę, kiedy piérwszy raz jéj się przedstawił w uczcie najezdniczéj, wśród rabunku Iłży. Wzdrygnęła się, odwróciła głowę, i już więcéj w tę stronę nie spojrzała.

Mongołowi wystarczało to milczenie, które kładł ciągle na karb najśliczniejszéj, niewieściéj skromności. Popijając kumys i wpatrując się w nią, myślał sobie:

— Jaki ja szczęśliwy! Otrzymałem skarb, którego Wielki Chaan niemógł się doczekać, którego zdrajca Kajkuł nieumiał sobie zdobyć. Oto Wielki Chaan już palcem nie ruszy, Kajkuł niedługo będzie wisiał, a ja patrzę na moją gołąbkę.

I uśmiéchał się coraz wdzięczniéj, a zwrotki tanecznéj dumki odzywały się coraz tęskniéj, morze im wtórzyło zdala głuchemi wystrzałami, xiężyc krył się i pokazywał z po-za wązkich obłoków, których cienie przelatywały po stepie jak widma.

Tak się odbyło wesele pięknéj Ludmiły.

Dziwne pocieszenia.

Tymczasem Beppo biegł od «czarnych gruzów», zdyszały, obładowany. Już noc zapadała kiedy stanął u namiotów Toktysza i jego małżonki.

Tu go czekało pierwsze uderzenie piorunu.

Stara Ujgurka wyszła z twarzą smutną, i po chwili zakłopotania, rzekła:

— Nasza pani odmieniła myśl..... Już niechce waszych klejnotów. Powiada że woli piastunkę. Za żaden okup jéj nie odda.

Beppo z początku stanął porażony.

Po chwili jednak ochłonął. Jeszcze chciał próbować namowy, próśb, schlebiania, wszystkich dróg serca i rozumu.

— Ja nie odejdę..... Moja zacna niewiasto, poproście waszéj pani! Wy macie wielki wpływ na nią. Ja to wiem—wszyscy to wiedzą, że wy

macie wielki wpływ na nią, bo z was niewiasta mądra i miłosierna. Ulitujcie się nad tą biédną matką, nad tym mężem co tam dnie rachuje, nad dzieckiem co zostanie siérotą. Szepnijcie parę słówek waszéj pani, a ręczę..... no, przysięgnę, że da się namówić. Nie dziś, nie jutro, to pojutrze -- albo i za tydzień. Kobiéty łatwo zmieniają zdanie. Zróbcie to, a ja potrafię się wywdzięczyć..... dobre wstawiennictwo także warte okupu..... warte pereł i złota.

Ujgurka wciąż kręciła głową. Przy ostatnich słowach jeszcze wyraźniéj posmutniała.

— Mój chłopcze, nie rań mi serca próżnemi obietnicami. Gdyby to u mojéj pani było zwyczajne, ludzkie postanowienie, spróbowałabym — i kto wié? Może by się udało.—Ale tu jest rzecz nadludzka. Szamanowie najwyraźniéj zakazali.

— A zkąd Szamanom prawo do zakazywania?—Zawołał Beppo gwałtownie.

— Oj chłopcze, nie gadaj bezbożności. Szamanowie powiedzieli że ten wykup sprzeciwia się woli «Wielkich Duchów.» Ty wiész przecie że woli «Wielkich Duchów» niemożna się sprzeciwiać, to przynosi nieszczęście. — Skończona rzecz—niéma co gadać.

Tu zawróciła się, i już chciała zapuścić wojłokowe drzwi jurty.

Beppo skoczył za nią, wołając:

— Ale niechże przynajmniéj Arguna odda te klejnoty które jéj zostawiłem!

— A jakże? Już odesłała.

— Komu? Gdzie?

— A no, jéj wysłaniec zaniósł do waszych namiotów. Niemogła się ciebie doczekać, więc odesłała razem z odpowiedzią.

— I któż je odebrał?

— Alboż ja wiem? Który z kupców, czy téż ze sług waszych. Pójdź tam a znajdziesz.

To mówiąc znikła za wojłokiem.

Beppo odchodził zwolna. Chwiał się na nogach, rękoma chwytał próżnię, jakby ziemi pod nim zabrakło.

Nagroda była mu obiecana warunkowo:

Jeżeli spełni dzieło wyzwolenia Elżbiety.

Nie spełnił..... Nagroda go minie.

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Przed namiotem Kałgi, spostrzegł Elżbietę. Siedziała u wejścia zadumana.

— Signora. — Ozwał się podziemnym głosem. — Życie jest rzeczą straszną. — Arguna odmówiła.

Elżbiecie łzy stanęły w oczach — dwie łzy grube ztoczyły się po jéj bladych licach.

— Przewidywałam to..... już go nie zobaczę..... mego Jasia.....

Po chwili gwałtownéj, wewnętrznéj modlitwy, złożywszy ręce, dodała:

— Niech stanie się wola boska. Co mnie najwięcéj boli, to zgryzota Ludmiły..... Napróżno tu wracała! Napróżno tyle wysileń podjęła!

— Signora..... może jeszcze wynajdziemy jaki środek.....

— O nie, nie! Już niczego nie próbujcie! Na miłość Pana Boga, nawet nie zaczynajcie, bo w końcu jeszcze i sami się zgubicie! Zacny człowieku, proszę cię: wywieź ztąd Ludmiłę jak najprędzéj, — niechże przynajmniéj ona ocaleje,— niech..... mnie..... zastąpi przy Jasiu. Ja—będę się tutaj..... za was wszystkich modliła.

I niemogąc już powstrzymać łkania, wbiegła do jurty, gdzie zapadła w taką dziwną nieruchomość, że nawet mały Kałga zląkł się, i nieśmiał do niéj przystąpić.

Beppo tymczasem szedł napowrót, i spiesząc się i nie spiesząc. Przemyśliwał, w jakich wyrazach potrafi Ludmile donieść taką wiadomość? Droga jego przechodziła koło namiotu Ajdara; dosłyszał dźwięki bańdurki, chór głosów niewieścich, i westchnął:

— Mój Boże! Tam się weselą..... A ja?

Ach, gdyby wiedział czyje to «wesele», powtórzył by z inném jeszcze westchnieniem:

— A ja?.....

Wróciwszy do swoich, wypytywał się każdego:

— Czy tu był posłaniec od Arguny, z paczką dla mnie?

Ale nikt nie widział żadnego posłańca ani paczki.

Po długich poszukiwaniach, ozwały się głosy:

— Chyba Michele odebrał?

— Pewno Michele.

— A gdzież jest Michele?—Pytał Beppo.

Michela nigdzie nie było. Nikt nie umiał mu powiedzieć, gdzie i kiedy wyszedł? Nakoniec Bartolommeo przypomniał sobie, że w południe posłał go z towarami. Już głęboka noc, a mały Polacco jeszcze nie powrócił. Co to znaczy?

Beppo całą noc przesiedział, przedreptał, przemęczył, gubiąc się w najstraszniejszych domysłach. Wspomniał na Kargana, i krew ścięła się w jego żyłach. — Kilka razy daleko się zapuszczał, krążył pomiędzy namiotami — nawoływał Michela — i znów sobie myślał: «A może się z nią zminę?» — I znów powracał do Włoskich stanowisk. Wszystko próżno! Ludmiły jak niéma, tak niéma.

Jeśli Beppo miał kiedykolwiek jakie ciężkie grzechy na sumieniu, tą jedną nocą już musiał w obliczu nieba je odpokutować, bo nacierpiał się jak dusza czyśćcowa. A cierpiał tém szlachetniéj, że zapomniał o własnéj przyszłości, o stracie własnego szczęścia, — gryzł się tylko losem Ludmiły.

Nad ranem zaczął latać po obozie, jakby go «tarantula» ukąsiła. Wszędzie się dopytywał o Michela. Obcy ludzie niemogli zrozumiéć o co i o kogo mu chodzi? Zbywano go ruszając ramionami, lub wypychano jak warjata.

Stawał z dziesięć razy i przed namiotem Elżbiety; ale ta, wciąż usługująca Kałdze, niemogła być na każde wezwanie widzialną. Dopiéro koło południa, potrafił ją wywołać.

— Signora, nieszczęście! Signora Ludomilla znikła! Ludomilli nigdzie niéma! Signora—czyście jéj nie widzieli?

Elżbieta chwyciła się za skronie, zbiérając wspomnienia.

— Widziałam ją... wczoraj..... o téj saméj prawie godzinie..... w południe. Potém wyszła. Musieli ją poznać..... porwać..... może zabić? I to wszystko przezemnie!.....

I zbielała jak bryła lodu.

Cierpienie Beppa było zaprawdę wielkie, ale malało i prawie nikło w obec cierpienia Elżbiety, bo miłość Beppa wybuchnęła nagle, jak potok co bieży gwałtownie więc płytko, — a przyjaźń Elżbiety wzrastała powoli, płynęła jak rzeka cicha więc głęboka, wyorana próbami wspólnie przebytemi, a teraz jeszcze zaprzepaściona tą myślą okropną:

— Wszystko to przezemnie!

Bóg ulitował się tak wielkiéj boleści, i niepozwolił aby długo trwała.

W téjże chwili przybiegł niewolnik Arguny, wołając:

— Hej, piastunka! Chodź, pani woła.

Elżbieta poszła na wpół bezprzytomnie.

W namiocie, zastała Argunę siedzącą między Toktyszem i Ajdarem.

— Słuchaj — rzekła pani — brat mego małżonka prosi, abym ci pozwoliła pójść do jego jurty. Wprawdzie nielubię kiedy opuszczasz panicza, ale trudno odmówić zacnemu Ajdarowi, idź, ja tymczasem sama dopilnuję dziecka.

Elżbieta spojrzała na nich szklistemi oczami, które zdawały się pytać:

— Po co ja mam iść do jurty Ajdara?

Behadyr z wdzięcznym uśmiéchem dodał objaśnienie:

— Znajdziesz u mnie tę niewolnicę Polską, wiész..... tę którą razem z tobą spotkałem tam pod ziemią. To moja żona.

— Żona? Ludmiła waszą żoną?

— A jakże. Wczoraj, wzięliśmy ślub,—i nawet po waszemu, po Chrześcjańsku. Dzisiaj, prosiła, czy może się z tobą widzieć? A i owszém, czemu nie? Może nawet obecność twoja trochę ją rozweseli, bo ciągle okropnie smutna, doprawdy niewiem dla czego? Ten Kargan ją nastraszył, jeszcze biédna gołąbka niemoże ochłonąć. Ale powiédz jéj żeby nie była taka smutna, bo mnie się to niepodoba.

Elżbieta wyleciała jak wicher.

Beppo zabiegł jéj drogę, pytając:

— Gdzie?..... Co się stało?

Chwyciła jego ręce w uniesieniu pół-radosném, pół-rozpaczliwém.

— Żyje! Przynajmniéj żyje! Ale co się stało?..... O wielki Boże! Ludmiła jest..... żoną Ajdara.

I rzuciwszy mu te słowa, znikła w namiocie Behadyra.

Ludmiła siedziała wśród jedwabnych poduszek, okryta złotogłowem i klejnotami, nieruchoma i biała jakgdyby z kamienia.

Podniosła ku Elżbiecie przygasłe oczy, słabo ujęła jéj rękę, i rzekła mdłym głosem:

— Chciałam jeszcze pożegnać się z tobą. Wszak jesteś wykupiona? Wracaj do Polski—do Jasia.—Pożegnaj mię—jako umarłą.

— Nie Ludmiło, ja nie jestem wykupiona. Arguna nie przystaje na okup.

— Nie? Już tylko tego brakowało.

I zapadła w ponure jak śmierć milczenie.

Elżbieta rwała swoje cudne, słoneczne włosy, łamała swoje wiotkie ręce, wołając:

— I to wszystko przezemnie cierpisz! O, czy to było warto wracać dla mnie nędznéj? I jakżeż to wszystko zaszło? Jak ty się dostałaś w moc tego człowieka?

Wtedy z ust Ludmiły padły słowa cięte, przerywane — straszna powieść dnia wczorajszego.

Nakoniec wybuchnęła gorzkim śmiéchem:

— Ha! ten człowiek — co śmié się nazywać moim mężem!..... żebyż to przynajmniéj był człowiek uczciwy? Ale to oszust — jak wszyscy Tatarzy. Wystaw sobie..... dzisiaj, wchodzą tu trzy kobiéty, wystrojone, z fałszywym uśmiéchem na twarzy. Zaczynają mię ściskać. Pytam się: Co to znaczy? Ten człowiek odpowiada: «To moje inne żony, dawniejsze, przychodzą powitać nową towarzyszkę.» — Zerwałam się i krzyknęłam: — A przecież ja mam być jedyną? — A ten..... mąż! — uśmiéchnął się żartobliwie, i śmiał odpowiedzieć: — «Przyrzekłem że będziesz *jedyną po Chrześcjańsku*, — i prawda, — jesteś jedyną którą po Chrześcjańsku zaślubiłem, — i przyrzekam ci raz jeszcze, że innéj żadnéj według twojéj wiary nie zaślubię. — Ależ tamte dawniejsze — sama powiédz — no, co ja mam z niemi zrobić? Zabić je? Wypędzić? Przecież mi nic nie zawiniły? Zresztą, co ci to szkodzi, kiedy ja ciebie jedną lubię? Według twego wyobrażenia, to nie są prawdziwe żony, nie wzięły ze mną Chrześcjańskiego ślubu. Możesz je uważać za proste niewolnice.» — Ja sobie pomyślałam: — Tak, mogę..... ale i one mogą mnie uważać tak samo. — O! Wiele rzeczy sobie pomyślałam — odpowiedzieć nic nie raczyłam. Co tu gadać z takim

człowiekiem? — A przytém..... one rzeczywiście nic nie zawiniły. A zdawały się takie strwożone, patrzyły na mnie tak lękliwie! Ulitowałam się nad niemi—a pogardziłam Ajdarem.

I znów zapadła w ponure jak śmierć milczenie.

A nieszczęsna Elżbieta rwała słoneczne włosy, łamała wiotkie ręce, i płakała nad Ludmiłą jakby nad umarłą.

Po niejakim czasie, Ludmiła szepnęła:

— Już bym nawet była wolała Beppa.

— Jakto? Dla czego Beppa?

— A prawda! Ty jeszcze niewiész. Gdyby cię był uwolnił, miał mię pojąć za żonę. Ale cię nie uwolnił. Obietnica stała się nieważną. W każdym razie już teraz jest nieważną, choćbym nawet nie była żoną innego. Żoną?..... O mój Boże!..... Ale i ten Beppo jest biédny—żył w zgodzie ze swoim losem, a ja zakłóciłam jego spokój—głowa mu się nabiła marzeniami..... A to niedobrze marzyć..... tak jak niegdyś ja o Przedwojowicu..... Po co ja go znałam? Aby stracić? Gdybym go nie była nigdy znała, kto wié? może by inni wydawali mi się lepszemi? Ale zacząć marzenia przyszłości od takiego Przedwojowica, a skończyć na takim Ajdarze..... Okropność.

I znów zapadła w grobowe milczenie.

A nieszczęsna Elżbieta całowała ją po zimnéj twarzy, po nieczułych rękach—lejąc łzy jakby nad umarłą.

Kilka godzin minęło.

Do namiotu zagląda niewolnik Arguny.

— Hej! Piastunka, chodź! Panicz się bez ciebie niecierpliwi. Już i pani sama niemoże mu dać rady.

Elżbieta idzie — jak cień.

Beppo zastąpił jéj drogę. Nieśmié nic mówić, o nic pytać.

Wyszepnął tylko:

— Więc żyje?

— Żyje.... Czekaj Beppo—dała mi dla ciebie jakieś polecenie,.... Co to takiego było? W mojéj głowie wszystko pomieszane..... A! Już wiem. Ludmiła prosi cię, abyś na pamiątkę po niéj zachował te klejnoty, co miały służyć na mój okup. Jéj teraz klejnotów nie zabraknie, a tobie mogą się przydać;—może z niemi zaczniesz mały handel na własną rękę, i powoli wyswobodzisz się od srogiego stryja? Chciałaby ci uła-

twić przyszłość, boś ty był dobry, bardzo dobry..... Bóg nie pobłogosławił naszemu przedsięwzięciu, ale ty robiłeś co mogłeś.

— Nie signora—ja nie wezmę tych klejnotów.—Ja dbałem o nią, a nie o jéj klejnoty.

I wyszlachetniony miłością, wypiękniały boleścią, odszedł — niechcąc nawet słuchać nalegań,—a za godzinę wrócił do namiotu Elżbiety, obładowany paczkami.

— Oto są kosztowności które nam jeszcze pozostały. Signora, składam je w ręce wasze— oddajcie je Ludomilli.

— Mój zacny Beppo, co ja mam robić? Ludmiła będzie się gniéwała że źle spełniłam jéj zlecenie. Zachowaj-że choć jeden łańcuszek, choć jedną perełkę, na pamiątkę po niéj.

— Nie, ani jednéj perełki. A! Czyż ja potrzebuję ażeby martwy kamień mi ją przypominał? Na jéj pamiątkę jest w mojém sercu — ołtarz. Nigdy inna kobiéta nie zajmie tego ołtarza—nigdy!

Wypowiedziawszy te słowa z wulkanicznym, Włoskim zapałem, zwolna ochłonął i dodał:

— A teraz, muszę się jeszcze upomnieć o te perły i o ten kanak co gdzieś tak dziwnie przepadły. Ja muszę je odnaléźć — przecież to własność signory Ludomilli? Nie mogę pozwolić, ażeby je straciła przez moją niezaradność.

Poszedł do namiotu Arguny, wtargnął tam przemocą. Strata wszelkich nadziei dawała mu tę odwagę pogardliwą, z którą się idzie na oślep w największe niebezpieczeństwa.

Stanąwszy przed zdumioną Tatarką —

— Pani—rzekł—wolno ci przyjmować albo nie przyjmować okupu, ale nie przypuszczam ażebyś chciała mojéj krzywdy. Gdzież są te kosztowności które ci zostawiłem? Nikt z naszych kupców ani z naszych sług nie odebrał, nie widział ich na żywe oczy. Odesłałaś je, powiadasz? Dobrze,—ale przez kogo? Może twój posłaniec był niewierny? Niech wskaże, komu oddał. A jeśli nie potrafi wskazać, ty pani każ śledzić, szukać, ukarać winowajcę. Te klejnoty nie są moją własnością—muszę je zwrócić—niechcę być posądzony o haniebną kradzież. — Nietylko że nie wykupiłem niewolnicy, ale jeszcze mam stracić okup? O! To za wiele!

Arguna, ogłuszona tym potokiem wyrazów, zbladła.

Po chwili, klasnęła w ręce—wbiegli niewolnicy o krzywych szablach. Wnet odzyskała rumieńce i śmiałość.

— Psie Chrześcjaninie!—Krzyknęła.—Precz mi ztąd! Nietylko że mię chciał oszukać na swo-

ich mniemanych kosztownościach, jeszcze teraz mi wmawia że ich nie odesłałam! A któżby dbał o twoje fałszywe złoto? Odesłałam. Słowo żony Toktysza powinno ci wystarczyć. Odesłałam — i to przez wiernego człowieka, między Tatarami wszyscy wierni. Jeśli kto je zwędził, jeśli kto cię okradł, to ten co je odbiérał, który z kupców albo ze sług waszych. Poszukaj tylko dobrze w pakach twoich braciszków, stryjaszków i krewniaczków, a znajdziesz tam pewno twoje miedziane klejnoty. Wy, przewrotni handlarze z za morza, przyjeżdżacie tu jedynie na to, aby nas prostodusznych ludzi otumaniać. Znamy się na tém. Uciekaj, póki władam jeszcze moim gniéwem. Hej! Wyrzućcie mi tego złodzieja!

Szable szczęknęły—niewolnicy rzucili się do Beppa—wypchnęli go—wyfukali—nahajkami zapędzili aż do Włoskich namiotów — a Tatarstwo dziwowało się jeszcze nad wspaniałomyślnością Arguny, że nie kazała na miejscu zabić zdrajcy—kupczyka?

Nazajutrz rano, przyjechał do Consulów Compagnii Tanaidzkiéj, ponury, nadęty urzędnik Mongolski. Oświadczył im że mają wyjechać z obozu, i to dziś, natychmiast—albowiem jeden z ich kupców dopuścił się niegodnych szalbierstw,

i nieprzystojnemi słowami ubliżył małżonce jednego z dowódców.

— Za taką obelgę — dodał — należałaby wam się większa kara, ale zacna Arguna wstawiła się za wami. Wynoście się co prędzéj. Radzę wam: co prędzéj. Przed zachodem słońca niech już oko ludzkie was nie dojrzy, bo jutro nikt z was nie wyjechał-by żywcem.

Kupcy potruchleli. Wiele rachunków było jeszcze niepodokończanych, wielu Mongołów pobrało już towary, a jeszcze ich nie zapłaciło. Powstał lament i wielki krzyk na Beppa, co sprowadził tak niezmierną klęskę.

Bartolommeo przyskoczył do niego, trzęsąc się i krzycząc:

— Chłopcze niegodziwy, coś ty mi narobił? Potrzebne ci to było wdawać się w jakieś okupy, z jakiemiś nieznajomemi oszustami? A mówiłem ci, mówiłem! Chowaj tu na łonie taką żmiję! Popamiętasz ty dzień dzisiejszy!

Beppo milczał. Już teraz był na wszystko nieczuły.

Zaczęto się na gwałt pakować. Kupcy, rozbiegłszy się po całym obozie, usiłowali ściągać zaległe należności; ale prawie nic nie wydobyli. Tatarzy, rachując na ich szybki wyjazd, niechcieli

się wcale z niemi widzieć, lub z uprzejmém szyderstwem odkładali załatwienie rachunków «do jutra.»

Karawana przenosząc życie i resztę mienia nad tę cząstkową stratę, przed zachodem słońca wyruszyła.

Beppo jechał wśród krzywych spojrzeń i klątew towarzyszy, nie słysząc nic ani widząc; tylko na granicy obozu, raz jeszcze obejrzał się ku ciemnym jurtom i ku świetnym wodom Limanu, gdzie poznał uśmiéch i niestałość Fortuny—urok i omylność wszelkich ziemskich nadziei.

A przez ten czas Arguna śmiała się na całe gardło. Przebiegła Turanka potrafiła oszukać współziomków Machiavella, posiąść klejnoty a nie oddać niańki-niewolnicy.

Taką nawet miała Tatarską bezczelność, że zaraz nazajutrz po wyjeździe karawany, ustroiła się w Ludmiłowy kanak. Elżbieta spostrzegła go na jéj piersiach, oczom niemogła wierzyć. Arguna widziała jéj spojrzenia pełne niemych wyrzutów, ale nie raczyła się tłumaczyć. Przed niewolnicą? Śmiészne wymaganie! To jakby kto się chciał tłumaczyć przed swoim wołem albo koniem?

Tymczasem Ajdar codzień zapytywał Ludmiły:—Czy niéma jakiego żądania? Czy niemógłby jéj czém rozweselić?

Ludmiła codzień odpowiadała posępnie:

— Jeśli mi wolno, chcę widzieć Elżbietę.

— Czy wolno? — Powtarzał gorzko. — Ależ tobie wszystko wolno. To tylko mnie gniéwa, że niczego nie żądasz.

I posyłał zaraz po Elżbietę, albo i sam szedł po nią, ażeby swoją obecnością łagodzić niezadowolenie Arguny.

— Moja dobra piastunko,—mówił—pójdź-no jeszcze do mojéj żony, i raz przecie ją rozwesel. Już doprawdy niewiem co mam robić? Znoszę jéj drogie kamienie i futra — każę niewolnicom śpiéwać i tańcować — nawet inne moje żony schodziły się do niéj, pokazywały jéj swoje ubiory i świécidła — nic nie pomaga — podobniejsza do umarłéj niż do żywéj. Czy ją kto urzekł? Będę musiał chyba zawołać Szamanów.

Jakże chciał dobroduszny małżonek aby jego środki zaradcze pomogły? Klejnoty? Ludmiła wiedziała że były zrabowane z Polskich miast i zamków; zdawały jéj się krwią przesiąkłe, parzyły ją po rękach i szyi. — Śpiéwy niewolnic? Ach, to były śpiéwy rozdziérające, prawdziwe dumki niewoli, co tylko Mongoła mogły oszu-

kać rytmem udanéj wesołości.—Inne żony? O Boże! Sama ich obecność, już wydawała się Ludmile obelgą i urągowiskiem.

Ciężkie więc było—na pozór niewykonalne—zadanie pocieszycielki. Szła codzień, w grubéj żałobie serca, jako się idzie odwiedzać umarłych.

A jednak, po kilkunastu dniach, dokonała dzieła—pocieszyła Ludmiłę.

Czém?

Tém właśnie, że jéj nie pocieszała.

Nie mówiła do niéj:

— Bądź odważna—znoś cierpliwie—porównaj się z tylu innemi co są daleko nieszczęśliwsze.

Mówiła owszem:

— O tak! Ty jesteś najnieszczęśliwsza istota na świecie. Niéma dość łez, dość żalu na taka niedolę. Mogłaś być wolną, żyć sobie swobodnie pośród swoich, wybrać jeszcze dobrego małżonka, a teraz? A teraz!..... I to ja, nędzne stworzenie, jestem przyczyną wszystkich twoich nieszczęść! O, czemuż mię Tatarzy lepiéj nie zabili? Po co ja żyję? Aby niechcący sprowadzać gromy na głowę téj którą tak miłuję? Téj co mię chciała wybawić, co wybawiła moje dziecko?

I wciąż powtarzała te krwawe na samą siebie oskarżenia, albo zamilkłszy, topiła w przyjaciołce wzrok nieśmiały, błagalny, i tak wyraźnie w oczach nikła, że codzień nowy prątek srebra pojawiał się na jéj słonecznych włosach, nowa bruzda wyorywała się na jéj zwiędłych policzkach, coraz ciemniejsze koła okrążały jéj wpadłe źrenice.

Aż Ludmiła, po kilkunastu dniach obumarcia, zawstydziła się swojéj samolubnéj rozpaczy,— spostrzegła straszne dzieło zniszczenia, jakie zgryzota już dokonywała na Elżbiecie.

Nagle ocucona, rzuciła się w jéj objęcia, wołając:

— O! Jakże ty możesz mnie żałować, kiedy ty sama jesteś sto razy nieszczęśliwsza odemnie? Ty musiałaś zostawić męża —rozłączyć się z dzieckiem —i niéma żadnéj a żadnéj nadziei abyś jeszcze mogła w tém życiu ich zobaczyć— to są dopiéro nieszczęścia bez nazwy..... A ja co? Jedną już tylko istotę kochałam na świecie, i tę mam obok siebie, z tą mię Bóg nie rozłączył. A już byłabym chyba najniewdzięczniejszém stworzeniem pod słońcem, gdybym Panu Bogu nie dziękowała codzień, na kolanach, za tę jedną, ale największą łaskę.

— Ludmiłko moja — ty dobra jesteś, dobra jak anioł że tak mówisz, ale ja się nigdy nad

tobą nie pocieszę..... Jakżeż mam się pocieszyć, kiedy wiem że gdyby nie ja, to byłabyś wolna i szczęśliwa?

— Co też ty gadasz, Elżuniu? Czyżbym ja mogła być szczęśliwa tam w kraju, gdybym zostawiła ciebie tutaj, samą, wśród tych katów? A! Już jeżeli jedna z nas miała być w niewoli, to lepiéj że jesteśmy obie. — Jedno tylko jest prawdziwe nieszczęście w mojém życiu, to że ciebie niemogłam wyswobodzić..... Gdybyś ty była wolną, jabym z radością zniosła wszystko, nawet mój los dzisiejszy.

— Ale pomyśl droga Ludko, czémżeby znowu dla mnie była wolność kupiona twojém nieszczęściem? Powtórzę twoje własne słowa: już jeżeli jedna z nas miała koniecznie pozostać w niewoli, to lepiéj że zostajemy obie.

I wszczęła się między dwiema niewiastami serdeczna walka szlachetności: każda chciała dowieść ze swéj strony, że jest mniéj nieszczęśliwą niźli tamta, — i według cudownego układu Opatrzności, usiłując pocieszyć drugą, pocieszała i samą siebie, bo wynajdywała coraz nowe powody dziękowania Bogu.

Piérwszy powód: że jesteśmy *razem*. Czyż to nie wielkie i nie nadspodziéwane szczęście? Mogłyśmy popaść tak samo w niewolę, ale każda

z osobna? Wówczas dopiéro byłoby czego na śmierć się zapłakać.

Drugi powód: nam jeszcze nie tak bardzo źle jak wielu innym. Ileżeśmy to widziały matek rozłączanych gwałtownie z córkami!—Dzieci katowanych pod okiem rodziców! — Ileż dziewic pobożnych, najśliczniejszych, dostało się w moc takich Kajkułów!—Ileż niewiast najcnotliwszych sprzedano jako proste niewolnice, dla których nikt się nie troskał o żaden ślub Chrześcjański, których nikt się nie pyta: «Czego żądasz?» Albo: «Czém-by cię tu rozweselić?»—Nakoniec, widok najokropniejszy..... Ileż to matron białowłosych, z oczami wyłupionemi, obraca żarna, pod batogiem!—Ach, my na to wszystko patrzymy, dzień i noc słuchamy tych jęków, i miałybyśmy się skarżyć?

A nakoniec, trzeci, najważniejszy powód dziękowania Bogu: Jaś uratowany! O! Już jeżeli według wyroków Opatrzności, tylko jedno z nas trojga miało być ocalone, jakież to szczęście że los padł na Jasia! My już dorosłe — my sobie zawsze damy radę,—nie zapomnimy ani naszéj ziemi, ani naszéj wiary—ale on? Niewiniątko! Jego by Tatarzy wychowali w pogaństwie, w obcéj, wrogiéj mowie, może w nienawiści Polskiego imienia? Ach, on by może kiedyś napadał i rabował swoją własną ojczyznę? Tu chodziło

już nietylko o życie, o szczęście, ale i o duszę! Wié Pan Bóg co robi.

Niejedna z dzisiejszych kobiét, znalazłszy się w położeniu naszych branek, może-by chciała odebrać sobie życie? A przynajmniéj, rozwodziła by się z długiemi skargami na niesprawiedliwość losu, wybuchała by z gorzką ironją przeciw Opatrzności?

Elżbiecie i Ludmile, nie przyszło nawet na myśl aby mogły rozrządzać swojém życiem, albo sądzić Najwyższego z Sędziów. Przepłakawszy i przebolawszy pierwsze chwile niedoli, odnalazły nagle odwagę, a odnalazły ją w tych prostych słowach: Zgadzanie się z wolą Boską.

Słowa te, rzucane od wieków przez wszystkich moralistów i kaznodziei, zalecane we wszystkich nabożnych xiążkach, zostają często bezpłodnemi, bo są najczęściéj powtarzane bezmyślnie. Ale ci co je naprawdę w życiu przystosują, znajdą wnet jakieś dziwne, jakieś nadludzkie siły, «o których filozofom ani się nie śniło.»

I w nasze niewiasty nagle wstąpił duch nowy: uczuły nawet pewną błogość, tę błogość co towarzyszy każdemu tryumfowi.

Ludmiła zawisłszy raz jeszcze w objęciach przyjaciołki, wołała:

— O! Prośmy tylko Boga aby nas do śmierci nie rozłączył, a zniesiemy wszystko z pokorą, nieprawdaż? Wszystko..... nawet tego człowieka..... przyjmuję go z ręki boskiéj, jako pokutę za grzechy..... Może też o tyle mniéj będę w Czyśćcu cierpiała?

Potém, spojrzawszy ku Elżbiecie ukośnie, z pomieszaniem, zagadnęła półgłosem:

— Powiédz mi, jak ja mam się na niego zapatrywać? Bo ja go..... nienawidzę....

Elżbieta zastanowiła się głęboko; twarz jéj zwolna przybrała wyraz poważny, z ust jéj słowa padły uroczyście:

— A jednak, musisz zapatrywać się na niego jako na małżonka. Ajdar może być małżonkiem niewiernym, najgorszym, to rzecz jego sumienia. Ty bądź wierną i przykładną. Bóg spyta się ciebie po śmierci, jaką ty byłaś, a nie jakim on był?

Zamilkła. Nagle uśmiéch niebiański rozjaśnił jéj usta. Złożyła ręce i dodała:

— A może ty go nawrócisz?

Ludmile oczy zabłysły.

— Elżbieto, jakie ty złote słowa umiész wynajdywać! Znalazłaś dla mnie pociechę, prawdziwą pociechę. Pokochać go nigdy nie pokocham, (jego? nieprzyjaciela mojéj ziemi!) ale mogę umiłować w nim duszę bliźniego, duszę zbłąkaną, nieszczęśliwą..... O! Gdybym jedną duszę mogła zbawić!

I drgnęła, jakby wskrzeszona tą myślą. Znalazła cel dla swojéj męki.

W téjże chwili Arguna przysłała po Elżbietę.

Kiedy Ajdar wrócił do namiotu, Ludmiła przyjęła go twarzą łaskawszą, uśmiéchem smętnym lecz łagodnym. Zdumiony małżonek przez chwilę patrzył, rozmawiał, słuchał—potém nagle wyleciał z jurty, zwrócił się twarzą ku południowi, padł na ziemię, dziewięćkroć uderzył czołem, i zawołał:

— O Tangri! O najwyższy Duchu! Dziękuję ci! Ona się już nie boi.

Tymczasem w obozie, konie ryją ziemię, buńczuki szeleszczą, ostatnie Tumany wyruszają na Węgry.

Toktysz obchodzi wszystkie swoje namioty, żegna jedenaście swoich żon; wszystkie żegna dość chłodno; trudno miéć jedenaście serc; najczęściéj w takim razie niéma się ani jednego. Z kolei przyszedł do namiotu Arguny; ta żegna męża z zimnemi pochlebstwami, przymawia się o piękne łupy dla siebie i dla Kałgi, przytém prosi, aby przy sposobności, złożył od niéj po-

korne pozdrowienia ojcu, albowiem ojciec Argunу dawno już jest w Baszkirdji czy też w Polsce; z armją Batu Chana wyjechał jeszcze na początku wyprawy.

Konie Ajdara także osiodłane; służba czeka; trzy dawniejsze żony szykują układne pożegnania.

Ale Ajdar przywołał jednego z pośledniсh Szamanów; zamknął się z nim na cztery oczy w jurcie.

— Daj mi — rzekł — jakie ziele, od którego by oczy zaczerwieniły się i załzawiły natychmiast, a nie na zawsze. Zapłacę ci dobrze za ziele i za milczenie.

Szaman przyniósł drewnianą czarkę, pełną fjoletowéj wody.

Ajdar przemył oczy. Te wnet zapuchły i łzami ognistemi zaszły.

Idzie do Toktysza.

— Bracie Toktyszu — serce mi pęka z żałości — jakiś Duch nieprzyjazny chce mię pozbawić wojennéj chwały i rozkoszy. Patrz, co się dzieje z mojemi oczami? I to właśnie w chwili kiedy

trzeba jechać na wyprawę! Serce mi pęka z żałości, ale sam powiédz, czy mogę tak jechać? Muszę zostać jak stary niedołęga. Dam zastępcę. Będę się leczył u Szamanów, może was jeszcze dogonię.

Toktysz litował się serdecznie nad bratem.

Poszli do wodzów. Ajdar z rozpacznemi skargami pokazał swoje oczy. Dał mocnego jak dąb zastępcę, ale któż mógł zastąpić Behadyra? Wodzowie nalegali aby jechał pomimo choroby. Przysłał wodzom futra i złote łańcuchy. Wodzowie nagle zrozumieli niebezpieczeństwo choroby—i przestali nalegać.

Wojsko wyjechało—Ajdar został.

Nazajutrz, przywołał Szamana.

— Daj mi ziele, od którego by oczy ozdrowiały, i jeszcze nabyły blasku. Suto ci zapłacę za uzdrowienie i milczenie.

Szaman przyniósł drewnianą czarkę, pełną żółtéj chłodzącéj wody.

W kilka dni późniéj, Arguna przechodząc przez obóz, napotyka Ajdara ze świetniejszemi niż kiedykolwiek oczami.

— Cóż to? Już zdrów, a nie jedziesz za woj-

skiem? Słuchaj Ajdarze—ja rozumiem dla czego ty zostałeś. Dla téj pięknéj branki?

— Arguno, nie powiadaj nikomu — ale to prawda, czysta prawda. Po cóż ja jeździłem na tyle wojen? Inni jeżdżą dla łupów, mnie łupy nie bawią—inni jeżdżą dla mordów, mnie mordy nie bawią. — Ja zawsze tylko szukałem branki według mojéj myśli. Tyle, tyle ich zdobyłem, a żadna nie była według mojéj myśli. Nakoniec znalazłem. Po co mam teraz jechać, czego jeszcze szukać? O mojéj odwadze przecie nikt nie zwątpi? Dość ludzi już nazabijałem. Niepróżno mam nazwę Behadyra.

Arguna pogroziła mu palcem:

— Ajdarze, czy to się godzi, dla jednéj branki wszystko rzucać? Ej, bałamut był z ciebie i będzie.

(Trzeba wiedzieć że nazwa: *bałamut*, jest wyrazem szczero-tatarskim. Taki rodzaj ludzi musiał być w Mongolji bardziéj rozpowszechniony niż gdzieindziéj, kiedy tam stworzono dlań osobną nazwę, nie mającą w żadnym innym języku odpowiedniéj. Trzeba też wyznać, że mimo przesiedlenia się na grunt odmienny, i mimo upływu tylu wieków, rdzenna treść wyrazu pozostała dotąd Mongolską; dzisiejszy *bałamut* mocno się ogładził, po wiérzchu złagodniał, zawsze to jednak rabuś i koczownik, Tatar salonowy.)

Ajdar, draśnięty żarcikami Arguny, zmarszczył brwi i odpowiedział poważnie:

— Tak, byłem bałamutem, ale już nim nie jestem.

I zwrócił się ku namiotom swojéj Polskiéj żony.

Ludmiłę mocno zgryzło postanowienie Ajdara. Ona tak się już cieszyła nadzieją, że wojna—przynajmniej na czas jakiś — uwolni ją od niecierpianego towarzysza i pana! Tymczasem i ta nadzieja zawodzi!

Jednak, w pobożnéj chęci zdobycia duszy mężowskiéj, nie zdradziła przed nim swoich prawdziwych uczuć, owszem, okazała mu słodkie oblicze, i powoli już nawet zaczęła próbować, jak téż daleko może sięgnąć jéj władza?

Pewnego poranku, gdy zapytał:

— I cóż moja gołąbko, nic-że mi nie powiész? Niczego nie żądasz?

Odpowiedziała hardo:

— Owszem, żądam. Chcę miéć niewolnicę. Kup dla mnie tę piastunkę co jest u Arguny.

Ajdar posmutniał.

— Szkoda—rzekł—że mię właśnie o to pro-

sisz. Jedyna to rzecz na świecie, któréj może nie potrafię otrzymać.

Poszedł jednak ażeby się zapytać.

Niedługo wrócił chmurny.

— Poproś mię o co innego. Arguna za żadne skarby świata nie odprzeda piastunki, bo Szamanowie powiedzieli, że ta kobiéta *niesie szczęście dzieciom*. Rozumiész? Jako dobra matka, niemoże przecie odsuwać szczęścia od swojego Kałgi? Już nawet widziała cudowne skutki niańczynéj obecności: Kałga chorował i ozdrowiał, a Szamanowie powiedzieli, że to Dobry Duch piastunki przywrócił mu zdrowie, i że póki ona przy nim będzie, nic mu się złego nie stanie.— Chcesz, to ci kupię dziesięć innych niewolnic?

— Niechcę, – o tę jedną stałam.

— O tę jedną? Dla czego? A! Przypominam sobie..... Wasyl mi mówił że między wami jest *anda*.—Ale nie bój się o nią, słowo Szamanów uczyniło ją świętą, szczęście jakie niesie dziecku, strzeże jéj lepiéj niż tysiące wojska, Arguna jéj nigdy nie zabije, ani pozwoli skrzywdzić, bo przecie życie Kałgi zależy od jéj życia, nawet zdrowie Kałgi od jéj zdrowia? Możesz być o nią zupełnie spokojna.

Kiedy Ajdar odszedł, Ludmiła nie czekała już na przyjście Elżbiety, sama do jurty jéj pobiegła.

— Elżuniu—rzekła ze łzami w oczach—miałaś słuszność, mój nowy zamiar spełzł na niczém..... jakoś kiedy o ciebie chodzi, nic mi się nie udaje.

— Moja najdroższa, udało ci się z Jasiem, czyż to nie dość błogosławieństwa? Dziękujmy Panu Bogu za to aż do śmierci. Co do mojego wykupienia, pamiętasz? zawsze o niém wątpiłam. Już stara Ujgurka dawno mię ostrzegała, abym się próżno nie łudziła.

Tak więc upadła ostatnia nadzieja wyrwania Elżbiety z rąk Arguny. Straszne to było odkrycie, ale niezmiernie osłodzone wiadomością, że osoba Elżbiety—dzięki Szamanom—stała się nietykalną. Największe obawy nikły, Ludmiła odetchnęła, i rozpatrzywszy się w swojém nowém życiu, zaczęła korzystać z wolności zostawionéj ówczesnym niewiastom Tatarskim, które nie ulegały żadnemu zamknięciu, nie nosiły przymusowych zasłon, mogły zawsze wychodzić, a nawet razem z mężami uczęszczać na zgromadzenia i uczty. Ludmiła, niecickawa Mongolskich rozrywek, nie bywała na zjazdach ani ucztach, ale za to dnie całe pędziła w jurcie Kałgi, siedząc nieodstępnie przy jego piastunce, hamując psoty dziecka swoją hardą przewagą,

słodząc los Elżbiety i swój własny, nieskończonemi rozmowami o Jasiu i kraju.

Poznała się też bliżéj ze swoją bratową. (Przebóg, Arguna jéj bratową!) Olśniła ją swoją pańskością, blaskiem swoich klejnotów i strojów, dziwną władzą jaką wszędzie roztaczała. Arguna,—jak zwykle barbarzyniec przestający z ludźmi oświéconemi—zaczęła się na nią ślepo zapatrywać, naśladować ją niezgrabnie w ubiorach i ruchach, słuchać z rodziawionemi ustami jéj dziwnych opowiadań. Ludmiła opowiadała jéj najczęściéj cuda o Elżbiecie: jaką to niańka była wielką panią w Polskiéj ziemi—jak to słudzy we sto koni jeździli za nią — jaki zamek i skarbiec zostawiła—z jakiemi ją zaszczytami Chanowie zachodni przyjmowali. — Arguna, niedostępna dobroci ani zmiłowaniu, łatwo dawała się zawojować przez próżność; pochlebiło jéj wysokie pochodzenie piastunki. Zwolna, zaczęła innemi oczami patrzéć na Elżbietę; rozmawiała z nią jak z człowiekiem, dopytując się raz o dwory «Chanów zachodnich», to znów o lekarstwa na choroby dziecinne. Cudowny, cichy urok Elżbiety, owładał nią bezwiednie. Zaleciła nawet Kałdze, ażeby nie bardzo dokuczał niewolnicy o którą bratowa tak stoi; dzieciak wprawdzie nie słuchał, ale cała służba Arguny mocno złagodniała dla niańki, odznaczonéj względami pańskiemi.

Los Elżbiety stał się znośniejszym. Wyniszczenie jéj zdrowia, rosnące dotąd pędem niepowstrzymanym, zaczęło zwolna ustawać; włosy mniéj siwiały, przedwczesne zmarszczki w około ust nikły, czasem przebłysk rumieńca wracał na policzki. Ludmile serce rosło. Ach, nie zdołała jéj wyzwolić, ale przynajmniéj ulżyła jéj cierpień,— i to wielka pociecha!

Dla tych co umieją dopatrywać i oceniać łaski Opatrzności, znajdzie się ich zawsze mnóstwo, nawet w najgłębszéj niedoli.

A nie była to jeszcze ostatnia pociecha.

Po śmierci Ogotaja, zaczęto sobie w obozie szeptać osobliwsze wieści o pogrzebie Wielkiego Chaana. Wieści te były niewyraźne, jakąś groźną tajemnicą na wpół przysłonięte. Nasze branki zrozumiały tylko, że z pomiędzy niewolnic i dzieci tworzących orszak zgasłego monarchy, najpiękniejsze i najlepsze zabito, ażeby według uświęconego wyrażenia, *poszły służyć mu na tamtym świecie.* Ofiary te ginęły śmiercią niezwyczajną, zagadkową. Jaką? Niemożna było się dopytać. Każdy kładł palec na ustach, i uśmiéchał się jakimś uśmiéchem, od którego włosy wstawały na głowie.

Sam Ajdar, kiedyś patrząc na Ludmiłę, powiedział:

— Jak to jednak dla mnie szczęśliwie, żeś ty nie pojechała pod żółtą zasłoną! Już dzisiaj piłabyś napój śmierci obok Wielkiego Chaana. Prawda, że to wysoki zaszczyt..... Ciebie ominął wysoki, święty zaszczyt, — ale dla mnie, to lepiéj.

A po chwili dodał:

— Czy pamiętasz tego chłopczyka z przepysznemi włosami, którego wzięliśmy razem z tobą? O! Ten to niezawodnie już na drugim świecie służy Wielkiemu Chaanowi. Tak pięknego dziecka nie omieszkano tam posłać.

Ajdar mówił o Jasiu. Pewien był, że chłopiec jeszcze z nad brzegów Prutu, pojechał z karawaną niewolnic do Mongolji. Ludmiła — jak łatwo się domyślić — nie wspomniała mu dotąd, nawet najlżejszém słówkiem, o swojém *dobrowolném* uciekaniu z pod «żółtéj zasłony», ani o tajemném uwiezieniu dziecka, o tych dwóch zbrodniach, strasznych, świętokradzkich, których małżonek-Mongoł, mimo całéj swojéj miłości, nie byłby jéj nigdy, przenigdy wybaczył.

I teraz więc pozostawiła Ajdara w téj szacownéj nieświadomości,—zamilkła—i tylko rękę

przycisnęła do piersi, ażeby w nich stłumić wykrzyk radosnéj ulgi.

Dopiéro wieczór mogła w pełni odetchnąć. Pobiegła do Elżbiety, i rzuciwszy jéj się na szyję, wołała:

— O! Cóż to za szczęście, że Jaś ani ja nie pojechaliśmy z Karganem! Jużbym ja cię nigdy—o moja najdroższa—nie była w tém życiu spotkała! I jeszcze—umiérając—musiałabym patrzéć na ten jakiś okropny koniec twego dziecka!

I ściskały się i powtarzały:

— Ach, cóż to za szczęście!

Takie to są szczęścia nieszczęśliwych. Wśród swobody i pomyślności, przeszły-by ledwie dostrzeżone,—w niewoli stawały się olbrzymiemi. Tak gwiazdy, niewidzialne w dzień biały, występują dopiéro na czarném tle nocy.

W kilka dni późniéj, przyszło jeszcze inne, zaprawdę «dziwne» pocieszenie.

Elżbieta, przywitawszy wchodzącą Ludmiłę, po niejakiém wahaniu, rzekła:

— Słuchaj. Muszę ci opowiedzieć..... Od niejakiego czasu, dzieją się ze mną rzeczy osobliwsze..... Często, podczas modlitwy, zapadam w cóś takiego jakby sen, — a jednak..... to nie jest sen. Wtedy widzę różne kraje, różne osoby, znane mi i nieznane, słyszę różne głosy, co rozmawiają koło mnie, albo ze mną.—Dziś, raniutko wyszłam z namiotu, zbiérałam suche badyle na podpalenie ogniska, i przez ten czas mówiłam sobie pacierz, aż tu..... chwyta mię owa niepojęta senliwość. Czułam że oczy mam zamknięte, a jednak widziałam doskonale całą tę okolicę, szczególniéj wody Dniepru, co tak mocno świéciły jakby łuskowany pas rycerski.—Wtedy, głos jakiś odezwał się przy mnie: «Tu będzie granica Polski.»

— I jakiż to był głos?—Pytała Ludmiła. — Znajomy? Jakże on się odzywał, groźnie czy łagodnie?

— Głos był nieznajomy, poważny, ale nie groźny; owszem, jakiś dobry, jakgdyby ojcowski. To co mi powiedział, zdziwiło mię niezmiernie; zaczęłam się przyglądać, czy mię oczy nie mylą? Ale nie,—wyraźnie widziałam przed sobą Dniepr, a po stepie jechały jakieś wojska przecudne,—czy uwierzysz? Wojska ze skrzydłami! A co jeszcze dziwniejsze, z naszemi chorągwiami! Kiedy przelatywały, poznawałam z kolei wszystkie nasze znaki. — Potém, całe morze za Limanem pokazało mi się jak na dłoni, a po

morzu gdzie-nie-gdzie płynęły okręty, co na flagach także miały nasze znaki.—A była tam jeszcze jakby duża wyspa, (to jest..... niezupełnie wyspa, bo wisiała, przyczepiona do brzegu jak owoc do gałęzi.) Na téj wyspie były bardzo piękne miasta, a w tych miastach kręcili się Tatarzy. Jak tylko dostrzegłam Tatarów, zaraz w duszy zadrżałam, i zaczęłam patrzéć gdzieindziéj. Dziwna rzecz! Im dłużéj patrzyłam, tém więcéj kraju w oczach mi przybywało, zupełnie jakbym wchodziła na coraz wyższą górę. Wystaw sobie: dojrzałam Kraków! Daleko piękniejszy niż ten który znamy, cały palił się od wież złotych. A daléj, wybornie mogłam dostrzedz Wrocław, i rzekę Odrę, po-za którą już była mgła niebieska. Potém znów, od Krakowa przed siebie spojrzawszy, rozeznałam całą wstążkę Wisły, która ginęła w inném jakiémś morzu, a tam także pływały okręty z naszemi chorągwiami. — A te oba morza były tak blisko przy mnie, że słyszałam jak jedno szumi i jak drugie szumi. A to szumienie było niby śpiéwanie dwóch jadących ufców, jako gdy nasi na wojnie śpiéwają: «Boga-Rodzica Dziewica!» Tylko że te ufce niewidzialne, były sto razy ogromniejsze, i dziękowały nie za jedno zwycięztwo, ale za sto zwycięztw. A do tego śpiéwania było i przygrywanie: z Odry odzywały się trąby, i tu ze Dniepru także odzywały się trąby, — i ten chorał z temi trąbami był taki niebiański, że i ja z wiel-

kiéj szczęśliwości chciałam téż zaśpiéwać, ale niemogłam — usta moje były jak zamurowane. — Wtém, patrzę, a do téj niby wyspy, jedzie jakieś Poselstwo. Męże przepyszne. Szaty od złota i drogich kamieni. Twarze jakby słońca. — Wychodzi do nich jakiś Tatar z orszakiem, kłania się pokornie, ręce na piersiach składa, a najstarszy Poseł podaje mu buńczuk, i szubę szkarłatną, i pismo z pieczęcią, i powiada te słowa: «Król Polski mianuje cię Chanem.»—A Tatar się kłania i pocałował pismo.—Wtedy już mię zdjęło takie wielkie zdumienie, że chciałam się przeżegnać, ale niemogłam — ręce moje były jakby spętane. — Więc tylko w duszy się spytałam: «Kiedyż to wszystko będzie?«—A głos odpowiedział: «Za kilka pokoleń.» — Potém, i Posłowie i Tatarzy znikli.—Roztworzyłam powieki—widzę znów jak pierwéj step i Liman, ale już ani téj wyspy, ani tego drugiego morza, ani Krakowskich wież niemogę dojrzéć. — Więc biorę moją wiązkę badylów, i powoli wracam do jurty. Idę, a ciągle myślę: «Może mi się zdawało?» Ale nie! To się nie zdawało. Ta dziwność chodzi za mną..... chodzi..... spokoju mi nie daje — na usta się naprasza — aż musiałam się tobie ze wszystkiém wyspowiadać.

Ludmiła, — dawno już w Elżbiecie czcząca

«wyższą» istotę,—przyjęła jéj opowiadanie z najgłębszą wiarą i radością.

O! Jakąż pociechą stał się dla nich ten obraz! Jakiémże cudownem światłem rozpromienił im czarną rzeczywistość!

Wprawdzie, to wszystko ma być dopiéro «za kilka pokoleń», — one już nie dożyją tego szczęścia, — i Jaś niestety nie dożyje, — zawsze jednak błogo pomyślić że i Tatarzy nie wieczni, że i oni kiedyś upadną, i będą się kłaniali tym których dziś katują.

Ileż by cierpień zostało osłodzonych, gdyby wszyscy cierpiący mogli czytać w przyszłości!

Ileż tryumfów opłynęło-by łzami, gdyby tryumfującym pokazano ich jutro!

A prócz téj radości przepowiednéj, branki doznały jeszcze i drugiéj, przynoszącéj natychmiastową ulgę: — droga przebyta skróciła się w ich oczach, oddalenie od kraju prawie znikło; bo i cóż to za oddalenie? Im się zdawało że już są gdzieś na końcu świata, a one dopiéro doszły do przyszłych granic Polski!

Na wschód!

Mijały dnie i tygodnie. Minęła jesień, piękna w téj nadmorskiéj krainie. Ale koralowe kwiaty burzanów opadały—promienie słońca stygły—po jesieni nadeszła zima, przykra, wichrzysta, żadnemi górami nieobronna od nawałnic północy.

Chociaż Elżbieta i Ludmiła były bardzo wytrzymałe w porównaniu do dzisiejszych niewiast, jednakże kiedy przyszło im tę pierwszą zimę przebywać bez ochrony murów, pod chwiejną, pół-przezroczą jurtą, na przemarzłéj ziemi, wydało im się że nie dożyją wiosny. Zamiecie świszczały po dzikich polach, targały dzień i noc pilśniowemi ściankami namiotów; przez otwór wycięty w daszku, dészcz albo śniég wpadał i zasypywał rozczóchrane ognisko, przy którém nasze branki trzęsły się, na wpół tylko przytomne. Jedna drugą ciągle otulała, to futrami. to

wojłokami; jedna drugiéj podawała ciepły napój, albo—co lepiéj—ciepłe słowo serca, które dziwnym cudem, rozgrzewa nietylko duszę, ale całą istność człowieka.

Tatarzy ruszali ramionami; zaprawni od dzieciństwa do mocowania się z surową przyrodą, prawie już nie czuli jéj razów, a przez to samo i nie pojmowali, aby komukolwiek innemu jéj dokuczliwość mogła dać się we znaki.

Arguna z nosem fjoletowym, ale raźna i nigdy nie zziębnięta, z perłami na szubce, nie pomyślała nawet, czémby odziać swoje niewolnice dzwoniące zębami? Kałga, obnażony jak mały gladjator, tarzał się z rozkoszą po śniegu, i wymawiał niańce, że mu niezgrabnie służy, bo jest zanadto futrami oburdana.

Ach, Elżbieta przynajmniéj miała futra! Ludmiła mogła ich jéj użyczać ile chciała; już pod tym względem Ajdar nie rachował się z żoną.

Nikt nie zliczy tysiącznych niewygód podobnego życia. A jeszcze stokroć przykrzejszemi były niedostatki duchowe, zwłaszcza zupełny brak pociech religijnych. Ani Mszy, ani Kazania, ani owych przeróżnych kościelnych obowiązków, bez których nasze sumienne niewiasty nie umiały dawniéj dnia jednego przeżyć!

Był wprawdzie w obozie ów xiądz zagadkowy, było jeszcze i dwóch innych, jemu podobniusieńkich.

W rozpaczy, zwróciły się do nich.

Ludmiła kazała ich zaprosić do swego namiotu. Przyszli uśmiéchnięci, w sukniach jedwabnych, w czapeczkach spiczastych z kolorowemi gałkami u wiérzchu. Ujrzawszy człowieka który jéj ślub dawał, wzdrygnęła się, i nieśmiała oczu podnieść. Ale nieśmiałość była obustronna: xięża stali u wejścia, kłaniając się niziuchno jak ludzie wezwani do jakiéj płatnéj posługi. Przyjrzała im się pilnie: mieli rysy Mongolskie, oczy skośne; jednakże krzyże świéciły na ich piersiach, przywieszone do długich, czerwonych tasiemek.

— Wszak wy jesteście duchowni Chrześcjańscy?—Zapytała złą Tatarską mową.

— A jakże? Chrześcjańscy. — Odpowiedzieli z ognistém przekonaniem, które na chwilę wstąpiło i w pytającą.

— Powiédzcie mi szanowni Ojcowie — czy wy nigdy nie odprawiacie żadnego nabożeństwa? Nie słuchacie spowiedzi?

Ojcowie spojrzeli po sobie.

— W naszym kraju my to wszystko umiémy, ale tu w obozie, trudno..... Wojsko mogłoby się gniéwać. Zacna pani, i bez tego żyć można. Ale jeśli chcecie, poświęcimy wam kubki.

Ludmiła wiedziała co znaczyło *poświęcenie kubków*, jedyny obrządek przy którym widywano tych duchownych czynnie występujących; ile razy Tatarzy mieli wyprawić sutszą ucztę, jeden z nich przychodził, dawał im swoją wstęgę o perłowych krzyżykach do pocałowania, i błogosławił kubki od kumysu. Potém wchodzili kapłanie pogańscy, każdy po swojemu błogosławił kubki, nakoniec wszyscy razem, błogosławiący i błogosławieni, zaczynali całonocną pijatykę, w któréj duchowni częstokroć umieli przetrzymać i przewyższyć świeckich.

Ludmiła zamyślona spytała:

— Czy to was Papież tu przysyła? Czy wy słuchacie Papieża?

Znów spojrzeli po sobie, tą razą jeszcze mocniéj zakłopotani.

Jeden z nich uśmiéchnął się dwuznacznie, i odpowiedział z przymileniem:

— Piękna pani! Mybyśmy go radzi słuchali, ale to tak daleko! Trudno się porozumiéć, drogi zbyt niebezpieczne.....

— Więc kogóż wy słuchacie?—Nalegała.— Któż między wami największy?

— My?..... My słuchamy Biskupa co mieszka w Chambałyku. A największy między nami był wielki Xiądz Jong-Chan, potężny Xiądz i Władca. Gdyby nie Dżyngischan, to Jong-Chan rządziłby światem.

Po takich odpowiedziach, Ludmiła niewiele więcéj wiedziała niż pierwéj.

Zdumiona, niepewna, rzekła:

— Ależ wy wierzycie w Chrystusa? I w Marję Matkę Bożą?

— W Chrystusa? Ach jakżeż my nie mamy w Niego wierzyć, kiedy jesteśmy Chrześcjanie, i to Nestorjańscy, jedyni prawdziwi Chrześcjanie? A Marję bardzo chwalimy, ale Jéj nie zwiemy nigdy «matką Boską», tylko «matką Chrystusową», bo przecież w Chrystusie były dwie Osoby zupełnie oddzielne, człowiek i Bóg? Człowiek mógł się rodzić, cierpiéć i umiérać, -- Bóg niemógł,—rzecz jasna jak słońce. — Zresztą, po co się sprzeczać? Niech każdy czci Boga jak mu serce mówi.—Dajcie nam lepiéj napitku, poświęcimy wam kubki, i będzie święta zgoda.

Ludmiła kazała im dać «napitku», a sama przestraszona uciekła do Elżbiety po radę. Ani jedna ani druga nie słyszała nigdy o Chrześcjanach Nestorjańskich. Zachodziły w głowę co to są za jedni? Ze wszystkiego jednak zmiarkowały, że to muszą być jacyś kacerze, i postanowiły już odtąd same sobie radzić.

A tak! Łatwo to powiedzieć, ale czy łatwo poradzić z owym tysiącem braków i trudności? Choćby naprzykład z postami, na które wiek trzynasty zapatrywał się nierównie surowiéj niżeli dzisiejsze pokolenia? Tatarzy nie znali rolnictwa, nie lubili rybołóstwa, trudno było u nich o chléb i o ryby; strawa Mongolska składała się przeważnie z mięsiw i mléczywa, co stawiało niewolników Chrześcjańskich w okropnéj konieczności łamania postu, lub umiérania z głodu.

Co gorzéj, wśród nieładu wojny, wśród jednostajności życia koczowniczego, branki nasze zupełnie utraciły rachunek czasu; niemogły już rozróżnić co Piątek a co Niedziela, kiedy pościć a kiedy nie pościć? Gubiły się w skrupułach nie do rozwikłania.

Jednakże, na datę Bożego Narodzenia wszyscy jeńcy jednogłośnie się zgodzili; jedni ją obliczali według biegu słońca, drudzy według osobistych wspomnień, i wszystkim liczby tak samo wypadły. Od tych więc Świąt rozpoczęli nową rachubę, którą sobie rozmaicie zaznaczali, to węzełkami na sznurach, to karbowaniem swoich podróżnych kijów.

W dzień «Wigilji», kiedy pierwsza gwiazda błysła w zamieci nad białym, nieskończonym

stepem, Elżbieta i Ludmiła siedząc w jurcie przy ogniu, roztapiały w kociołku trochę śniegu, aby w nim ugotować parę garści prosa, a przy téj robocie przypominały sobie, jak to rok temu jadły wieczerzę Wigiljową u królowéj Kingi, jak potém szły na ową cudną Pasterkę z Jasełkami. Mój Boże! Rok tylko, a co za odmiany! To jakby człowiek był na innym świecie.

Ludmiła przypominała téż sobie, jakim to zabobonnym strachem przejął ją widok pierwszego wielbłąda, a teraz? Chodzi wśród wielbłądów jakby wśród owieczek. Czy to tak można ze wszystkiém się oswoić?

Długo w noc siedziały, gwarząc i wspominając. Zamiast się podzielić opłatkiem, podzieliły się łzą niewoli, a tę łzę może aniołowie zawiesili nad głową Jasia, jako smętną, sierocą Gwiazdkę?

W swoich nabożnych rozmyślaniach, Ludmiła często się téż zastanawiała nad sposobami nawrócenia Ajdara. Kilka razy już nawet przypuściła szturm do jego duszy; ale próby te szły niepomyślnie, doprowadzały ją nawet do prawdziwéj rozpaczy. Jak tu przekonać człowieka co nigdy nie przeczy?

Kiedy przed nim sławiła Chrześcjanizm, odpowiadał:

— Ja wiem że twoja wiara dobra — każda wiara dobra—jeden Bóg dla wszystkich.

I zaczynał mówić o czém innem, albo ziéwał i brał się do kumysu.

Inną razą, chciała rozbudzić w nim uczucie ludzkości, pokazać mu jak rozlew krwi jest ciężkim grzéchem.

W tym celu ściągnęła rozmowę na zabójstwo Kargana.

— Bardzo ci jestem wdzięczna — mówiła — że mię obroniłeś, ale..... czy to dobrze tak ludzi zabijać, bez sądu, w pierwszém uniesieniu?

Ajdar zupełnie inaczéj zrozumiał jéj obawę.

— Nie lękaj się o mnie, moja ty troskliwa gołąbko. Rzeczywiście, Kargan był urzędnikiem Chańskim, i każdy inny odpowiedział by ciężko za jego zabicie, ale mnie nikt nic nie zrobi, bo ja jestem Terchanem.

— Co to jest, być «Terchanem»?

— Jakto? Ty niewiész co znaczy «Terchan»? A cóż to za ciemne stworzenie, które nawet niewié co to jest być Terchanem! Słuchaj, muszę ci trochę rozumu napędzić do głowy. To przywiléj ogromny, o który najwięksi dostojnicy dobijają się bardziéj niż o całe królestwa, bo tylko wystaw sobie: Terchanom udzielona jest bezkarność aż do dziewiątego przestępstwa. Ja byłem w największych łaskach u Wielkiego Chaana Ogotaja, zamianował mię Terchanem, a więc mam

prawo popełnić osiem przestępstw, i nie będę za nie karany. Rozumiész, jak to wygodnie. Śmierć Kargana, to dopiéro moje trzecie przestępstwo, mogę sobie jeszcze pięć pozwolić. No, a tymczasem, kto wié? Może nowy Chaan odnowi mój przywilej?

I śmiał się, wybuchając niekłamaną radością.

Jakże tu rozumować z człowiekiem co ma w taki sposób zbudowane sumienie?

A przytém, Ludmiła czuła że nazbyt częste i nieoględne próby nawrócenia, zgromadzą nad jéj głową jakąś okropną burzę.

Już kilka razy, małżonek spojrzał na nią wzrokiem, od którego w żyłach krew zastyga, już kiedyś odezwał się:

— Nie nudź-że mnie. Czy ty Szamanka, żebyś zawsze gadała o śmierci, i o wielkim Tangri? Twoja rzecz, być ładną i podobać mi się. Inaczéj, biada ci.

Ajdar miał potężny zasób miłości własnéj; każde słowo podobne do nauczki, burzyło w nim krew. I nie w nim jednym; wszyscy ówcześni Mongołowie byli szalenie zarozumiali, jak są zazwyczaj ludzie nieoświéceni kiedy się dorwą do bezgranicznéj władzy. I zaprawdę, podbicie większéj części świata, mogło zawrócić i mocniejsze głowy!

Ajdar w porównaniu do innych, mógł jeszcze uchodzić za dobrego, jak jednooki pomiędzy

ślepemi; zawsze jednak to był ów Mongoł, co zamordowywał bez przymrużenia powiek, co w lekkiém rozgniéwaniu chciał Jasia rozbić o ścianę, co mógł jeść i pić wesoło na zwaliskach Iłży. To był «Behadyr», a przydomek taki u Tatarów zdobywał się potokami krwi.

Trzeba się tylko dziwić, jakim cudem ów sokół, zapominał dotąd swojéj drapieżności, w obec bezbronnéj gołąbki?

A może i nie dziwmy się tak bardzo. Podobny cud powraca nieustannie w dziejach; co chwila widzimy tam najdrapieżniejszych władców, ludzi podobnych dzikim bestjom, nagle mięknących u stóp wiotkiéj piękności. To prawda,—ale jakżeż ta piękność musi ostrożnie obchodzić się z niemi! Ileż razy jéj gołębie serce musi bić śmiertelnym przestrachem, pod skrzydłami których jedno machnięcie może ją zdruzgotać!

I w piersiach Ludmiły serce kołatało. Targana, to wyrzutami sumienia, to znów obawą popsucia całéj sprawy, szła chwiejnym krokiem do Elżbiety.

— Poradź mi co mam robić? Czy uzbroić się w odwagę, stawić mu czoło dla miłości Chrystusa, i powiedzieć mu że już na niego nie spojrzę, dopóki nie przyjmie mojéj wiary?

— O nigdy, nigdy! — Zaklinała Elżbieta. — Przemocą nic nie zyskasz. Pośpiechem wszystko zgubisz. Wspomnij na Święte Pańskie których czytałyśmy Żywoty, na te różne Rzymian-

ki, co nawracały swoich mężów pogan. Czémże ich nawracały? Nie dysputami, nie gniéwem ani goryczą, ale cierpliwością, dobrocią—ach, nadewszystko widokiem cnót swoich! I ty, najprzód ujmij sobie małżonka, pokaż mu jak słodkie owoce wydaje drzewo krzyża, zrób swoje, a resztę poleć Bogu.

Ludmiła słuchała z namaszczeniem; i zwolna, porzuciwszy inne wszelkie bronie, zaczęła walczyć najpotężniejszą, najniebezpieczniejszą ze wszystkich: urokiem.

Tymczasem, pojawiali się coraz częściéj w obozie gońcy wysyłani z głębin Azji, szukający wciąż Xięcia Kujuka. Nieznalazłszy go u brzegów Dniepru, pędzili daléj na zachód, ale przed wyjazdem zostawiali wieści o wypadkach zaszłych w dalekiéj Mongolji.

Tron Wielkiego Chaana stał ciągle opustoszony. Większa część Xiążąt cesarskich znajdowała się na drugim końcu świata, na Węgierskiéj wyprawie; Xiążęta pozostali w kraju, niechcieli bez tamtych nic stanowić.

Oczekiwanie to, pięknie świadczyło o duchu zgody i jedności, jaki dotąd panował w pośród potomków Dżyngischana. Bo téż zalecił on im tę zgodę, jako jedyny klucz potęgi. Jesz-

cze na łożu śmiertelném zaklinał ich, roztwierając gasnące już oczy:

— Trzymajcie zawsze z sobą, a nic wam się nie oprze.

I chcąc tę naukę jeszcze lepiéj wrazić w ich umysły, kazał sobie przynieść swój kołczan, ręką już prawie bezwładną dał każdemu z synów po jednéj strzale, i mówił:

— Złam ją.

I każdy łatwo złamał.

A potém, wziął takież same strzały, ale w pęk związane. Każdemu z synów kolejno je podawał, i mówił:

— Złam ten cały pęk.

I każdy z synów próbował, żaden niemógł złamać.

Ojciec opuścił straszną głowę na poduszkę z tygrysiéj skóry, zawołał:

— Tak będzie z wami. — Póki razem, póty niezwyciężeni.

I skonał.

Więc i teraz czekano, ażeby wszystkie strzały cesarskiego kołczanu, rozpierzchnięte po świecie, zbiegły się napowrót do stolicy, i splotły swoje siły w pęk nieprzełamalny.

Wprawdzie zmarły Chaan, przed śmiercią wyraził życzenie, — dosyć zaprawdę osobliwsze, —

ażeby władzę po nim objął, nie żaden z jego synów, ale niedorosły wnuk jego Szyramun; ten wnuk bowiem pochodził od nieżyjącego już Xiążęcia Guczu, który był najulubieńszym synem Ogotaja; ojciec wielkie na nim nadzieje budował, i jemu pierwotnie tron przeznaczył. Tymczasem losy inaczéj zrządziły: Xiąże Guczu umarł w sile wieku, zostawiając tylko po sobie to dziecię. Niepocieszony Ogotaj, niemogąc już najmilszego syna uwieńczyć koroną, chciał przynajmniéj na głowę wnuka przelać ostatni dowód ojcowskiéj miłości.

Ale nieletniość Szyramuna, i uraza,—poniekąd słuszna — synów Ogotajowych, niewielkie wróżyły powodzenie zamiarom nieboszczyka. Zresztą w ówczesnéj Mongólji, ani przedśmiertne rozporządzenia Chanów, ani starszeństwo, ani żadne osobiste względy, nie dawały jeszcze rękojmi panowania. W téj dziwnéj dynastji, następstwo tronu zależało przeważnie od wolnego wyboru wszystkich Dżyngischanidów, którzy mogli obwołać kogokolwiek z pomiędzy siebie, byle zawsze jednego z potomków Temuczyna.

Jednakże podczas bezkrólewia, musiał ktoś koniecznie ująć w rękę tysiączne lejce olbrzymiego państwa. Ustanowiono rządy tymczasowe, i powierzono je, komu? Kobiécie.

A tą Rejentką, nie była synowa Ogotaja, matka Szyramuna, cicha i dobroduszna Ananda,

ale była nią najstarsza ze wdów pozostałych po Wielkim Chaanie, matka Xięcia Kujuka, twarda i przebiegła Turakina.

W pierwszych dniach zamieszania po śmierci monarchy, ona jedna umiała zachować przytomność umysłu, pozyskać sobie ministrów i obecnych Xiążąt, potrafiła nawet zawojować łatwowierną Anandę; ręczyła jéj solennie, że szanując wolę zmarłego małżonka, pracuje nad oddaniem berła Szyramunowi, a tymczasem gońca za gońcem słała po własnego syna, Xiążęcia Kujuka.

Przy końcu zimy, posępne koczowisko nad-Dnieprzańskie ożywiło się, chociaż tylko na dzień jeden. Xiąże Kujuk przeleciał przez obóz, odmienił konie, parę godzin wytchnął, rozdał mnóstwo łaskawych spojrzeń, tysiąc uśmiéchów, miljon obietnic,—i puścił się daléj ku stolicy.

Minął Post, nadeszła Wielkanoc, skończył się piérwszy rok niewoli.

Piérwszy, ale pewno nie ostatni! Teraz już nasze branki nie widziały przed sobą żadnéj nadziei wyzwolenia. Już nie znalazł się drugi Wasyl, ani drugi Beppo. Ajdar dobrze pilnował żony, Arguna dobrze pilnowała niańki. Strzeżone,

szpiegowane, w końcu już nawet przestały myśléć o ucieczce, mówiły tylko sobie:

— Żyjmy jedna dla drugiéj, wspierajmy się — pocieszajmy—a strapienia nasze ofiarujmy Panu. On więcéj cierpiał na krzyżu!

Wiosna przyniosła ulgę w niewygodach. Po nieznośnéj porze roztopów, z jakąż rozkoszą branki powitały młodą trawkę, ciepłe powietrze, kraśniejące pąki na burzanach!

Tak, była to rozkosz, — jednakże niedługo zaczęły żałować mroźnych, ponurych, ale spokojnych dni zimy, bo wiosna prócz kwiatów i zieleni, przyniosła inne jeszcze odmiany.....

Ziemia zatętniła — powietrze zaszumiało od buńczuków, ryknęło od śpiéwów tryumfalnych i niesłychanych jęczeń.....

Wojska Tatarskie powracają z Węgier.

A jakie powracają? O nieba!

Człowiek pracujący ciągle w jednym i tymże samym kierunku, nieochybne czyni w nim postępy; w rzemiośle czy w sztuce, w cnocie czy w zepsuciu, im dłużéj trzyma się jednéj drogi, tém do wyższych potęg dochodzi. Tak dzieje się i z wojną, z tą szkołą okrucieństwa. Żołniérz zawsze wraca do domu surowszy i mściw-

szy niżeli z niego wyszedł; tak bywa nawet w państwach i czasach oświéconych; cóż dopiéro musiało być w Mongolji, przed sześciu wiekami! Tatar wyjeżdżał na wyprawę dzikim człowiekiem, powracał—dzikiém zwierzęciem.

Dzieje stwierdzają, że napad Mongołów na Węgry był jeszcze sroższy niż na Polskę, bo późniéj nastąpił, i trwał nierównie dłużéj. Gdy tam przybyli, to już na krwi naszéj rozjedzeni. Przez Polskę tylko przelecieli, w Węgrzech na dobre się rozgospodarowali. Ach, bo fałszywemi były owe radosne wieści o ich mniemanéj ucieczce z pod Ołomuńca; ta ucieczka pokrywała tylko zwykły fortel Tatarski; cofnęli się, aby lepiéj skoczyć — pochowali się, aby z nienacka wrócić. I wrócili. Już w kilka tygodni po wyjeździe Ludmiły z Węgier, zaszła straszna bitwa nad Sajo, która całą krainę Arpada oddała w moc Tatarów. Rozleli się aż po Adryjatyk. Na tych ziemiach mlékiem i miodem płynących, przeleżawszy lato i zimę, zasmakowali w próżniaczych rozkoszach, rozpasali się na wszelkie wymyślności najdzikszéj samowoli. Trudno byłoby dać wiarę tym potwornym obrazom, gdyby słów kronikarskich nie stwierdzały i opisy *naocznych* świadków, kilku ofiar cudem ocalałych z powszechnéj zagłady.

To też teraz wracali ponursi niż kiedykolwiek, przesyceni mordem i orgjami, zokrutniali, nietylko dla obcych, ale i dla swoich. Wystrachane żony niemogły ich poznać.

Przypędzono niesłychane tłumy świeżych bżańców, a zwłaszcza branek; obóz cały zaroił się od Węgierek; były tam i wieśniaczki, i wielkie panie, i mniszki, a wszystko sam kwiat urody. Mongołowie, oczarowani cudnością nowych niewolnic, niechcieli już patrzéć na swoje północne, ogorzałe małżonki. Powstały najdziksze trajedje Mongolskiéj zazdrości; rozzłoszczone Tatarki mściły się na niewinnych brankach; ażeby je zeszpecić, obrzynały im sławnie kształtne ich nosy i prześliczne uszka; aby dnie ich skrócić, przeciążały je nadludzką pracą. A mężowie, co? Jedni wybuchali gniéwem, drudzy śmiéchem. Pytanie, którzy straszniejsi?

Były w plon zabrane i tysiące dzieci; było ich tyle, że nie wiedziano już co z niemi robić, gdzie je mieścić ani czém je żywić? Tu historja zapisuje szczegół, przed którym pióro się wzdryga.... Wzdryga się — a jednak trzeba go powtórzyć, bo dla tych którzy dzisiaj cierpią, zdrowo jest wiedzieć ile dawniéj cierpiano.

Otóż, po rozdzieleniu jeńców, pozostałe dzieci Chrześcjańskie oddawano dzieciom Tatarskim na pastwę, ażeby te na ich głowach zaprawiały się do celnego strzelania ze swoich małych łucz-

ków. Można sobie wyobrazić co się działo między ową dziatwą, zanim nieszczęsne niewiniątka wyzionęły nakoniec duszę, pod znęcaniem się i strzałami niedorosłych katów.

Cały obóz rozbrzmiéwał od krzyków i klątew, jakgdyby samo dno piekła.

Elżbieta i Ludmiła, drżące, przerażone, tuliły się do siebie coraz bliżéj, szepcąc:

— O! Jaki Bóg łaskaw że tu Jasia niéma! I na nas jaki łaskaw! Jakże nasza dola jeszcze lekka, w porównaniu z dolą tych nowych branek!

— I co jeszcze? — Dodawała Ludmiła. — Ja się gryzłam że Ajdar nie pojechał na Węgry, a Bóg wiedział co robi! Aż strach pomyśléć..... byłby się tam rozsrożył, upił krwią jak inni..... Teraz, przy tamtych wygląda prawie na łagodnego człowieka. Doprawdy, zyskał w moich oczach.

Razem z nowym naborem jeńców, przyszła i wiązka wiadomości, które zwolna rozchodziły się po obozie.

Artur Sydney nie wrócił. Niechętny mu Kujuk, przypadkowo czy naumyślnie wysłał go z małym pocztem ludzi na przeszpiegi bardzo

niebezpieczne, bo aż ku Neustadtowi pod sam Wiedeń. Renegat razem z ośmioma Tatarami został ułowiony przez Chrześcjan, i nigdy już więcéj o nim nie posłyszano.

Po kilku dniach, nasze branki odkryły z podziwieniem, że między świéżo przybyłemi, byli i jeńcy polscy, *nowi* jeńcy. Tatarzy wtargnęli drugi raz do Polski. Wprawdzie był to tylko jeden nieliczny oddział; ten w przelocie zaczepił o Kraków i krótko tam pogościł, ale doniszczył i dopalił wszystko co z pierwszego napadu zostało pod Wawelem.

I Ojciec Paweł!..... Mój Boże! Ojciec Paweł, tak wspaniałomyślnie uszanowany przez któregoś z Chanów, teraz padł pod ciosami nikczemnych żołdaków.

Po męczeńskiém życiu, skończył śmiercią męczeńską.

Elżbieta i Ludmiła westchnęły jakby do świętego, i uroniły cichą łzę.

Ach.... Inne jeszcze..... gorętsze łzy miały popłynąć!

Sulisław nie żył.

Teraz już niemożna było wątpić.

Zginął. I to dawno, jeszcze pod Chmielnikiem. Prawdę mówił ów giermek.

Między nowemi jeńcami był żołniérz, który walczył przy nim pod Chmielnikiem. Sulisław,

trafiony Tatarskim pociskiem, zsunął się w jego objęcia, na jego ramieniu skonał.

Śmierć wspaniała — ta właśnie o którą codzień Boga prosił.

Elżbieta zamknęła się w żałobie ducha, głębokiéj, oniemiałéj, przysypanéj popiołem wszystkich zgasłych radości życia. Sama, w żadnym razie niemiała już nadziei spotkania się z mężem na téj ziemi, ale dla Jasia..... ach, dla Jasia! Teraz już dziecko zostawało zupełnym siérotą.

Zwróciła slę duszą ku duszy Sulisława, i szepnęła:

— Czuwaj nad nim ztamtąd, z lepszych światów—bo ja tu, sam widzisz..... niemogę.

Ale nietylko piastunka płakała po umarłym. I na jéj panią padła wieść żałobna.

Ojciec Arguny zginął podczas wyprawy. I to gdzie zginął? W Krakowie. I nie padł nawet śmiercią walecznych w bitwie, ale głuchą śmiercią prostego rabusia; gorejąca belka jakiegoś domostwa które sam podpalił, runęła mu na głowę w chwili, gdy skuszony lampką płonącą w alkierzu, chciał z wizerunku Matki Boskiéj zedrzéć srebrną sukienkę. Czaszkę miał rozbitą i twarz tak spaloną, że towarzysze go ledwie po rękojeści od miecza poznali.

Arguna ze wschodnią przesadą napełniła na-

mioty swojemi jękami, darła suknie, tłukła się po twarzy, i odtąd codzień powtarzała Kałdze:

— Jak dorośniesz, musisz pojechać do tego przeklętego Krakowa, i pomścić się na jego złych murach za śmierć mego rodzica, za śmierć twego dziadka!

A Kałga — dobrze już rozumiejący, czém najboleśniéj może komu dokuczyć — biegł prościuteńko do Elżbiety, powtarzał jéj słowa matki, i dodawał:

— Tak,—niech tylko dorosnę, a pojadę tam do was, cały Kraków spalę, i jeszcze wezmę sobie za niewolnika tego twego chłopaka, po którym tak nudno płaczesz. Może przestaniesz płakać jak go tu zobaczysz?

Wtedy Elżbieta,—mimo całéj swojéj słodyczy—nagłym ruchem ręki odsuwała dziecko, odwracała głowę, i mówiła w duszy:

— Boże! Ty na to niepozwolisz!

Słońce wiosenne coraz siarczyściéj dopiekało. Koniec wiosny przyniósł nową wiadomość: ta już nie z Europy lecz z Mongolji biegła; zjawili się raz jeszcze gońcy, prosto od Karakorumu lecący; ci, w imieniu Rejentki Turakiny, zapraszali Xiążąt i wodzów na *Kuryłtaj*, czyli zjazd powszechny, gdzie miano obrać nowego monarchę,

Xiążęta i wodzowie byli ponurzy, niezadowoleni z kampanji Polsko-Węgierskiéj. Wprawdzie przywieźli dużo łupów i niewolnika, ale jakie też ponieśli straty! Bitwy pod Turskiem i pod Ołomuńcem ciężyły im na sercu. Tylu Behadyrów tam zginęło! A ileż innych, drobnych, zabójczych utarczek! I koniec końców, nie dało się ująć tych ludzi w karby posłuszeństwa, ani nawet nałożyć na nich stałego «jessaku».

Po kilku posiedzeniach, Xiążęta uradzili że już niewarto wracać pod «niebo zachodnie», tam wojna się nie opłaca. Tak,—czasem—będzie można jeszcze zajrzéć tam dla rozrywki, jak się jeździ na polowanie, — ale o zupełnym podboju ani myśléć, szkoda ludzi i czasu. Tyle innych jest jeszcze krajów do podbijania, zwłaszcza w Azji, gdzie jakoś Wielki Tangri lepiéj szczęści! Wracajmy do Azji,—a przedewszystkiém, pomyślmy kto będzie nami rządził?

Z początkiem lata wyruszono hurmem do Mongolji.

Wszyscy przepowiadali rok drogi.

Zapewne, Tatarzy sami, na swoich sławnie wytrzymałych koniach, umieli nawet w kilka tygodni przebiedz tę olbrzymią przestrzeń, ale z takiemi tłumami niewolników — po większéj

części słabych niewiast i dzieci—z takiemi tysiącami wozów i wielbłądów, obciążonych zdobyczą, trzeba jechać powoli, długo wypoczywać.— Wszyscy przepowiadali rok drogi.

Teraz dopiéro—o żałosne branki!—rozpoczyna się dla was prawdziwa droga wygnania, ta droga od brzegów Dniepru do brzegów Amuru, kośćmi brukowana, westchnieniami zasłana, po któréj od wieków barbarzyńcy wschodni jadą ku zachodowi, po któréj od wieków zachodni jeńcy idą ku wschodowi.

Tak odbywa się straszne krążenie krwi duchowéj na globie.

Idźcie więc, — żałosne branki — ramię przy ramieniu, ręka w rękę. Zapłaczemy nad wami, ach i gorzko..... jednak jeszcze mniéj gorzko niż nad wielu innemi. Tyle innych idzie w zupełnéj samotności..... Wy — o wybrane — idziecie *we dwie.*

Bóg odebrał wam wszystko. Jednéj wziął oblubieńca—drugiéj wziął małżonka—ach, i dziecię..... (i jeszcze matka musi Mu dziękować że ją z tém dziecięciem rozłączył!) Odebrał wam ojczyznę—odebrał wam wolność—

Ale każdéj z dwóch – zostawił serce drugiéj.

Może niejeden z tych pozornych szczęśliwców, na których bezmyślna rzesza spogląda zazdrośnie, powinien by owszem wam zazdrościć? Bo nic tak nie osładza cierpień, jak wielkie przywiązanie—i wzajem, nic tak nie potęguje przywiązań, jak dzielone cierpienie.—A w końcu, wycisnąwszy całą treść żywota, człowiek tylko tyle wart, ile cierpiał i kochał.

Koniec Części Trzeciéj.

PRZYPISY.

PRZYPISY
do Trzeciego tomu Branek w Jassyrze.

Rozdział: Przy ognisku.

Str. 11. Ja zostałem zabran pod Chmielnikiem..... 18 Marca, w samą Białą Niedzielę.

«Peta ku Krakowu się obrócił. Przeciw któremu wyiechali zbroynie, Włodzimierz Woiewoda Krakowski, Klemens Kasztelan, Gryfowie obadwa, Pakosław Woiewoda Sendomierski, y Raciborowic herbu Jastrząb syn Kasztelana Sendomierskiego, y innych poczet nie mały. Zetkali się z Tatary u Szydłowa nad wsią Chmielnikiem. Tatarzy widząc ich, sprawili się wnet na dwa ufce przeciwko im: z których ieden ufiec z naszemi się potkał uczyniwszy na nie okrzyk wielki, iako ich iest zwyczay, a drugi ufiec na posiłek im został. Naszych że mało było, nie było co dwoić, razem się wszyscy potkali; na lewym rogu byli Krakowianie z owym Woiewodą y Kasztelanem; na lewym Sendomierzanie, także z swym Woiewodą y z Raciborowicem..... Bili się z sobą przez kilka godzin, aż naostatek Tatarowie ustąpili; nasi rozumieiąc że iuż wygrali, rozsuli się goniąc ich; ale w tym drugi ufiec Tatarski świeży nastąpił, z którym przecię potkali się nasi,

y bili się aż na umor; wszakże gdy sprawce swe y męże co przednieysze potracili, naostatek do lasów bliskich pierzchnęli y uszli. Zginęło w tey potrzebie barzo wiele naszych ludzi znacznych: a między innemi, Krystynus Sułkowicki z Niedźwiedzia, Woyciech Sępocki, Mikołay Witowski, Zamęta y Sulisław. Lecz Tatar daleko większa liczba była pobitych. Była ta bitwa dnia 18 Marca, w tymże roku 1241.» ***Kronika*** MARCINA BIELSKIEGO— Warszawa u XX. S. J.—1764—Str. 135.

Szajnocha opisawszy tą samą bitwę, i wymieniwszy znaczniejszych poległych, dodaje rzewne słowa:

«Wpisane zapewne w stare kalendarze kościelne, pod dniem bitwy Chmielnickiéj, z pobożnym dodatkiem: *Oretur pro eis*, przeszły ich imiona w późniejszą xięgę dziejów, a według téj zalecenia, godzi się i dzisiejszemu pokoleniu mieć ich we wdzięcznéj pamięci.» ***Szkice Hist.*** — Św. KINGA — Lwów 1854 — Str. 14.

Str. 15. I to był ten sam?..... Bo między naszém rycerstwem jest kilku Sulisławów.

Imię to wówczas było bardzo gęsto używane. W jednym tylko Drugim Tomie Długosza, (wyd. Krakowskie 1868) występuje ich aż siedmiu, z których sześciu mężów rycerskich. Niektórzy, dobrze znanego pochodzenia, jak Sulisław czyli Sulko brat Wojewody Krakowskiego Włodzimierza, który przywodził jednemu z oddziałów pod Lignicą, —inny Sulko, brat następnego Wojewody Krakowskiego Klimunta, który we dwa lata późniéj, bronił sprawy Bolesława Wstydliwego przeciw Konradowi Mazowieckiemu, i t. d.—Ten Sulisław który zginął pod Chmielnikiem, oznaczony jest w spisie nazwisk Długoszowych, jednym tylko wyrazem: «rycerz».

Str. 18. A ten Chan..... jeno spojrzał na Ojca Pawła..... powiedział tak: «Odprowadzić mi tego człowieka tam zkąd wyszedł. A nie robić mu złego nic.»

«Tymczasem przywiedziony został przed Batu-Chana kapłan chrześcjański, znaleziony w opustoszałém mieście za kratą jakiejś celi samotnéj, która pokutniczym obyczajem czasu onego, służyła na wpół-zamurowanemu, przypadkową tylko jałmużną żywionemu, za miejsce dobrowolnéj po koniec życia katuszy. Batu-Chan, jak przebaczył walecznemu obrońcy Kijowa, wojewodzie Dmitrowi, tak téż kazał puścić wolno ascetę Krakowskiego.» ***Szkice historyczne*** K. SZAJNOCHY—Lwów—1854—Św. KINGA—Str. 16.

Str. 19. Ci..... zamknęli się w kościołku Świętego Jędrzeja.

«Wiele ludzi, zwłaszcza maiętnych, częścią do Węgier, a częścią do Niemiec odeszło. A co podleyszych zasię, w lasach, w górach. we trzcinie, y w błotnych głębieliskach siłę zakrytych siedziało. A Tatarowie ze zwycięztwa pod Chmielnikiem wziętego tryumfując, do Krakowa wypadli..... Gdzie odbiegłe tylko pustki nadiachawszy, ogniem w niwecz palili.

«Tylko co kościoła Jędrzeia ś., dwiema dużemi wieżami opatrzonego, a na przedmieściu onych czasów stoiącego, żebracy, niedołężni, a chorzy, którzy tam dla zakrycia zleźli się byli, wielką liczbę pogaństwa blisko pod ściany podchodzącego, z góry pociskami zabiiając, obronili.» ***Kronika*** MARCINA KROMERA—przekł. M. Błażowskiego — Warszawa — u XX. S. J.—Str. 243.

Str. 29. Wielgi kamień oberwał się ode wieży kościelnéj..... i gruchnął..... przed Xięciem Henrykiem.

«Kiedy Xiąże Henryk z wojskami swemi na wojnę Tatarską wyciągał z miasta Lignicy, i w świetną zbroję przybrany szyki rycerskie objeżdżał, z wierzchołka kościoła P. Marji.... spadł kamień wedle głowy Xiążęcia, i o kęs czaszki mu nie zgruchotał. Co wszyscy zaraz zrządzeniu Boskiemu przypisując, za złą wzięli wróżbę.» *Dzieje Polskie* J. Długosza—Kraków—1868—Tom II—Str. 262.

Str. 39. Xiężna Jadwiga zaczena wołać na swoją najmilszą przyjaciołeczkę Siostrę Demundę, i powieda: «Trza ci wiedzieć Demundziu, co ja już utraciła jedynaka syna mojego, już on jako ptak odlecioł odemnie.

«Gdy jéj syn Henryk II, na czele wojsk chrześcjańskich walcząc odważnie przeciw Tatarom, poległ, Jadwiga następnéj nocy zawołała swą sekretarkę Demundę, i powiedziała jéj: «Wiédz o tém, żem już utraciła jedynego syna mojego; już on jako ptak odleciał odemnie.....» Jakoż rzeczywiście po południu przed tą nocą, według doniesienia, poległ w boju z Tatarami r. 1241. Czwartego dnia przybiegł posłaniec ze smutną o tém wiadomością.» Święta Jadwiga *w Encyklopedji Orgelbranda* — Tom XII—Str. 857.

Str. 42. Wszyćkich wygunił ten pożar niebieski.

«Za jego czasów, Tatarzy wtargnąwszy do Polski, wpadli na Szlązk, i Wrocław oblegli. Załoga miejska w żaden sposób oporu stawić nie mogła; niechybném więc było dla mieszkańców nieszczęście dostania się w ręce tych barbarzyńców. Wśród takiego strapienia wszyscy udali się do Czesława, aby swojém wstawieniem się do Boga ich ratował. Sługa boży, całą noc spędził na modlitwie, wkrótce po północy odprawił Mszę świętą, a gdy jeszcze nie świtało, wyszedł na mury zamkowe, jakby sam chciał

stawić czoło niezmiernéj liczbie wojska tatarskiego. W téjże chwili otoczył go cudowny ogień z nieba spuszczony, a współcześnie słupy ogniste zaczęły spadać na obóz Tatarów, wielkie ich mnóstwo paląc. W skutek tego wszczął się między niemi największy popłoch, i w rozsypce, jakby na głowę pobici, odstąpili od miasta, i uszli już więcéj nie wracając.» ***Żywoty Świętych Pańskich*** przez O. Prokopa—Warszawa—u M. Orgelbranda—1874—Żyw. Bł. Czesława—Str. 755.

Rozdział: Promień w chmurze.

Str. 60. Pomiędzy górami zaczyna się Baszkirdja, gdzie mieszkają Ugry.

W owych czasach Węgry nazywano Małą Baszkirdją, a nawzajem kraje Baszkirów około Uralu, zwano Wielkiemi Węgrami. I tak, Plano-Carpini mówi:

«Ce pays de Comanie a immediatement au nord, après la Russie, les Morduins, et Bilères, c'est-à-dire la grande Bulgarie; les Bastarques, qui est la grande Hongrie; puis les Parosites et les Samoyèdes, ect.»

Do tego ustępu, d' Avezac dodaje następne objaśnienie:

«Il est aisé de reconnaître par leur nom les peuples cantonnés dans les gouvernements de Perm, de Wiatka et d'Orembourg, et appelés par les Russes Baschkirts, et vulgairement Baschirs. Le nom de Grande Hongrie donné à leur pays, revèle l'opinion qu'on avait au Moyen Age sur leur affinité d'origine avec les Hongrois, et Guillaume de Rebuquis déclare expressément que la langue de ces deux peuples était identique.» ***Voyageurs Anciens et Modernes,*** *avec Biographies et Notes* d'Edouard Charton—Paris—aux Bureaux du Magasin Pittoresque—1855—T. II. p. 230.

Str. 68. A wieczór dam strażom tarassunu, kumysu, arraki, czego zechcą.

Były to rozmaite napoje używane w Mongolji.

«Alors le khân nous fit demander ce que nous voulions boire, du vin ou de la *terracine*, qui est de la cervoise faite avec du riz.»—***Guillaume Rubrouck*** Ambassadeur de S. Louis en Orient—trad. par L. BACKER—Paris—1877—p. 149.

«*Araka* nazywają trunek wyskokowy otrzymywany przez destylację *kumysu*.» ***Encyklopedja Powsz.*** ORGELBRANDA — Tom II—Str. 66.

Rozdział: Straszny dzień.

Str. 73. Wodzowie podnieśli złożone ręce do czoła, i z pokłonem zawołali: «Mendu!»

«Bientôt nous entendîmes le trot d'un cheval, et un cavalier parut à la porte.—«Mendou!»—nous cria le Tartare, en portant ses deux mains jointes au front..... En entrant, on souhaite la paix à tout le monde en général, en disant: «Mendou.» ***Souvenirs d'un voyage dans la Tartarie*** par M. HUC-MISSIONNAIRE—Paris—chez Gaume Fréres—1868—T. I.—pp. 27 et 61.

Str. 73. Za nim prowadzono konia szczero-Mongolskiego..... Koń miał czoło szerokie, szyję grubą, z rozchełstaną grzywą, biodra krzepkie, ostro-kościste nogi. Z oczu jego zapadłych bił ogień ponury..... Maści był żelaznéj.

Taki mniéj więcéj obraz konia Mongolskiego z krain Zabajkalskich, przedstawia MARJAN HR. CZAPSKI w swojéj ***Histo-***

rji Powszechnéj Konia, dziele przepysznem, któremu równego niéma podobno w żadném innem piśmiennictwie. Wyszło w *Poznaniu — u Żupańskiego — 1874*. Patrz Tom III — Str. 115 i nast.

Rozdział: **Osobliwsza ciekawość.**

Str. 118. A słowo «Anda»?..... Znaczy «ślubną przyjaźń»..... Kiedy dwóch Tatarów chce między sobą zawrzéć mocną przyjaźń, każdy nacina sobie rękę, i trochę krwi wpuszcza do napoju.....

«Ce prince (Ong-khan)..... jura à Yissougaï (père de Témoutchin) la coupe à la main, une amitié éternelle, ce qui, chez les Tartares, s'appelait devenir «anda» ou «ami juré».—*Histoire des Mongols* par le Baron D'Ohsson—Amsterdam — 1852 — T. I. p. 52.

«Ong-khân promit que le passé serait oublié, et pour donner plus de confiance dans sa parole, il fit partir avec les messagers..... un de ses officiers chargé de lui porter (á Témoutchin) un peu de sang dans une corne de boeuf, afin que ce sang fut mis dans la boisson qui devait servir à la prestation du serment.» *Tamże*—p. 81.

«Temoutchin arriva..... surprit Ong-khân..... à la suite d'un vif combat, Ong-khan fut tué par deux officiers..... Ils portèrent sa tête à leur roi, qui fut très irrité du meurtre de cet infortuné vieillard, et conserva son crâne enchassé dans de l'argent.» *Tamże*—p. 82.

Rozdział: **Poświęcenie któremu Chrześcjanie wierzyć niechcieli.**

Str. 148. Genueńczyki mieszkają w Tanie.

Tana, niektórzy piszą *Tanea*, tak nazwana od Tanaisu (Donu), przy którego ujściu powstała, to samo co dzisiejszy Azow.

«*Azow* (u Turków *Adzak*, u Greków *Tanaïs*, u Włochów *Tana*,) teraz niewielkie miasteczko..... dawniéj było silną warownią i ważném miastem handlowém..... W XII-stym wieku, w Azowie prowadzili handel Genueńczycy, z początku uznając nad sobą władzę Połowców, potém, kiedy się wzmocnili, sami już panowali w tém mieście.» ***Encykl. Powsz.*** ORGELBRANDA—Tom II—Str. 561.

Str. 149. Spotkaliśmy się..... z tym bannitą Angielskim, co zawsze posłuje od Chana do Chrześcjan.

«Batou, avant de l'attaquer, écrivit au roi Bela pour le sommer de prêter obéissance au souverain mongol, s'il voulait conerver sa vie et celle de ses sujets. Un Anglais, banni de son pays, et reçu au service des Mongols, fut chargé de porter cette lettre au roi de Hongrie.» — ***Histoire des Mongols*** par C. D'OHSSON—T. II—p. 132.

Str. 150. On ma *Païżę*.

«On délivrait aux officiers de l'armée, en guise de brevet, et comme marque distinctive de leurs grades, des tablettes, qui étaient d'argent et du poids de vingt onces pour les centeniers; d'argent doré, et du même poids, pour les chiliarques; d'or, avec une tête de lion, et pesant trente-six onces, pour les chefs de

dix mille hommes. Les inscriptions que portaient ces tablettes, commençaient par cette formule: *Par la toute-puissance du grand Dieu, et par la grâce qu'il accorde à notre empire, béni soit le nom du Caan. Quiconque désobeira à ce qui est ici ordonné, sera puni de mort.* Ces inscriptions spécifiaient les devoirs et les droits de l'officier muni d'une semblable tablette. Celle d'un général, commandant en chef d'une grande armée, était d'or, du poids de cinquante onces, et portait la figure d'un lion avec les images du soleil et de la lune..... Les étrangers de distinction, étaient aussi munis de tablettes, qui leur servaient de passeports. Lorsque le prince arménien Sempad fut sur le point de quitter la cour de Mangou, pour retourner dans son pays, «il reçut, dit l'historien Etienne Orpelian, un *paiza* d'or, c'est-à-dire une tablette avec le nom de Dieu.....» L'usage de ces tablettes était d'origine chinoise.» ***Tamże***—T. II—p. 483.

Rozdział: **Do Dniepru!**

Str. 199. Kiedy Europa niemiała jeszcze pojęcia o stałych pocztach, Mongolja, od końca do końca była niemi już zasiatkowana.

«Tchinguiz-khan établit à l'exemple de ce qui existait en Chine, (i to więc z Chin przyszło,) des stations de relais sur les grandes routes, pour faciliter les voyages des fonctionnaires publics, des envoyés et des messagers. Les chevaux de postes devaient être fournis par les habitants, tenus aussi de donner des vivres aux courriers, et des chariots pour le transport des contributions. Un règlement prescrivait à ceux qui avaient le droit de se servir de ces chevaux, la conduite qu'ils devaient tenir. La sûreté des routes, garantie par une police sévère, permit aux étrangers de parcourir la Tartarie, que les brigandages de tant de

tribus indépendantes leur avaient jusqu'alors rendue inaccessible.» *Tamże*—T. I—p. 406.—«Les maisons de poste, qui servaient en même temps d'hôtelleries, étaient placées à la distance de vingt-cinq à trente milles, et devaient tenir chacune quatre cents chevaux, dont la moitié se reposait pendant un mois. Ces chevaux étaient fournis et entretenus par les habitants, que l'on indemnisait de cette charge par une diminution d'impôts. Dans les cas urgents, les messagers faisaient jusqu'à deux cent cinquante milles par vingt-quatre heures. En approchant de la poste, ils sonnaient du cor, pour faire apprêter les chevaux. Entre les maisons de poste il y avait, a trois milles de distance, des stations pour les coureurs piétons du gouvernement, ils portaient des ceintures garnies de petites sonnettes, afin qu'on put les entendre arriver, et que ceux qui devaient les relever, se préparassent à partir pour porter plus loin le paquet qui leur était remis. A chaque station, comme dans les maisons de poste, des commis notaient le jour et l'heure de l'arrivée d'un courrier.» *Tamże*—T. II. p. 481.

Str. 207. Ale pas, prawda że pyszny..... To same turkusy!

Takie pasy, albo może temblaki do szabel, nasadzane klejnotami, musiały stanowić odznakę honorową. Czytamy w ***Histoire des Mongols*** D'Ohsson, że podczas wyprawy Chaana Mangu przeciw Cesarstwu *Sung*, zasłużony Mongołom jenerał Vang-tetcheng, «reçut de l'empereur une ceinture de jaspe.» — T. II. p. 327.

Str. 207. Był to wówczas największy wojownik Mongolji, Subutaj.

Dobry i dość obszerny życiorys tego prawdziwie «mongol-

skiego» zdobywcy, (który nas może mocno zająć, bo całą Polskę kampanję odbywał,) ułożony według latopiśców Chińskich, znajduje się w *Nouveaux Mélanges Asiatiques* Abla Remusata, wyszłych w Paryżu w 1829—w Tomie II. Str. 94.

Rozdział: Dziwne pocieszenia.

Str. 293. Trzeba wiedzieć że nazwa «bałamut», jest wyrazem szczero-Tatarskim.

«Bałamut, z mongolskiego, psoty, swawola, a także swawolny.» *Encyklopedja Powszechna* Orgelbranda. T. II. Str. 780.

Rozdział: Na Wschód!

Str. 308. Czy wy słuchacie Papieża?..... — Piękna pani! My byśmy go radzi słuchali, ale to tak daleko! Trudno się porozumieć, drogi zbyt niebezpieczne.

Z taką właśnie «dyplomacją» Nestorjanie tłumaczyli się w kilka lat później przed Missjonarzem i Posłem Ś-go Ludwika, Rubrukiem:

»Au contraire, ils reconnaissaient que l'Église romaine était la tête de toutes les églises, et qu'ils devraient eux-mêmes recevoir leur patriarche du pape, si les chemins étaient praticables.»—Guillaume Rubrouck—*Récit de son Voyage*—trad. p. Backer—Paris—1877—p. 212.

Str. 309. Ależ wy wierzycie w Chrystusa? I w Marję, Matkę Bożą?—W Chrystusa? Ach, jakżeż my nie mamy w Niego wierzyć, kiedy jesteśmy Chrześcjanie, i to Nestorjańscy?..... A Marję bardzo chwalimy, ale jéj nie zwiemy nigdy «matką Boską», tylko «matką Chrystusową», bo przecież w Chrystusie były dwie Osoby, zupełnie oddzielne?

«Nestoryjusz urodził się w Syrji..... Gdy zawakował patryjarchat w Konstantynopolu r. 427..... Teodozyjusz II cesarz wschodni, wyniósł na tę godność Nestoryjusza..... Nestoryjusz wygnał wielkie mnóstwo kacerzy z Konstantynopola; lecz wkrótce i sam uwikłał się w błędy heretyckie. Kościół katolicki wierzył zawsze, że dwie są niezłączone *natury* w jednéj Osobie Jezusa Chrystusa, to jest boska i ludzka; że Maryja jest Matką Boga i człowieka. Nestoryjusz zaś nauczał, że w Chrystusie istnieją dwie oddzielne *Osoby*, a Maryja Panna jest Matką tylko Chrystusa człowieka, bo stworzenie zrodzić nie może Stworzyciela, Bóg nieśmiertelny nie ma matki śmiertelnéj, i dla tego nie nazywał Maryi «Bogarodzicą», *Teotokos*, ale tylko «matką Chrystusa», *Christotokos*. Dodawał, że Chrystus nie był połączony ze Słowem hypostatycznie, ale związkiem zamieszkania Słowa w człowieku jako w świątyni, i przez udzielenie mu godności i potęgi. Biskupi powstali przeciw téj nowości..... Sobór w Rzymie r. 430 zwołany, ją potępił..... Sobór powszechny odbyty r. 431 w Efezie..... Nestoryjusza złożył z godności patryjarchy, jako heretyka, a Teodozyjusz II skazał go na wygnanie do Libii w Afryce, gdzie też Nestoryjusz umarł około r. 440 w opuszczeniu i zaniedbaniu.» ***Encyklopedja Powsz.*** wyd. ORGELBRANDA—Tom XIX—Str. 286.

«***Nestoryjanie***, tak się nazywali heretycy którzy przyjęli zdanie Nestoryjusza..... Po ich potępieniu przez Sobór powsze-

chny Efezki, wywołani z kraju, rozmnożyli się w Persyi i na Wschodzie, gdzie znajomsi byli pod nazwą Chrześcjan Ś. Tomasza, tudzież Chaldejczyków. W XVI wieku część ich zjednoczyła się z Kościołem Rzymskim.» *Tamże*—Str. taż sama.

Str. 312. Co to jest być Terchanem?

«Bourgoudji et Bourgoul furent..... récompensés par les privilèges de *therkhan.* Ceux qui obtenaient ce titre etaient exempts de tout impôt; ils gardaient la totalité du butin qu'ils avaient fait à la guerre; ils avaient en tout temps un libre accès auprès du souverain, et ils pouvaient commettre impunément huit délits; ce n'était qu'après le neuvième qu'ils étaient condamnés.» ***Histoire des Mongols*** par C. D'Ohsson—T. I. p. 44.

Str. 317—318. Ustanowiono rządy tymczasowe, i powierzono je komu? Kobiécie. A tą Rejentką..... była—twarda i przebiegła Turakina.

«Ogotaï avait d'abord désigné pour son successeur Goutchou, son troisième fils, et celui qui lui était le plus cher; ce jeune prince étant mort, en 1236, à l'armée dans le Hou-kouang, son fils aîné Schiramoun hérita de la tendresse d'Ogotaï, qui le fit élever à sa cour, et le destina au trône; mais l'impératrice Tourakina voulait y placer son fils aîné Couyouc..... Couyouc apprit, en route, la mort de son père. Les princes du sang et les chefs de l'armée reçurent, avec la nouvelle de cet évènement, une invitation de la part de Tourakina, de se rendre à l'Ordou d'Ogotaï, pour élire son successeur. En attendant, Tchagataï et les autres princes déférèrent la régence à cette impératrice. Elle avait été l'épouse de Taïr-Oussoun, chef de la tribu Ouhouse-Merkite; prise avec son mari, qui s'était révolté contre Tchinguizkhan, elle fut donnée par ce prince à son fils Ogotaï, et devint son épouse.» *Tamże* — T. II — p. 187.

Str. 321. Obóz cały zaroił się od Węgierek..... Rozzłoszczone Tatarki mściły się na niewinnych brankach.

«Kiedy potém do obozu Tatarskiego sprowadzono wiele tysięcy brańców Węgierskich wraz z ich żonami, niewiasty Tatarskie pastwiły się z największą srogością nad Węgierkami, które zwłaszcza były w ich oczach piękniejsze i dorodniejsze, albo je zabijając, albo obrzynając im nosy, wargi i uszy, chcąc je w ten sposób zeszpecić, z obawy ażeby ich mężowie ujęci powabami branek, nie porzucili swoich, a z obcemi nie wiązali się w stadła. Podobnéj i młodzi hordyńcy, za namową i poduszczaniem swoich matek, dopuszczali się srogości na pojmanych chłopiętach, i t. d.» ***Dzieje Polskie*** J. Długosza — Kraków — 1868 — Tom II— Str. 270.

Str. 322. Artur Sydney nie wrócił. Kujuk..... wysłał go..... aż ku Neustadtowi pod Wiedniem. Renegat razem z ośmioma Tatarami został ułowiony przez Chrześcjan.....

W ***Histoire des Mongols*** D'Ohssona, w Tomie II-m, w Przypisku na str. 133, czytamy:

«Un ecclésiastique français, qui se trouvait à Neustadt, près de Vienne, lorsqu'en 1242 un parti mongol vint de Hongrie menacer cette petite ville, raconte, dans une lettre à l'archevêque de Bordeaux, que ce détachement se retira à l'approche de forces considérables, et qu'on lui prit huit hommes, parmi lesquels était un Anglais. banni de son pays à perpetuité, qui ayant passé au service des Tartares, avait éte envoyé deux fois par leur chef au roi Bela, pour le sommer à l'obéissance.» ***Yvonis dicti Narbonensis Epistola ad Giraldum Burdegalensem archiepiscopum,*** ap. Math. Paris, Hist. Angliœ—T. I. p. 608.

Str. 323. Ojciec Paweł, tak wspaniałomyślnie uszanowany przez któregoś z Chanów, teraz padł pod ciosami nikczemnych żołdaków.

«Z północnych Węgier wtargnął jeden zagon tatarski po raz drugi do Polski, wpadł do Krakowa, zrządził więcéj szkody niż pierwszym razem, zamordował onego kapłana-pustelnika, ocalonego od Batu-Chana, i przez góry Oświecimskie wrócił do Węgier.» — ***Szkice Hist.*** K. Szajnoghy — Lwów — 1854 — Św. Kinga—Str. 18.

SPIS PRZEDMIOTÓW
zawartych w Tomie Trzecim.

Część Trzecia.

	Str.
Przy ognisku	8
Promień w chmurze	45
Straszny dzień	70
Stracone godziny	77
Ucieczka	93
Osobliwsza ciekawość	110
Skarb uratowany	122
Poświęcenie któremu Chrześcjanie wierzyć nie chcieli	145
Jeszcze daléj!	187
Do Dniepru!	195
Targ	218
Mały zdrajca	241
Między krogulcem a sokołem	253
Dziwne pocieszenia	266
Na Wschód!	305
Przypisy	329
Spis Przedmiotów	347

Koniec Tomu Trzeciego.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174102

Biblioteka WSP Kielce
0121713